

Agatha Christie

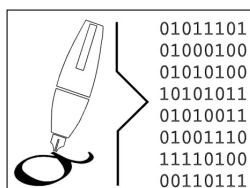
Zakończeniem jest śmierć

DEATH COMES AS THE END

Tłumaczyła Dominika Chylińska

wydanie oryginalne: 1944

wydanie polskie: 2001



Profesor S.R.K. Glanville

Drogi Stefanie

To Ty podsunąłeś mi pomysł umieszczenia akcji powieści kryminalnej w starożytnym Egipcie i gdyby nie Twoja aktywna pomoc i zachęta, książka ta nigdy — by nie powstała.

Chcę tu powiedzieć, jak bardzo podobała mi się literatura, którą mi pożyczyłeś, i podziękować Ci za cierpliwość, z jaką odpowiadałeś na wszystkie moje pytania, oraz za czas i fitygę. Wiesz już, jak wielką przyjemność sprawiło mi pisanie tej książki.

Twoja oddana i wdzięczna przyjaciółka

Od Autorki

Akcja tej książki rozgrywa się na zachodnim brzegu Nilu w Tebach w Egipcie około roku 2000 p.n.e. Zarówno miejsce, jak i czas akcji są przypadkowe. Każde inne miejsce w każdym innym czasie byłoby równie dobre, tak się jednak złożyło, że inspiracją do stworzenia bohaterów i intrygi stały się dwa czy trzy egipskie listy z czasów XI Dynastii, odnalezione około 20 lat temu w skalnym grobowcu naprzeciw Luksoru przez wyprawę do Egiptu z Metropolitan Museum z Nowego Jorku i przetłumaczone przez profesora Battiscombe Gunna dla muzealnego biuletynu.

Czytelnika zainteresować może uwaga, że dziedziczenie służby ka — powszechna praktyka w starożytnej cywilizacji egipskiej — opierało się na podobnej zasadzie jak średniowieczne dziedziczenie fundacji kościelnej. Własność zapisywana była kapłanowi ka, w zamian za co obowiązany był on do zajmowania się grobowcem testatora i ofiarowywania darów za spokój duszy zmarłego z okazji różnych świąt.

Określenia „brat” i „siostra” w tekstach egipskich zazwyczaj oznaczały „ukochany” lub „ukochana” i często używane były wymiennie z „mąż” i „żona”. Tak też są zastosowane w tej książce.

Rolniczy kalendarz w starożytnym Egipcie, składający się z trzech pór roku liczących po cztery trzydziestodniowe miesiące i dodatkowo pięć przestępnych dni na końcu roku, był powszechnie stosowany. Rok rozpoczynał się, jak przypuszczamy, z chwilą napłynięcia do Egiptu fali powodziowej Nilu w trzecim tygodniu lipca, jednakże brak roku przestępnego spowodował jego opóźnienie na przestrzeni wieków, tak że za czasów naszej opowieści kalendarzowy Nowy Rok przypadał około sześciu miesięcy wcześniej niż początek roku rolniczego, tzn. w styczniu zamiast w lipcu. Aby oszczędzić czytelnikowi ciągłego przeliczania, daty użyte tutaj jako tytuły rozdziałów pochodzą z kalendarza rolniczego owych czasów, tzn. wylew — koniec lipca do końca listopada, zima — koniec listopada do końca marca i lato — koniec marca do końca lipca.

Rozdział pierwszy

Drugi miesiąc wylewu — dzień dwudziesty

Renisenb stała patrząc na Nil.

Z oddali słyszała podniesione głosy braci, Jahmosego i Sobka, dyskutujących o tym, czy tamy potrzebują wzmocnienia czy nie. Sobek miał głos wysoki, a swoich poglądów dowodził z pewnością siebie. Głos Jahmosego był niski i mrukliwy, wyrażał wątpliwość i niepokój. Jahmose zawsze o wszystko się niepokoił. Był najstarszym synem i podczas pobytu ojca w północnych posiadłościach zarządzanie majątkiem spoczywało w jego rękach. Jahmose — mocno zbudowany, powolny i ostrożny — miał skłonność do wyszukiwania trudności tam, gdzie ich nie było. Brakowało mu pewności siebie i wesołości Sobka.

Od wczesnego dzieciństwa Renisenb pamiętała swych braci sprzecających się właśnie w taki sposób. Teraz nagle dało jej to poczucie bezpieczeństwa... Była znowu w domu. Tak, wróciła do domu...

Jednakże, gdy spojrzała raz jeszcze na jasną, błyszczącą w słońcu rzekę, bunt i ból odezwały się ponownie. Khay, jej młody mąż, nie żył... Khay, z roześmianą twarzą i mocnymi ramionami. Khay był z Ozyrysem w Królestwie Zmarłych a ona, jego gorąco kochana żona, została sama. Spędzili razem osiem lat — przyszła do niego jako dziecko zaledwie — a teraz powróciła jako wdowa, z dzieckiem Khaya, Teti, do domu ojca. Nagle poczuła się, jakby nigdy go nie opuszczała. To było miłe uczucie. Zapomni o tych ośmiu latach — tak pełnych bezmyślnego szczęścia, tak rozdartych i zniszczonych stratą i bólem.

Tak, zapomnieć, wyrzucić z pamięci. Stać się raz jeszcze Renisenb, córką Imhotepa, kapłana ka, bezmyślną, nieczułą dziewczyną. Miłość męża i brata była okrutna i zwodnicza przez swoją słodycz. Pamiętała mocne brązowe ramiona, roześmiane usta — teraz Khay był zmumifikowany, owinięty w bandażę, chroniony przez amulety w podróży poprzez zaświaty. Nie ma już na tym świecie Khay żeglującego Nilem i łowiącego ryby, śmiejącego się do słońca, podczas gdy ona wyciągnięta w łodzi z małą Teti na kolanach śmieje się do niego...

„Nie będę o tym myśleć — postanowiła Renisenb. — To skończone! Jestem tutaj, w domu. Wszystko jest tak, jak było. Ja także będę taka jak dawniej. Będzie tak jak kiedyś. Teti już zapomniała. Śmieje się i bawi z innymi dziećmi”.

Renisenb odwróciła się nagle i ruszyła w stronę domu mijając po drodze kilka ob juczonych osłów prowadzonych ku brzegowi rzeki. Minęła składy zboża i szopy i przez bramę weszła na dziedziniec. Było to bardzo przyjemne miejsce, ze sztucznym jeziorem otoczonym kwitnącymi oleandrami, jaśminami i ocienionym sykomorami. Teti bawiła się tam teraz z innymi dziećmi, słychać było ich przenikliwe i czyste głosy. Dzieci wbiegały i wybiegały z małego pawilonu stojącego z jednej strony jeziora. Renisenb zauważyła, że Teti ciągnie za sobą drewnianego lwa, którego paszcza otwierała się i zamykała za pociągnięciem sznurka. Renisenb również, jako dziecko, kochała tę zabawkę. Pomyślała znowu z wdzięcznością: „Wróciłam do domu...”

Nic się tu nie zmieniło, wszystko było jak dawniej. Tu życie płynęło bezpiecznie, stabilnie, niezmiennie.

Wprawdzie Teti była teraz dzieckiem, a ona jedną z wielu matek w tym domu, ale istota rzeczy pozostała nie zmieniona.

Piłka, którą bawiło się jedno z dzieci, potoczyła się do jej stóp, więc podniosła ją i odrzuciła ze śmiechem. Renisenb weszła na ganek z kolorowymi kolumnami, minęła dużą główną komnatę z barwnym fryzem przedstawiającym kwiaty lotosu i maki, i skierowała się w głąb domu, do pomieszczeń dla kobiet.

Uszu jej dobiegły podniesione głosy, więc zatrzymała się znowu, rozkoszując się starymi, znajomymi dźwiękami. Satipy i Kait kłóćą się jak zwykle! Dobrze pamiętała głos Satipy, wysoki, władczy i szydzący! Satipy była żoną jej brata, Jahmosego, wysoką, energiczną, hałaśliwą kobietą, przystojną w pewien ciężki, dominujący sposób. Wiecznie stanowiła prawa, tyranizowała służbę, znajdowała winę we wszystkim i siłą osobowości i obelg sprawiała, że wykonywano rzeczy niemożliwe. Każdy bał się jej języka i spieszył spełniać rozkazy. Sam Jahmose miał najwięcej podziwu dla swojej rezolutnej, silnej żony, chociaż pozwalał, aby i jego terroryzowała w sposób, który często złościł Renisenb.

Czasem, w przerwach między piskliwymi zdaniem Satipy, słychać było spokojny, stanowczy głos Kait. Kait była przysadzistą, nieładną kobietą, żoną przystojnego, wesołego Sobka. Była oddana dzieciom i rzadko myślała czy mówiła o czymkolwiek innym. W codziennych kłótniach dotrzymywała pola bratowej za pomocą prostego fortelu, jakim było powtarzanie każdego zdania ze spokojną, niewzruszoną stanowczością. Nie okazywała ani zapału, ani pasji i nigdy nawet przez chwilę nie brała pod uwagę cudzych poglądów. Sobek był ogromnie przywiązany do swojej żony i rozmawiał z nią swobodnie o wszystkich sprawach wiedząc, że go wysłucha, doda otuchy i nie zapamięta niczego niepożądanego, ponieważ myśl jej nieustannie obracała się wokół jakiegoś problemu dotyczącego dzieci.

— To, co mówisz, to zniewaga — wrzeszczała Satipy. — Gdyby Jahmose nie miał odwagi myszy, nie zniósłby tego ani przez chwilę! Kto tu rządzi, kiedy nie ma Imhotepa? Jahmose! I jako żona Jahmosego to ja powinnam mieć pierwsza prawo wybrać maty i poduszki. Ten czarny niewolnik z wdziękiem hipopotama powinien...

Kait wtrącała ciężkim, głębokim głosem:

— Nie, nie, moja mała, nie zjadaj włosów laleczki. Popatrz, tu jest coś lepszego — cukierek — o, właśnie tak...

— Co do ciebie, Kait, nie jesteś zbyt uprzejma, nawet nie słuchasz, co mówię, nie odpowiadasz, twoje maniery są skandaliczne.

— Niebieskie poduszki zawsze były moje... O, spójrz na małą Ankh, próbuje chodzić...

— Jesteś tak głupia jak twoje dzieci, Kait, i to ma swoją wymowę! Ale nie wykręcisz się z tego w ten sposób. Dopnę swego, mówię ci.

Renisenb drgnęła na dźwięk cichych kroków za sobą. Odwróciła się z przestachem i ujrzawszy stojącą za sobą Henet, doznała znajomego uczucia niechęci.

Szczupłą twarz Henet wykrzywił jak zwykle prawie służalczy uśmiech.

— Myślisz, że niewiele się zmieniło, Renisenb — powiedziała. — Nie wiem, jak my wszyscy znosimy język Satipy! Oczywiście Kait może się odciąć. Niektórzy z nas nie są w tak szczęśliwym położeniu! Znam swoje miejsce, jak sędzę, i czuję wdzięczność dla twego ojca za to, że dał mi dom, jedzenie i ubranie. Ach, to dobry człowiek, twój ojciec. Zawsze starałam się robić, co do mnie należało. Ciągle pracuję, pomagam i nie oczekuję wdzięczności ani podzięk. Gdyby żyła twoja droga matka, wszystko byłoby inaczej. Ona mnie doceniała. Byłyśmy jak siostry! Była piękną kobietą. Cóż, spełniłam swój obowiązek i dotrzymałam danej jej obietnicy. „Opiekuj się dziećmi, Henet — powiedziała do mnie umierając. I byłam wierna danemu słowu. Służyłam wam wszystkim, owszem, i nigdy nie chciałam podziękowań. Ani o nic nie prosiłam, ani ich nie dostawałam! „To tylko stara Henet — mówili ludzie — ona się nie liczy”. Nikt się mną nie przejmuje. Bo i czemuż? Ja po prostu staram się być pomocna, to wszystko.

Wśliznęła się jak węgorz pod ramię Renisenb i weszła do pokoju.

— Co do poduszek, wybac mi, Satipy, ale słyszałam przypadkiem, jak Sobek mówił...

Renisenb odsunęła się. Jej dawna niechęć do Henet wezbrała nową falą. Śmieszne jak wszyscy nie lubili Henet! Jej skamlącego głosu, ciągłego uzalania się nad sobą i często złośliwej przyjemności w podsycaniu sporów.

„No cóż — pomyślała Renisenb — czemu nie? To zapewne jedyna przyjemność Henet. Jej życie musi być ponure”. To prawda, że harowała jak wół i że nikt nie był jej nigdy wdzięczny. Nie można było być wdzięcznym Henet — zwracała uwagę na swoje zasługi tak natarczywie, że ostudzała każdą wielkoduszną reakcję.

Henet, pomyślała Renisenb, była jedną z tych osób, których losem jest być oddanym innym i nie mieć nikogo sobie oddanego. Z wyglądu była nieatrakcyjna, a przy tym głupia. Jednak zawsze wiedziała, co się dzieje. Jej bezgłówny sposób poruszania się, jej czujne uszy i ruchliwe, badawcze oczy sprawiały, że nic nie mogło pozostawać dla niej na długo sekretem. Czasami zatrzymywała swoje wiadomości dla siebie, a czasami chodziła od jednego do drugiego szepcząc i z oddali obserwowała z zachwytem rezultaty swojego donosicielstwa.

Raz czy dwa wszyscy domownicy błagali Imhotepa, żeby pozbył się Henet, ale Imhotep nigdy nie chciał o tym słyszeć. Był chyba jedyną osobą, która ją lubiła, a ona odpłacała mu się za opiekę obrzydliwie przesadnym poświęceniem, które resztę rodziny przyprawiało o mdłości.

Renisenb stała przez chwilę niepewnie, słuchając narastającego wrzasku bratowej podsycanego przez Henet, potem poszła powoli w stronę małego pokoju, gdzie siedziała jej babka Esa obsługiwana przez dwie czarne niewolnice. Zajęta była teraz przeglądaniem jakichś płóciennych ubiorów, które przed nią rozłożyły i karceniem ich w charakterystyczny, przyjazny sposób.

Tak, wszystko było tak samo. Renisenb stała słuchając niezauważona. Stara Esa skurczyła się trochę, to wszystko. Ale jej głos był ten sam i mówiła to samo, prawie słowo w słowo to samo co dawniej, nim Renisenb opuściła dom osiem lat temu...

Renisenb wymknęła się znowu. Ani staruszka, ani czarne niewolnice nie zauważyły jej. Przez chwilę zatrzymała się przy otwartych drzwiach kuchni. Zapach pieczonej kaczki, dużo śmiechu, rozmów i besztania naraz, góra warzyw czekająca na przygotowanie.

Renisenb stała nieruchomo z półprzymkniętymi oczami. Ze swego miejsca słyszała wszystko, co działo się w domu. Różnorodny gwar kuchni, przenikliwy głos starej Esy, piskliwy Satipy, ledwie dosłyszalny, głębszy, stanowczy kontralt Kait. Wieża Babel kobiecych głosów — gwarzących, śmiejących się, narzekających, karcących, krzykliwych...

I nagle Renisenb poczuła się przyduszona, osaczona przez tę nieustającą i wrzaskliwą kobiecość. Kobiety — hałaśliwe, krzykliwe kobiety! Dom pełen kobiet — nigdy nie spokojnych, nigdy nie cichych — ale gadatliwych, krzykliwych, mówiących mnóstwo rzeczy, zamiast je robić!

I Khay — Khay cichy i czujny w swojej łodzi, skupiony i pochylony nad rybą, którą miał zamiar złowić...

Żadnego trajkotania ani tej bezustannej, pracowitej krzątaniny.

Renisenb wyszła szybko z domu w gorący, czysty bezruch. Ujrzała Sobka wracającego z pól, a w oddali Jahmosego idącego w stronę grobowca.

Odwróciła się i ruszyła ścieżką w górę do wapiennej skały, gdzie znajdował się grobowiec.

Gdy ojciec wyjeżdżał, obowiązki kapłana ka spoczywały na jego najstarszym synu. Kiedy Renisenb, wspinając się powoli stromą ścieżką dotarła na miejsce, Jahmose w małej, skalnej komnacie obok komnaty ofiarnej rozmawiał z Horim, prawą ręką ojca w interesach.

Hori trzymał na kolanach zwój papirusu i pochylał się nad nim razem z Jahmosem.

Obaj uśmiechnęli się do Renisenb, gdy weszła i usiadła obok nich w cieniu. Zawsze bardzo lubiła swego brata Jahmosego. Był delikatny i czuły dla niej i miał łagodne, miłe usposobienie. Także Hori zawsze traktował małą Renisenb z poważną uprzejmością i czasem naprawiał jej zabawki. Gdy wyjeżdżała, był poważnym, cichym młodzieńcem, miał wrażliwe, zręczne palce. Renisenb pomyślała, że choć wyglądał starzej, prawie wcale się nie zmienił. Poważny uśmiech, którym ją obdarzył, był dokładnie taki, jak zapamiętała.

Jahmose i Hori mruczyli razem:

— Siedemdziesiąt trzy buszle jęczmienia od młodszego Ipi...

— Więc całość to dwieście trzydzieści orkiszu i sto dwadzieścia jęczmienia.

— Tak, ale jest jeszcze cena drewna, a za zboże zapłacono w Perhaa olejem...

Ich rozmowa toczyła się dalej. Renisenb siedziała sennie, zadowolona z pomruku męskich głosów w tle. Teraz Jahmose wstał i odszedł zwracając Horiemu rulon papirusu.

Renisenb siedziała nadal w towarzyskim milczeniu. Dotknęła papirusu i spytała:

— To od mojego ojca?

Hori skinął głową.

— Co pisze? — spytała ciekawie.

Rozwinęła papirus i patrzyła na znaki nic nie znaczące dla jej nieuczonych oczu.

Uśmiechając się lekko, Hori spojrzał jej przez ramię i przeczytał wodząc palcem. List ułożony był w kwiecistym stylu zawodowego pisarza z Herakleopolis.

Sługa majątku, sługa ka, Imhotep, powiada: Niech stan wasz będzie taki jak tego, który żyje milion lat. Niech bóg Herishaf, pan Herakleopolis i wszyscy bogowie, którzy istnieją, będą wam pomocni. Niech bóg Ptah rozjaśni wasze serca, abyście żyli długo. Syn mówi do swej matki, sługa ka do swej matki Esy. Jak się czujesz w życiu swoim, bezpieczeństwie i zdrowiu? Do wszystkich domowników, jak się miewacie? Do mego syna Jahmosego, jak się miewasz w życiu swoim, bezpieczeństwie i zdrowiu? Zbierz jak najwięcej z mojej ziemi. Starajcie się najusilniej, ryjcie ziemię nosami w pracy waszej. Jeśli będziecie pracowici, wystawię was przed bogiem...

Renisenb roześmiała się.

— Biedny Jahmose! Pracuje wystarczająco ciężko.

Napomnienia ojca przywiodły jego postać wyraźnie przed jej oczy: napuszony, trochę zrzędlawy sposób bycia, ciągle napomnienia i instrukcje.

Hori czytał dalej:

Opiekujcie się dobrze moim synem, Ipy, słyszę że jest niezadowolony. Dopilnujcie, aby Satipy traktowała dobrze Henet. Pamiętajcie o tym. Nie zapomnijcie napisać o lnieniu i oleju. Pilnujcie produkcji mojego ziarna, pilnujcie wszystkiego co moje, gdyż będziecie za to odpowiedzialni. Jeśli moje ziemie zostaną zalane, biada tobie i Sobkowi.

— Ojciec jest taki jak zawsze — powiedziała Renisenb zadowolona — zawsze myśli, że nic nie może być dobrze zrobione, kiedy jego tu nie ma.

Zwinęła papirus i dodała miękko:

— Wszystko jest dokładnie takie samo...

Hori nie odpowiedział. Wyciągnął papirus i zaczął pisać. Renisenb obserwowała go leniwie przez chwilę. Czuła się zbyt zadowolona, żeby rozmawiać. Po chwili jednak powiedziała sennie:

— Chciałabym wiedzieć, jak pisze się na papirusie. Dlaczego nie wszyscy się tego uczą?

— To nie jest konieczne.

— Być może nie jest konieczne, ale mogłoby być przyjemne.

— Tak myślisz, Renisenb? Jakie by to miało znaczenie dla ciebie?

Renisenb zastanowiła się i po chwili odparła powoli:

— Doprawdy nie wiem, Hori.

— Obecnie w dużym majątku, jak ten, potrzeba zaledwie kilku skrybów, ale przyjdzie dzień, kiedy w całym Egipcie będą armie skrybów.

— To dobrze? — spytała Renisenb.

Hori odrzekł powoli:

— Nie jestem taki pewien.

— Dlaczego nie jesteś pewien?

— Ponieważ, Renisenb, tak prosto i bez wysiłku zapisuje się dziesięć buszli jęczmienia czy sto sztuk bydła, czy dziesięć pól orkiszu — rzecz napisana zacznie wydawać się prawdziwą i dlatego pisarz i skryba złączą pogardzać ludźmi, którzy orzą pola, żną jęczmień i hodują bydło. A przecież pola i bydło są prawdziwe, nie są tylko znakami atramentu na papirusie. I gdyby wszystkie rejestry i wszystkie rulony papirusu zostały zniszczone, a wszyscy skrybowie rozpędzeni, ludzie, którzy ciężko pracują i zbierają plony, robiliby to nadal i Egipt ciągle by żył.

Renisenb spojrzała na niego uważnie.

— Rozumiem, co masz na myśli. Tylko rzeczy, które możesz zobaczyć, dotknąć i zjeść, są prawdziwe... Zapisane: „Mam dwieście czterdzieści buszli jęczmienia” nic nie oznacza, jeśli nie masz jęczmienia. Można pisać kłamstwa.

Hori uśmiechnął się do jej poważnej twarzy. Renisenb nagle przypomniała:

— Naprawiłeś mojego lwa, dawno temu, pamiętasz?

— Tak, pamiętam, Renisenb.

— Teraz Teti się nim bawi... To ten sam lew. — Przerwała, po czym dodała zwyczajnym tonem: — Gdy Khay odszedł do Ozyrysa, byłam bardzo smutna. Ale teraz wróciłam do domu i będę znowu szczęśliwa i zapomnę, ponieważ wszystko tutaj jest jak dawniej. Nic się nie zmieniło.

— Naprawdę tak uważasz?

Renisenb spojrzała na niego uważnie.

— Co masz na myśli, Hori?

— To, że zawsze jest jakaś zmiana. Osiem lat to osiem lat.

— Tutaj nic się nie zmienia — odparła Renisenb z przekonaniem.

— Może więc powinno się zmienić.

— Nie, nie, chcę, żeby wszystko było tak samo!

— Ale ty sama nie jesteś tą samą Renisenb, która odeszła z Khayem.

— Ależ jestem! A jeśli nie, wkrótce znowu nią będę.

Hori pokręcił głową.

— Nie możesz się cofnąć, Renisenb. To jest jak te moje rachunki. Biorę pół i dodaję do tego ćwierć, a potem jedną dziesiątą i jedną dwudziestą czwartą — i na końcu, widzisz, jest zupełnie inna wielkość.

— Ale ja jestem po prostu Renisenb.

— Ale Renisenb dodaje coś do siebie nieustannie, więc staje się ciągle inną Renisenb!

— Nie, nie, ty jesteś tym samym Horim.

— Możesz tak myśleć, ale tak nie jest.

— Tak, i Jahmose jest taki sam, zmartwiony i zaniepokojony, i Satipy tyranizuje go tak samo, i ona z Kait tak samo kłóca się o maty i koraliki, a teraz, gdy wrócę, będą śmiały się razem jak najlepsze przyjaciółki, i Henet ciągle skrada się i podsłuchuje i skamle o swoim poświęceniu, i moja babka wyklóca się ze służbą o jakieś płótno! Wszystko było tak samo, a teraz ojciec wróci do domu i będzie wielkie zamieszanie i powie: „Czemu nie zrobiliście tego?” i „Powinniście byli zrobić tamto”, i Jahmose będzie zmartwiony, a Sobek będzie się śmiał i będzie zuchwały, a ojciec będzie rozpieszczał Ipy, który ma szesnaście lat, tak samo jak rozpieszczał go, kiedy miał osiem, i wcale nic nie będzie inaczej! — przerwała zdyszana.

Hori westchnął.

— Nie rozumiesz, Renisenb. Jest zło, które przychodzi z zewnątrz, które atakuje tak, że cały świat to widzi, ale istnieje też zepsucie, które lęgnie się wewnątrz, którego nie widać. Rozwija się powoli, dzień po dniu, aż w końcu cały owoc jest zepsuty, przeżarty przez zarazę.

Renisenb nie odrywała od niego wzroku. Mówił niemal nieobecny głosem, jak gdyby nie do niej, lecz do siebie samego.

— O czym ty myślisz, Hori? — zawołała nagle ostro. — Przestraszyłeś mnie.

— Ja sam się boję.

— Ale co masz na myśli? Co to za zło, o którym mówisz?

Spojrzał na nią wtedy i nagle się roześmiał.

— Zapomnij, co powiedziałem, Renisenb. Myślałem o zarazie, która atakuje zboże.

Renisenb odetchnęła z ulgą.

— Cieszę się. Myślałam... nie wiem, co myślałam.

Rozdział drugi

Trzeci miesiąc wylewu — dzień czwarty

I

Satipy mówiła do Jahmosego. Jej głos brzmiał wysoką, piskliwą nutą, rzadko zmieniającą barwę.

— Mówię ci, musisz się postawić. Nigdy nie będziesz ceniony, jeśli się nie postawisz. Twój ojciec mówi, że to ma być zrobione i tamto ma być zrobione i czemu nie zrobiłeś czegoś tam. A ty słuchasz potulnie, odpowiadasz: „tak, tak” i tłumaczysz się z rzeczy, które według niego powinny były zostać zrobione, a które, jeden Bóg wie, są często zupełnie niemożliwe do zrobienia! Ojciec traktuje cię jak dziecko — jak nieodpowiedzialnego chłopca! Jakbyś był w wieku Ipy.

Jahmose odparł spokojnie:

— Mój ojciec nie traktuje mnie tak jak Ipy.

— Rzeczywiście nie — Satipy podjęła następny temat z nową porcją jadu. — Zgłupiał na punkcie tego zepsutego dzieciucha! Dzień po dniu Ipy staje się coraz bardziej nieznośny. Zadziiera nosa, w niczym nie pomaga i udaje, że wszystko, o co się go poprosi, jest dla niego za ciężkie! To skandal. A wszystko dlatego, że ojciec zawsze mu pobłaża i bierze jego stronę. Powinniście z Sobkiem twardo postawić tę sprawę.

Jahmose wzruszył ramionami.

— Na co się to przyda?

— Doprowadzasz mnie do szału, Jahmose, to w twoim stylu! Nie masz odwagi. Jesteś potulny jak kobieta! Zgadzasz się natychmiast ze wszystkim, co powie twój ojciec!

— Bardzo kocham mojego ojca.

— Tak, i on to wykorzystuje! A więc dalej pokornie przyjmuj oskarżenia i usprawiedliwaj się za nie swoje przewiny! Powinieneś mówić głośno i odcinać się jak Sobek. Sobek nikogo się nie boi!

— Tak, ale pamiętaj, że to mnie ufa ojciec, a nie Sobkowi. Ojciec nie ma do niego zaufania. Polega na mojej ocenie, nie jego.

— I dlatego zdecydowanie powinieneś zostać partnerem w majątku. Reprezentujesz ojca, gdy wyjeżdża, występujesz jako kapłan ka podczas jego nieobecności, wszystko jest w twoich rękach, a mimo to nie masz żadnej formalnej władzy. Powinien być porządny kontrakt. Jesteś już prawie w średnim wieku. To niewłaściwe, żebyś nadal był traktowany jak dziecko.

Jahmose odparł z powątpiewaniem:

— Ojciec lubi trzymać wszystko w swoich rękach.

— Właśnie. Cieszy go, że wszyscy domownicy są zależni od niego i od jego chwilowych kaprysów. To źle, a będzie jeszcze gorzej. Tym razem, gdy wróci do domu, musisz go śmiało przycisnąć, musisz powiedzieć, że żądasz kontraktu na piśmie, że nalegasz, aby mieć uregulowaną pozycję.

— Nie będzie słuchał.

— Więc go zmusz, żeby słuchał. Och, gdybym była mężczyzną! Gdybym ja była na twoim miejscu, wiedziałabym, co zrobić! Czasami czuję się, jakbym była żoną robaka.

Jahmose zaczerwienił się.

— Zobaczą, co się da zrobić. Chyba rzeczywiście mógłbym porozmawiać z ojcem, poprosić go...

— Nie prosić, musisz żądać! W końcu jest od ciebie zależny. Nikt inny nie może go zastąpić. Sobek jest zbyt postrzelony, twój ojciec mu nie ufa, a Ipy jest za młody.

— Zawsze jeszcze jest Hori.

— Hori nie należy do rodziny. Ojciec polega na jego zdaniu, ale władzę powierzy tylko komuś swojej krwi. Ale widzę, że jesteś za potulny i łagodny, w twoich żyłach płynie mleko, nie krew. Nie dbasz o mnie ani o dzieci. Dopiero kiedy twój ojciec umrze, będziemy mieli należną nam pozycję.

— Gardzisz mną, Satipy, prawda? — powiedział ciężko Jahmose.

— Złóścisz mnie.

— Słuchaj. Mówię ci, że rozmawiam z ojcem, gdy wróci. Obiecuję.

Satipy mruknęła pod nosem:

— Tak, ale jak rozmawiasz? Jak mężczyzna czy jak mysz?

II

Kait bawiła się ze swoim najmłodszym dzieckiem, małą Ankh. Dziewczynka właśnie zaczynała chodzić i Kait zachęcała ją ze śmiechem, klęcząc przed nią i czekając z wyciągniętymi ramionami, aż chwiejnym krokiem przydrepce na niepewnych nóżkach w ramiona matki.

Kait prezentowała te osiągnięcia Sobkowi, ale zorientowała się nagle, że on nie uważa, lecz siedzi marszcząc piękne czoło.

— Och, Sobek, nie patrzyłeś. Nie widzisz. Malutka, powiedz tatusiowi, że jest niegrzeczny, bo nie patrzy na ciebie.

Sobek odparł nerwowo:

— Mam inne rzeczy na głowie i mam się czym martwić.

Kait odchyliła się na piętach odgarniając z ciężkich, czarnych brwi włosy potargane palcami Ankh.

— Dlaczego? Czy coś się stało? — Zadała pytanie prawie mechanicznie, bez zainteresowania.

Sobek powiedział ze złością:

— Problem w tym, że mi się nie ufa. Mój ojciec jest starym człowiekiem, o staromodnych poglądach i upiera się przy swoim zdaniu w każdej najdrobniejszej rzeczy. Nie zostawi niczego do mojego uznania.

Kait pokręciła głową i mruknęła niewyraźnie:

— Tak, tak, to straszne.

— Gdyby tylko Jahmose miał więcej odwagi i poparł mnie, byłaby nadzieja na przywołanie ojca do rozsądku. Ale Jahmose jest taki nieśmiały. Wypełnia każde najdrobniejsze polecenie ojca co do joty.

Kait brzęczała koralikami nad dzieckiem i mruzczała:

— Tak, to prawda.

— W sprawie tego drewna powiem ojcu, kiedy wróci, że sam zdecydowałem. Było o wiele lepiej wziąć zapłatę w lnianych niż w oleju.

— Jestem pewna, że masz rację.

— Ale ojciec zawsze upiera się, że wie najlepiej. Narobi krzyku, będzie wrzeszczał: „Mówiłem ci, żebyś przeprowadził transakcję w oleju. Wszystko robicie źle, kiedy mnie nie ma. Jesteś głupcem, który nic nie wie”. Jak on myśli, ile ja mam lat? Nie rozumie, że jestem mężczyzną w kwiecie wieku, a jego lata już minęły. Przez jego polecenia i niechęć do moich niezwykłych transakcji nie robimy tak dobrego interesu, jakbyśmy mogli. Żeby zyskać bogactwa, trzeba trochę zaryzykować. Mam wizję i odwagę. Ojciec ich nie ma.

Z oczami zwróconymi na dziecko Kait mruknęła cicho:

— Jesteś taki odważny i bystry, Sobku.

— Ale tym razem usłyszysz trochę prawdy, jeśli ośmieli się mnie obwiniać i obrażać. Jeśli nie dostanę wolnej ręki, odejdę.

Kait z ręką wyciągniętą do dziecka odwróciła się gwałtownie i zastygła.

— Odejdiesz? Gdzie byś poszedł?

— Gdziekolwiek! To nie do zniesienia być poniewieranym i strofowanym przez krzykliwego, zarozumiałego starca, który nie daje mi swobody działania, żebym mógł pokazać, co potrafię.

— Nie — powiedziała Kait ostro. — Nie zgadzam się, Sobku.

Spojrzał na nią, jakby dopiero jej ton przypomniał mu o jej obecności. Tak już przywykł, że była zaledwie kojącym akompaniamentem do jego gadaniny, że często zapomniał o tym, że jest żyjącą, myślącą kobietą.

— Co masz na myśli, Kait?

— To, że nie pozwolę ci zrobić głupstwa. Cały majątek należy do twojego ojca: ziemie, uprawy, bydło, drewno, pola Inu — wszystko! Kiedy ojciec umrze, to będzie nasze: twoje, Jahmosego i naszych dzieci. Jeżeli pokłócisz się z ojcem i odejdziesz, podzielisz swoją część między Jahmosego i Ipy — i tak już kocha Ipy za bardzo. Ipy o tym wie i wykorzystuje. Nie wolno ci grać na korzyść Ipy. Bardzo by mu odpowiadało, gdybyś pokłócił się z Imhotepem i odszedł. Musimy myśleć o naszych dzieciach.

Sobek przez chwilę bez słowa wpatrywał się w żonę. Potem roześmiał się krótko, zdumiony.

— Kobieta jest zawsze pełna niespodzianek. Nie wiedziałem, Kait, że jest w tobie tyle zawziętości.

Kait odparła poważnie:

— Nie kłóć się z ojcem. Nie odcinaj mu się. Bądź mądry jeszcze przez jakiś czas.

— Może masz rację... ale to może trwać latami. Ojciec powinien zrobić nas partnerami.

Kait pokręciła głową.

— Nie zrobi tego. Za bardzo lubi powtarzać, że wszyscy jemy jego chleb, że wszyscy jesteśmy od niego zależni, że bez niego nigdzie byśmy nie zaszli.

Sobek spojrzał na nią zdziwiony.

— Nie bardzo lubisz mojego ojca, Kait.

Ale ona już pochyliła się nad drepczącym niezdarnie dzieckiem.

— Chodź kochanie, patrz, twoja lalczka. No chodź, chodź...

Sobek spojrzał na jej pochyloną czarną głowę i zaintrygowany odszedł.

III

Esa posłała po swego wnuka, Ipy.

Chłopiec, przystojny, skwaszony wyrostek, stał przed nią, a ona łajała go ostrym głosem. Jej prawie niewidome, zamglone oczy bystro spoglądały na wnuka.

— Co ja słyszę? Tego nie zrobisz, tamtego nie zrobisz? Chcesz doglądać wołów, ale nie lubisz chodzić z Jahmosem na pola upraw? Do czego to dojdzie, jeśli takie dziecko jak ty mówi co będzie, a czego nie będzie robić?

Ipy odrzekł ponuro:

— Nie jestem dzieckiem. Jestem już dorosły, więc dlaczego mam być traktowany jak dziecko? Posyłany do tej czy innej pracy bez prawa głosu i bez osobnej pensji. Jahmose ciągle mi rozkazuje. Co on sobie wyobraża? Zdaje mu się, że kim jest?

— Jest twoim starszym bratem i rządzi tutaj, gdy mój syn, Imhotep, jest nieobecny.

— Jahmose jest głupi, powolny i głupi. Jestem znacznie bystrzejszy niż on. I Sobek także jest głupi, chociaż tak się przechwala i opowiada, jaki jest sprytny! Ojciec już pisał i rozkazał, że mam wykonywać pracę, jaką sam wybiorę.

— To znaczy żadną — wtrąciła stara Esa.

— I że mam dostawać więcej jedzenia i picia, i że jeśli usłyszysz, że jestem niezadowolony i nie byłem dobrze traktowany, będzie bardzo zły.

Mówiąc to uśmiechał się przebiegle.

— Jesteś zepsutym smarkaczem — stwierdziła Esa z energią — i powiem o tym Imhotepowi.

— Nie, babciu, nie zrobisz tego. — Jego uśmiech stał się przymilny i odrobinę bezczelny. — W tej rodzinie tylko ty i ja, babciu, mamy rozum.

— Co za bezczelność!

— Ojciec polega na twoim zdaniu, wie, że jesteś mądra.

— Możliwe... istotnie tak jest, ale nie potrzebuję, żebyś ty mi to mówił.

Ipy roześmiał się.

— Byłoby lepiej, żebyś trzymała moją stronę, babciu.

— Co to za gadanie o stronach?

— Starsi bracia są bardzo niezadowoleni, nie wiesz o tym? Oczywiście, że wiesz. Henet wszystko ci mówi. Satipy ciosa Jahmosemu kołki na głowie dzień i noc, kiedy tylko może go dopaść. A Sobek zrobił z siebie głupka tą sprzedażą drewna i boi się, że ojciec będzie wściekły, kiedy się dowie. Widzisz babciu, za rok lub dwa ja zostanę partnerem ojca, a on zrobi wszystko, co będę chciał.

— Ty, najmłodszy w rodzinie?

— Jakie znaczenie ma wiek? Ojciec ma władzę, a ja wiem, jak nim kierować.

— Złe jest to, co mówisz — powiedziała Esa.

Ipy odparł cicho:

— Nie jesteś głupia, babciu... Wiesz całkiem dobrze, że mój ojciec, wbrew pozorom, jest słabym człowiekiem...

Przerwał nagle zauważywszy, że Esa podniosła głowę i spogląda ponad jego ramieniem. Odwrócił się i ujrzał Henet stojącą tuż za nim.

— Więc Imhotep jest słabym człowiekiem? — powiedziała Henet cichym, jęklwym głosem. — Sądzę, że nie będzie zadowolony, gdy się dowie, że w taki sposób o nim mówisz.

Ipy roześmiał się krótko, niepewnie.

— Ale ty mu nie powiesz, Henet... No, Henet, obiecaj mi... Kochana Henet...

Henet prześliznęła się w stronę Esy.

— Oczywiście, nie chcę robić kłopotów — mówiła jęklonie lekko podniesionym głosem. — Wiesz o tym, że jestem oddana wam wszystkim. Nigdy niczego nie powtarzam, jeśli nie jest to moim obowiązkiem.

— Pokpiwałem z babci, to wszystko. Tak powiem ojcu. Będzie wiedział, że nie powiedziałbym czegoś takiego poważnie.

Szybko skinął głową w stronę Henet i wyszedł z pokoju.

Henet posłała za nim spojrzenie i zauważyła:

— Ładny chłopiec, ładny wyrosnięty chłopiec. I jak odważnie mówi!

Esa odparła ostro:

— Mówi niebezpiecznie. Nie podobają mi się jego myśli. Mój syn zbyt mu pobłaża.

— Cóż w tym dziwnego? Jest taki przystojny.

— Piękne jest to, co pięknie czyni — ostro rzekła Esa i po chwili dodała: — Henet, martwię się.

— Martwisz się, Eso? Czymże miałabyś się martwić? Poza tym, pan wkrótce tu będzie i wszystko skończy się dobrze.

— Czyżby? Nie jestem pewna. — Zamyśliła się, po czym spytała nieoczekiwanie: — Czy mój wnuk, Jahmose, jest w domu?

— Widziałam, jak szedł w stronę sieni chwilę temu.

— Idź i powiedz mu, że chcę z nim mówić.

Henet odeszła. Znalazła Jahmosego na chłodnym ganku z wesołymi, barwnymi kolumnami i przekazała mu wiadomość od Esy.

Jahmose stawiał się natychmiast na wezwanie.

— Jahmose, już wkrótce przybędzie Imhotep — rzekła szorstko Esa.

Łagodna twarz Jahmosego rozjaśniła się.

— Tak, to naprawdę dobrze.

— Czy wszystko w porządku? Sprawy dobrze idą?

— Polecenia mojego ojca zostały wypełnione tak, jak zdołałem je pojąć.

— Co z Ipy?

Jahmose westchnął.

— Ojciec jest zbyt pobłażliwy, gdy idzie o tego chłopca. To niedobrze dla chłopaka.

— Musisz to wyjaśnić Imhotepowi.

Jahmose spojrział z powątpiewaniem.

— Poprę cię — przyrzekła Esa.

— Czasami — odparł Jahmose wzdychając — wydaje się, że nie ma nic tylko trudności. Ale wszystko będzie w porządku, kiedy ojciec wróci. Sam o wszystkim zadecydu-

je. Trudno jest działać według jego woli podczas jego nieobecności, szczególnie, jeśli nie mam żadnej władzy i działam tylko jako jego pełnomocnik.

— Jesteś dobrym synem — rzekła powoli Esa — lojalnym i kochającym. Jesteś także dobrym mężem, wypełniasz przykazanie, które mówi, że mężczyzna powinien kochać swoją żonę, stworzyć jej dom, napełnić żołądek i odziewać ją, dostarczać drogich olejków do toalety i radować jej serce aż do końca jej dni. Ale jest jeszcze jeden nakaz, mówi on: „Nie dopuść, aby sięgnęła po władzę”. Gdybym była tobą, mój wnuku, wzięłabym go sobie do serca...

Jahmose spojrział na nią, zaczerwienił się mocno i odszedł.

Rozdział trzeci

Trzeci miesiąc wylewu — dzień czternasty

I

Wszędzie widać było krzątanie i przygotowania. W kuchni pieczono setki bochenków, rumieniły się przyrządzone kaczki, pachniało porami, czosnkiem i ziołami. Kobiety krzyczały i wydawały rozkazy, służący biegali tam i z powrotem.

Zewsząd dobiegało: „Pan, pan przyjeżdża...” Renisenb, pomagając pleść girlandy z maków i kwiatów lotosu, czuła podniecającą radość w sercu. Jej ojciec przyjeżdża do domu! W ciągu ostatnich kilku tygodni z powrotem wślizgnęła się niedostrzegalnie w ramy swego dawnego życia. Początkowe poczucie niepewności i obcości wywołane, jak sądziła, słowami Horiego, znikło. Była tą samą Renisenb. Jahmose, Satipy, Sobek i Kait byli tacy sami. Teraz, jak dawniej, widziała krzątanicę i zgiełk przygotowań na powrót Imhotepa. Doniesiono, że będzie z nimi przed nocą. Jeden ze służących trzymał straż na brzegu rzeki, aby uprzedzić o zbliżaniu się pana i nagle jego głos zabrzmiał głośno i wyraźnie umówionym sygnałem.

Renisenb rzuciła kwiaty i pobiegła z innymi. Wszyscy pośpieszyli ku miejscu do cumowania na brzegu rzeki. Jahmose i Sobek już tam byli pośród grupki wieśniaków, rybaków i robotników wykrzykujących i pokazujących coś w podnieceniu.

Tak, widać było łódź płynącą szybko w górę rzeki, a północny wiatr wydymał wielki kwadratowy żagiel. Tuż za nią płynęła łódź pomocnicza z tłumem mężczyzn i kobiet. Renisenb mogła już rozpoznać ojca siedzącego z kwiatem lotosu, a obok niego kogoś, kogo wzięła za pieśniarza.

Krzyki na brzegu wzmogły się, Imhotep machał na powitanie, żeglarze obracali statek i ciągnęli fały. Krzyczano: „Witaj, panie”, wzywano bogów i dziękowano za jego bezpieczny powrót, a kilka minut później Imhotep zszedł na brzeg witając rodzinę i odpowiadając na głośne powitania zgodnie z etykietą.

— Chwała Sobkowi, dziecku Neith, który przywiódł cię bezpiecznie wodami! Chwała Ptahowi, na południe od murów Memfis, który przyprowadził cię do nas! Dzięki Re, który rozświetla Dwa Państwa!

Renisenb przepchnęła się do przodu, upojona ogólną euforią.

Imhotep wyprostował się dumnie i nagle Renisenb pomyślała: „Ależ on jest mały. Zawsze myślałam, że jest znacznie wyższy”. Doświadczyła uczucia graniczącego z przeżeniem. Czy ojciec się skurczył? Czy może jej własna pamięć była tak zawodna? Myślała o nim jako o kimś wspaniałym, despotycznym, często krzykliwym, strofującym każdego na prawo i lewo, a czasem prowokującym ją do cichego, ukrytego śmiechu, ale pomimo wszystko jako o osobistości. Ale ten mały, tęgi starszy człowiek, nadęty własną ważnością, a jednak jakby nie potrafiący wyrzeć wrażenia... Co się z nią dzieje? Skąd te nielojalne myśli przychodzą jej do głowy?

Skończywszy donośne i ceremonialne frazy rozpoczął bardziej osobiste przywitania. Uściskał synów.

— Ach, mój dobry Jahmose, taki uśmiechnięty, byłeś pracowity podczas mojej nieobecności, jestem pewien... A Sobek, mój przystojny syn, ciągle z radością w sercu, jak widzę. I oto Ipy, mój najdroższy Ipy, niech no spojrzę na ciebie... stań dalej... No, urosłeś, zmężniałeś, jakże cieszy się moje serce, że mogę znów cię objąć. A Renisenb — moja droga córka — znów w domu. Satipy, Kait, moje nie mniej drogie córki... I Henet, wierna Henet...

Henet klęczała, obejmując jego kolana i ostentacyjnie ocierając łzy radości.

— Dobrze cię widzieć, Henet, jak się miewasz, zadowolona? Oddana jak zawsze, to przyjemne dla serca... I mój wspaniały Hori, taki bystry w rachunkach i piśmie! Czy wszystko układało się pomyślnie? Jestem tego pewien.

Gdy powitania się skończyły, Imhotep podniósł rękę nakazując ciszę i przemówił głośno i wyraźnie:

— Moi synowie i córki, przyjaciele. Mam dla was nowinę. Przez wiele lat, jak wiecie, pod pewnym względem byłem samotnym człowiekiem. Moja żona (wasza matka, Jahmose i Sobku) i moja siostra (twoja matka, Ipy) odeszły do Ozyrysa wiele lat temu. Więc przyprowadzam wam, Satipy i Kait nową siostrę, aby dzieliła z wami dom. Oto moja konkubina Nofret, którą macie kochać przez wzgląd na mnie. Przybyła ze mną z Memfis na Północy i zamieszka z wami, kiedy znowu odjadę.

To powiedziawszy przyciągnął kobietę za rękę. Stała obok niego, odrzuciła głowę do tyłu, zmrużyła oczy, młoda, arogancka i piękna.

Renisenb pomyślała zaszokowana: „Ależ ona jest całkiem młoda, może młodsza ode mnie”.

Nofret stała spokojnie. Błady uśmiech widoczny na jej ustach miał w sobie więcej drwiny niż zadowolenia.

Miała bardzo proste czarne brwi i skórę pięknej brązowej barwy, a rzęsy były tak długie i gęste, że trudno było dojrzeć jej oczy.

Rodzina, zaskoczona, patrzyła w głuchym milczeniu. Z odrobiną irytacji w głosie Imhotep powiedział:

— No, dzieci, przywitajcie Nofret. Czyż nie wiecie, jak powitać konkubinę waszego ojca, gdy przyprowadza ją do swojego domu?

Wszyscy niechętnie wydukali powitanie i Imhotep z serdecznością, która być może maskowała niepewność, wykrzyknął radośnie:

— Tak lepiej! Nofret, Satipy, Kait i Renisenb zabiorą cię do pomieszczeń dla kobiet. Gdzie są kufry? Czy wyniesiono je na brzeg?

Kufry podróżne z obłymi wiekami wynoszono akurat z łodzi. Imhotep powiedział do Nofret:

— Twoje klejnoty i ubrania są tutaj bezpieczne. Idź i przypilnuj ich wypakowania.

Gdy kobiety oddaliły się razem, zwrócił się do synów.

— A co z majątkiem? Jak stoją sprawy?

— Niższe pola, te, które ma w dzierżawie Nakhet — zaczął Jahmose, ale ojciec przerwał mu natychmiast.

— Teraz bez szczegółów, kochany Jahmose. Mogą poczekać. Dziś będziemy się radować. Jutro ty, ja i Hori weźmiemy się za interesy. Chodź Ipy, mój chłopcze, pójdźmy do domu. Ależ jesteś wysoki, przerosłeś mnie.

Sobek szedł za ojcem i Ipy nachmurzony mruczał Jahmosemu do ucha:

— Klejnoty i ubrania, słyszałeś? Oto, gdzie podziały się dochody z północnych majątków. Nasze dochody.

— Cicho — szepnął Jahmose — ojciec usłyszy.

— I cóż z tego? Nie boję się go tak, jak ty.

W domu Henet przyszła do komnaty Imhotepa przygotować kąpiel. Była cała w uśmiechach.

Imhotep porzucił odrobinę swoją defensywną serdeczność.

— No, Henet, co myślisz o moim wyborze?

Chociaż zdecydowany był z nikim się nie liczyć, znakomicie wiedział, że pojawienie się Nofret wywoła burzę, przynajmniej wśród kobiet. Henet była inna. Wyjątkowo oddane stworzenie. Nie rozczarowała go.

— Jest piękna! Doprawdy piękna! Jakie włosy, jakie nogi! Jest ciebie warta, Imhotepie, cóż mogę więcej powiedzieć? Twoja droga zmarła żona byłaby zadowolona, że wybrałaś taką towarzyszkę, aby umiała twoje dni.

— Tak myślisz, Henet?

— Jestem tego pewna, Imhotepie. Tyle lat ją opłakiwałeś, aż przyszedł czas, abyś raz jeszcze ucieszył się życiem.

— Dobrze ją znałaś... Ja także czułem, że czas, abym żył jak mężczyzna. Moje synowe i córka — czy myślisz, że przyjmują to z oburzeniem?

— Lepiej, żeby się nie oburzali — powiedziała Henet. — W końcu, czy wszystko w tym domu nie zależy od ciebie?

— Szczera prawda, szczera prawda — przyznał Imhotep.

— Twoja hojność karmi ich i odziewa, ich dobrobyt jest wyłącznie twoją zasługą.

— Tak, w istocie — westchnął Imhotep — ciągle działałam dla ich dobra. Czasem wątpię, czy zdają sobie sprawę, co mi zawdzięczają.

— Musisz im o tym przypominać — poradziła Henet kiwając głową. — Ja, twoja pokorna, oddana Henet, nigdy nie zapominam, co ci jestem winna, ale dzieci są czasem bezmyślne i samolubne, myślą, że to one są najważniejsze, i nie rozumieją, że wypełniają tylko twoje polecenia.

— To rzeczywiście prawda — odparł Imhotep. — Zawsze mówiłem, że jesteś inteligentnym stworzeniem, Henet.

— Szkoda, że inni tak nie myślą — westchnęła Henet.

— Cóż to znaczy? Czy ktoś był dla ciebie niedobry?

— Nie, nie, nie to... oni nie chcieli... to dla nich oczywiste, że powinnam pracować bez przerwy (co z radością robię), ale słowo sympatii i aprobaty, to co innego.

— To zawsze masz ode mnie — powiedział Imhotep — i ten dom zawsze będzie twoim domem, pamiętaj.

— Jesteś tak dobry, panie — podziękowała i zmieniła temat. — Niewolnicy czekają w łaźni z gorącą wodą, a kiedy się wykąpiesz i ubierzesz, twoja matka prosiła, abyś do niej przyszedł.

— Moja matka? Tak, tak oczywiście...

Imhotep nagle lekko się zmieszał. Aby to pokryć, szybko dodał:

— Naturalnie, miałem taki zamiar. Powiedz Esie, że przyjdę.

II

Esa, ubrana w swoją najlepszą plisowaną płócienną suknię, spoglądała na syna z rodzajem sardonicznego rozbawienia.

— Witaj, Imhotepie. Więc powróciłeś do nas... i nie sam, jak słyszę.

Imhotep, wyprostowawszy się, odparł lekko zawstydzony:

— Och, więc słyszałaś?

— Oczywiście. Dom huczy od nowin. Mówią, że dziewczyna jest piękna i całkiem młoda.

— Ma dziewiętnaście lat i jest... niebrzydka.

Esa roześmiała się złośliwym chichotem starej kobiety.

— No cóż — powiedziała — nie ma większego głupca niż stary głupiec.

— Moja droga matko, doprawdy nie rozumiem, co masz na myśli.

Esa odparła spokojnie:

— Zawsze byłeś głupcem, Imhotepie.

Imhotep wyprostował się i prychnął ze złością. Chociaż zazwyczaj był przyjemnie świadomy swojej ważności, matka potrafiła zawsze przekłuć pancierz jego miłości własnej. W jej obecności czuł się osłabiony. Słaby, sarkastyczny błysk jej prawie niewidomych oczu zawsze go wprawiał w zakłopotanie. Matka, nie dało się zaprzeczyć, nigdy nie miała przesadnie dobrego zdania o jego umiejętnościach i zdolnościach. I chociaż dobrze wiedział, że jego własne zdanie o sobie jest prawdziwe, a matczyne lekceważenie nie ma znaczenia, to jednak zawsze raniło jego próżność.

— Czy jest coś niezwykłego w tym, że mężczyzna przyprawia do domu konkubinę?

— Nic niezwykłego. Mężczyźni zazwyczaj są głupcami.

— Nie rozumiem, gdzie tu głupota.

— Czy wyobrażasz sobie, że obecność tej dziewczyny stworzy w domu harmonię? Satipy i Kait będą wściekłe i podburzą swoich mężów.

— Co to ma z nimi wspólnego? Jakie mają prawo protestować?

— Żadnego.

Imhotep zaczął chodzić tam i z powrotem zdenerwowany.

— Czy we własnym domu nie mogę robić, co mi się podoba? Czy nie utrzymuję synów i ich żon? Czy nie zawdzięczają mi każdego kawałka chleba, który jedzą? Czy im tego stale nie powtarzam?

— Za bardzo lubisz im to mówić, Imhotepie.

— Bo to prawda. Wszyscy zależą ode mnie. Wszyscy!

— I jesteś pewien, że to dobrze?

— Czy chcesz powiedzieć, że to niedobrze, jeśli mężczyzna utrzymuje swoją rodzinę?

Esa westchnęła.

— Pamiętaj, że pracują dla ciebie.

— Chcesz, żebym zachęcał ich do próżnowania? Oczywiście, że pracują.

— Są dorosłymi mężczyznami, przynajmniej Jahmose i Sobek. Więcej niż dorosłymi.

— Sobek nie ma rozumu. Wszystko robi źle. Często jest bezczelny, czego nie będę tolerował. Jahmose jest dobrym, posłusznym chłopcem...

— Znacznie więcej niż chłopcem!

— Ale czasem muszę powtarzać mu różne rzeczy dwa albo trzy razy, zanim zrozumie. Muszę myśleć o wszystkim, być wszędzie! Cały czas, gdy mnie nie ma, dyktuję pisarzom, piszę instrukcje dla synów... Prawie nie odpoczywam, prawie nie śpię! I teraz, kiedy wracam do domu, zasłużysz na trochę spokoju, zanosi się na nowe trudności! Nawet ty, moja matka, nie przyznajesz mi prawa do posiadania konkubiny jak inni mężczyźni, jesteś zła...

Esa przerwała mu.

— Nie jestem zła. Jestem ubawiona. Będę się dobrze bawić obserwując to domostwo, ale radzę ci: kiedy wyjedziesz znowu na Północ, najlepiej zabierz dziewczynę ze sobą.

— Jej miejsce jest tutaj, w moim domu! I biada każdemu, kto odważy się ją źle traktować.

— Nie chodzi o złe traktowanie. Ale pamiętaj, łatwo wzniecić ogień na suchym ścierniku. Powiedziane jest o kobietach: „miejsce, w którym się znajdują, nie jest dobre”. Nofret jest piękna. Ale pamiętaj o tym, że gładkie członki kobiet czynią z mężczyzn głupców, i oto po chwili stają się jak spłowiałe ziele krwawnika... — Zacytowała głębokim głosem: — „Błahostka, drobiazg na podobieństwo snu, a śmierć jest zakończeniem...”

Rozdział czwarty

Trzeci miesiąc wylewu — dzień piętnasty

I

Imhotep słuchał wyjaśnień Sobka w sprawie sprzedaży drewna w złowieszczym milczeniu. Twarz mu poczerwieniała, a mała żyłka na skroni pulsowała.

Sobek spuścił trochę z tonu. Miał zamiar obstawać twardo przy swoim, ale w obliczu rosnącej dezaprobaty ojca zaczął się jąkać i wahać.

Imhotep w końcu przerwał mu zniecierpliwiony.

— Tak, tak, tak. Myślałeś, że wiesz więcej ode mnie, odstąpiłeś od moich instrukcji. Zawsze to samo! Jeśli nie mogę sam wszystkiego dopilnować... — westchnął. — Nie wyobrażam sobie, co by się z wami stało, chłopcy, gdyby nie ja!

Sobek mówił dalej uparcie:

— Była szansa zrobienia znacznie większego zysku — zaryzykowałem. Nie można stale używać wybiegów i być ostrożnym!

— Ty wcale nie jesteś ostrożny, Sobku! Jesteś nierozważny i zbyt odważny, a twoje opinie zawsze są błędne.

— Czy kiedykolwiek mam szansę się sprawdzić?

Imhotep odparł sucho:

— Zrobiłeś to tym razem, wbrew moim wyraźnym rozkazom...

— Rozkazom? Czy zawsze muszę słuchać rozkazów? Jestem dorosłym mężczyzną.

Tracąc panowanie nad sobą Imhotep wrzasnął:

— Kto cię karmi, kto cię ubiera? Kto myśli o przyszłości? Kto ciągle ma na uwadze twój dobrobyt, dobrobyt was wszystkich? Gdy rzeka opadła i groził głód, czyż nie kazałem posłać wam żywności na Południe? Jesteście szczęściarzami mając ojca, który myśli o wszystkim! I o co proszę w zamian? Tylko żebyście ciężko pracowali, starali się i wypełniali instrukcje, które wam przysyłałem...

— Tak — krzyknął Sobek — Mamy pracować dla ciebie jak niewolnicy, żebyś mógł kupować złoto i klejnoty dla swojej konkubiny!

Imhotep zbliżył się wściekły.

— Bezczelny smarkaczu... jak śmiesz tak mówić do ojca! Uważaj, bo powiem, że to już nie jest twój dom i możesz iść gdziekolwiek zechcesz.

— A ty uważaj, bo naprawdę odejdę! Mam pomysły, dobre pomysły, które przyniosłyby bogactwo, gdybym nie był związany małostkową ostrożnością i gdyby nie zabraniano mi działać według mego uznania.

— Skończyłeś?

Głos Imhotepa brzmiał złowieszczo. Sobek odrobinę spuścił z tonu i mruknął ze złością:

— Tak. Nie mam nic więcej do powiedzenia... na razie.

— Więc idź i dopilnuj bydła. Nie ma czasu na leniuchowanie.

Sobek odwrócił się i odszedł ze złością. Nofret stała niedaleko i, kiedy ją mijają, spoglądała na niego z ukosa i roześmiała się. Na ten śmiech krew uderzyła Sobkowi do głowy. Wściekły zrobił pół kroku w jej stronę. Stała całkiem nieruchomo patrząc na niego pogardliwie spod półprzymkniętych powiek. Sobek mruknął coś i poszedł w swoją stronę. Nofret zaśmiała się znowu i powoli podeszła do Imhotepa, który teraz zajął się Jahmosem.

— Co cię napadło, żeby pozwolić Sobkowi zachowywać się w taki głupi sposób? — spytał zdenerwowany. — Powinieneś być temu zapobiec! Nie wiesz jeszcze, że on nie ma pojęcia o handlu? Myśli, że wszystko ułoży się tak, jak on sobie zażyczy.

Jahmose odparł skruszony:

— Nie zdajesz sobie sprawy z moich trudności, ojczu. Kazałeś mi powierzyć Sobkowi sprzedaż drewna. Dlatego było konieczne, żeby postąpił według swego rozumu.

— Rozumu? Rozumu? On nie ma rozumu! Ma robić to, co mu każe, i twoja w tym głowa, żeby tak właśnie było.

Jahmose zaczerwienił się.

— Ja? Jaką ja mam władzę?

— Jaką władzę? Władzę, którą ja ci daję.

— Ale nie mam żadnej oficjalnej pozycji. Gdybym został legalnie twoim wspólnikiem...

Przerwał, kiedy podeszła Nofret. Ziewała i obracała w palcach szkarłatny mak.

— Nie pójdziesz do pawiloniku nad jeziorem, Imhotepie? Tam jest chłodno i czekają na ciebie owoce i piwo. Z pewnością skończyłeś na razie wydawać rozkazy.

— Za chwilę, Nofret, za chwilę.

Nofret powiedziała cichym, głębokim głosem:

— Chodź teraz. Chcę, żebyś poszedł teraz...

Imhotep wyglądał na zadowolonego i trochę zakłopotanego. Nim ojciec zdążył się odezwać, Jahmose wtrącił:

— Pomówmy najpierw o tym. To ważne. Chcę cię prosić...

Nofret zwróciła się bezpośrednio do Imhotepa:

— Czy nie możesz robić, co ci się podoba, we własnym domu?

— Innym razem, mój synu. Innym razem. — Imhotep ostro odprawił Jahmosego. Poszedł z Nofret, a Jahmose stał na ganku patrząc za nimi. Satipy przyłączyła się do niego.

— No i co — spytała niecierpliwie — rozmawiałeś z nim? Co powiedział? Jahmose westchnął.

— Nie bądź taka niecierpliwa, Satipy. Czas nie był... odpowiedni.

— Co ty nie powiesz! — wykrzyknęła gniewnie Satipy. — Zawsze będziesz mówił to samo. Prawda jest taka, że boisz się ojca, jesteś bojaźliwy jak owca, beczysz tylko, nie stajesz przed nim jak mężczyzna! Czy nie pamiętasz, co mi obiecałeś? Mówię ci, ja jestem bardziej mężczyzną z nas dwojga. Obiecujesz, mówisz: „poproszę ojca natychmiast, zaraz pierwszego dnia”. I co się dzieje... — Satipy urwała, dla zaczerpnięcia oddechu i Jahmose wtrącił łagodnie:

— Mylisz się, Satipy. Zacząłem mówić, ale przerwano nam.

— Przerwano? Kto?

— Nofret.

— Nofret! Ta wstrętna kobieta! Twój ojciec nie powinien pozwalać swojej konkubinie wtrącać się, gdy rozmawia o interesach z najstarszym synem.

Być może sam Jahmose żałował, że Satipy nie trzymała się zasady, którą bez zająknięcia wygłaszała, ale nie miał szansy mówić. Jego żona ciągnęła:

— Twój ojciec powinien był jej to od razu jasno powiedzieć.

— Mój ojciec — rzekł Jahmose sucho — nie wydawał się niezadowolony.

— To oburzające — stwierdziła Satipy — twój ojciec jest kompletnie zauroczony. Pozwala jej mówić i robić, co jej się podoba.

— Jest bardzo piękna... — odparł w zamyśleniu Jahmose.

Satipy prychnęła.

— Och, ma urodę. Ale żadnych manier! Żadnego wychowania! Nie obchodzi jej, że jest niegrzeczna dla nas wszystkich.

— Może wy jesteście niegrzeczni dla niej?

— Ja jestem uosobieniem uprzejmości. Kait i ja traktujemy ją z wszelkimi względami. Nie będzie miała na co się skarżyć twojemu ojcu. My możemy poczekać, aż przyjdzie nasz czas, Kait i ja.

Jahmose spojrzał ostro.

— Co to znaczy: „aż przyjdzie nasz czas?”

Satipy roześmiała się wymownie.

— Kobieta wiedziałyby, co to znaczy — ty nie zrozumiesz. Mamy swoje sposoby i swoją broń! Nofret nauczy się hamować bezczelność. Do czego w końcu sprowadza się życie kobiety? Mija na tyłach domu, pośród innych kobiet. — Ton Satipy był bardzo wymowny. Dodała: — Twój ojciec nie zawsze tu będzie... Odjedzie znowu do majątków na Północy. A wtedy — zobaczymy.

— Satipy...

Satipy roześmiała się szorstko i poszła z powrotem i do domu.

II

Nad jeziorem biegały i bawiły się dzieci. Dwaj chłopcy Jahmosego, ładni i zgrabni, bardziej byli podobni do Satipy niż do ojca. Była tam trójka Sobka — najmłodsze z nich było zaledwie niepewnie chodzącym berbeciem. I była tam też Teti — poważna, ładna, czteroletnia dziewczynka. Dzieci śmiały się i krzyczały, rzucały piłkami, czasami wybuchala kłótnia i wysokie piskliwe głosy unosiły się złością.

Siedząc i popijając piwo, z Nofret u boku, Imhotep mruczał:

— Ależ dzieci lubią bawić się nad wodą. Zawsze tak było, pamiętam. Ale, na Hathor, ileż robią hałas!

— Tak — rzekła szybko Nofret — a mogłoby być tak spokojnie... Dlaczego nie powiesz im, żeby sobie poszły, kiedy ty tutaj jesteś? W końcu kiedy pan domu chce odpocząć, powinno okazać się właściwy szacunek. Czy nie uważasz?

— Ja... cóż — Imhotep zawahał się. Myśl ta była dla niego nowa, ale przyjemna. — Właściwie nie przeszkadzają mi — rzekł niepewnie. — Są przyzwyczajone bawić się tu, kiedy zechcą.

— Tak, kiedy ciebie nie ma — powiedziała Nofret prędko. — Ale myślę, Imhotepie, zważywszy wszystko co robisz dla twojej rodziny, że powinni okazywać ci więcej szacunku. Jesteś za delikatny, za łagodny.

Imhotep westchnął spokojnie.

— To zawsze było moją słabością. Nigdy nie kładłem nacisku na formy zewnętrzne.

— I dlatego te kobiety, żony twoich synów, wykorzystują cię. Powinno być jasne, że kiedy przychodzisz tu wypocząć, musi być cisza i spokój. Wiesz, pójdę do Kait i każę jej zabrać wszystkie dzieci. Wtedy będziesz mógł się tutaj cieszyć spokojem.

— Jesteś troskliwą dziewczyną, Nofret... tak, dobrą dziewczyną. Zawsze myślisz o mojej wygodzie.

— Twoja przyjemność jest moją przyjemnością — powiedziała półgłosem.

Wstała i poszła tam, gdzie Kait klęczała nad wodą bawiąc się małym modelem statku ze średnim dzieckiem, trochę rozpieszczonym chłopcem.

— Zabierz stąd dzieci, Kait — poleciła sucho Nofret.

Kait spojrzała na nią nie rozumiejąc.

— Zabrać? Co masz na myśli? Zawsze się tutaj bawią.

— Nie dzisiaj. Imhotep chce spokoju. Te twoje dzieci są hałaśliwe.

Na ciężką twarz Kait wypłynął rumieniec.

— Powinnaś zmienić ton, Nofret! Imhotep lubi patrzeć, jak bawią się dzieci jego synów. Zawsze to powtarza.

— Nie dzisiaj — odparła Nofret. — Wysłał mnie, żeby ci kazać zabrać to całe hałaśliwe stado do domu. Chce posiedzieć w ciszy... ze mną.

— Z tobą... — Kait nagle urwała, wstała i podeszła do odpoczywającego Imhotepa.

Nofret podążyła za nią.

— Twoja konkubina mówi — przemówiła bez ogródek Kait — że mam stąd zabrać dzieci. Dlaczego? Co takiego złego robią? Z jakiego powodu mają być przegnane?

— Sądzę, że wola pana domu jest wystarczającym powodem — powiedziała Nofret cicho.

— Właśnie, właśnie — odrzekł Imhotep w rozdrażnieniu. — Dlaczego muszę podawać powody, czyj to jest dom?

— Myślę, że to ona chce, żeby je zabrać — Kait odwróciła się i zmierzyła Nofret spojrzeniem.

— Nofret dba o moją wygodę, o moje zadowolenie. Nikt inny w tym domu nie przejmuje się mną... może jeszcze biedna Henet.

— Więc dzieci mają się tu więcej nie bawić?

— Nie, kiedy przychodzę tu odpoczywać.

Kait zawrzała gniewem:

— Dlaczego pozwalasz, żeby ta kobieta nastawiała cię przeciw twojej własnej krwi? Dlaczego ma przychodzić i wtrącać się w sprawy tego domu?

Imhotep poczuł, że musi się bronić.

— To ja decyduję, co się tutaj robi, nie ty! — krzyczał wściekły. — Wszyscy robicie to, co chcecie, urządzacie wszystko według waszego uznania. A kiedy ja, pan tego domu, wracam, nikt nie przywiązuje należytej uwagi do moich życzeń. Ale to ja jestem tutaj panem, pozwól sobie powiedzieć! Ciągłe pracuję dla waszego dobra, a czyż otrzymuję wdzięczność, czy moje życzenia są respektowane? Nie. Najpierw Sobek jest bezczelny i lekceważący, a teraz ty, Kait, próbujesz mnie zastraszyć! Po co was wszystkich utrzymuję? Uważaj, bo przestanę was utrzymywać. Sobek mówi o odejściu, więc niech idzie i zabierze ze sobą ciebie i dzieci.

Przez chwilę Kait stała całkiem nieruchomo. Na jej ciężkiej, raczej tępej twarzy nie było żadnego wyrazu. Na końcu powiedziała głosem pozbawionym wszelkich emocji:

— Zabiorę dzieci do domu...

Odchodząc zatrzymała się koło Nofret i powiedziała niskim głosem:

— To twoja sprawka, Nofret. Nie zapomnę. Nie, nie zapomnę...

Rozdział piąty

Czwarty miesiąc wylewu — dzień piąty

I

Kończąc swoje ceremonialne obowiązki kapłana grobowego, Imhotep odetchnął z zadowoleniem. Rytuał został wypełniony skrupulatnie, ponieważ Imhotep był pod każdym względem człowiekiem obowiązkowym. Rozlał ofiarne wino, zapalił kadzidło i złożył zwyczajowe dary z pokarmu i napoju.

Teraz, w chłodnym cieniu sąsiedniej kamiennej komnaty, gdzie oczekiwał go Hori, Imhotep stał się znowu właścicielem ziemskim i człowiekiem interesu. Obaj mężczyźni omawiali ceny i zyski otrzymane ze zbiorów, bydła i drewna.

Po około pół godzinie Imhotep pokiwał głową z zadowoleniem.

— Masz znakomitą głowę do interesów, Hori — powiedział.

Tamten uśmiechnął się.

— Tak powinno być, Imhotepie. Od wielu lat jestem twoim rządcą.

— I to najwierniejszym. Właśnie, mam z tobą coś do omówienia. To dotyczy Ipy. Narzeka, że jego pozycja jest drugorzędna.

— Jest jeszcze bardzo młody.

— Ale wykazuje zdolności. Czuje, że bracia nie zawsze są wobec niego w porządku. Sobek, jak się wydaje, jest szorstki i wyniosły, a ciągła ostrożność i lękliwość Jahmosego drażnią chłopca. Ipy jest mężny. Nie lubi przyjmować rozkazów. Co więcej, powiada, że tylko ja, jego ojciec, mam prawo rozkazywać.

— To prawda — powiedział Hori. — I odnoszę wrażenie, że to jest słaby punkt tego majątku. Czy mogę mówić szczerze?

— Naturalnie, mój dobry Hori. Twoje słowa są zawsze mądre i wyważone.

— Więc powiem tak. Kiedy cię nie ma, Imhotepie, powinien tu być ktoś, kto miałby rzeczywistą władzę.

— Powierzam moje sprawy tobie i Jahmosemu.

— Wiem, że działamy w twoim imieniu podczas twojej nieobecności, ale to nie wystarczy. Dlaczego nie ustanowisz jednego z synów partnerem, nie zwiążesz się z nim legalnym kontraktem?

Imhotep, krzywiąc się, dreptał tam i z powrotem.

— Którego z moich synów proponujesz? Sobek ma władczy sposób bycia, ale jest niesubordynowany. Nie mógłbym mu zaufać. Nie ma dobrego charakteru.

— Myślałem o Jahmosem. Jest twoim najstarszym synem. Ma łagodną i tkliwą naturę. Jest ci oddany.

— Tak, ma dobrą naturę... ale jest zbyt nieśmiały, zbyt ustępliwy. Każdemu ulega. Gdyby Ipy był choćby trochę starszy...

— To niebezpieczne dawać władzę zbyt młodemu człowiekowi — szybko wtrącił Hori.

— Prawda, prawda... cóż Hori, pomyślę o tym, co mi powiedziałeś. Jahmose jest z pewnością dobrym synem... posłusznym...

— Postąpisz, jak sądzę, mądrze — łagodnie, ale nagle powiedział Hori.

Imhotep spojrział na niego zdziwiony.

— Co masz na myśli?

— Powiedziałem właśnie, że to niebezpieczne dawać człowiekowi władzę, kiedy jest za młody. Ale jest równie niebezpiecznie dawać mu ją zbyt późno.

— Uważasz, że za bardzo przywyknie do spełniania rozkazów zamiast do ich wydawania. Cóż, może coś w tym jest. — Imhotep westchnął. — Rządzenie rodziną to trudne zadanie! W szczególności kobiety są niełatwe do opanowania. Satipy ma hardą naturę, Kait często się dąsa. Ale powiedziałem im wyraźnie, że Nofret ma być traktowana w należyty sposób. Myślę, że...

Przerwał. Wąską ścieżką, dysząc, wspinał się niewolnik.

— O co chodzi?

— Panie, przyплыnęła łódź. Pisarz zwany Kameni przybył z wiadomością z Memfis.

Imhotep wstał zdenerwowany.

— Nowe kłopoty — wykrzyknął. — Pewne jak to, że Ra żegluje przez niebiosa. Jeśli mnie nie ma pod ręką, wszystko idzie źle.

Odszedł, a Hori siedział nieruchomo, spoglądając za nim.

Na jego twarzy malowała się troska.

II

Renisenb spacerowała bez celu wzdłuż brzegu Nilu, gdy usłyszała krzyki i zamieszanie i ujrzała ludzi biegnących w kierunku dobijającej barki.

Dołączyła do nich. W łodzi stał młody człowiek. Gdy ujrzała jego postać odcinającą się od jasnego tła, serce zamarło w niej na chwilę. Szalona, dziwna myśl opanowała jej umysł. „To Khay — pomyślała — Khay powrócił z zaświatów.”

Natychmiast wykpiła swoją przesadną wyobraźnię. We wspomnieniach zawsze widziała Khaya żeglującego po Nilu, a ten młody mężczyzna przypominał Khaya budową. Był młodszy od jej męża, miał dużo subtelny wdzięku i roześmianą, wesołą twarz. Powiedział jej, że przybył z Północy, z majątków Imhotepa. Był pisarzem, a na imię miał Kameni.

Niewolnik przysłany przez ojca zabrał Kameniego do domu, gdzie poczęstowano go posiłkiem. Gdy zjawił się ojciec, rozpoczęły się długie narady i rozmowy.

Cała sprawa, jak zwykle, przeniknęła do siedziby kobiet za pośrednictwem Henet, dostarczycielki wszelkich nowin. Renisenb zastanawiała się czasami, jak Henet zawsze zdołała o wszystkim się dowiedzieć.

Kameni był młodym pisarzem zatrudnionym u Imhotepa, synem jednego z jego kuzynów. Odkrył pewne oszukańcze posunięcia — fałszowanie rachunków — a ponieważ sprawa miała wiele wątków i zamieszani w nią byli rządcy majątku, doszedł do wniosku, że najlepiej będzie pojechać na Południe osobiście i złożyć raport.

Renisenb nie była tym szczególnie zainteresowana. Pomyślała tylko, że Kameni okazał się bystry, wykrywając to wszystko. Ojciec będzie z niego zadowolony.

Natychmiastowym rezultatem całej afery były podjęte przez Imhotepa pośpieszne przygotowania do wyjazdu. Nie miał zamiaru opuszczać domu przez najbliższe dwa miesiące, ale teraz im wcześniej będzie na miejscu, tym lepiej.

Zawezwał wszystkich domowników i przekazał im niezliczone polecenia. To i tamto miało być zrobione.

Jahmose pod żadnym pozorem nie może uczynić tego czy owego. Sobek miał wykazywać najwyższą ostrożność w jeszcze innej sprawie. Wszystko to, myślała Renisenb, było takie znajome. Jahmose słuchał uważnie, Sobek był nadąsany. Hori — jak zwykle — spokojny i sprawny. Żądania i natarczywość Ipy odsunięto na bok ostrzej niż zazwyczaj.

— Jesteś zbyt młody, żeby dostawać osobną pensję. Słuchaj się Jahmosego. On zna moje życzenia i polecenia. — Imhotep położył dłoń na ramieniu najstarszego syna. — Ufam ci, Jahmose. Gdy wrócę, porozmawiamy znowu o spółce.

Jahmose zarumienił się z radości i dumnie wyprostował. Imhotep ciągnął:

— Uważaj tylko, żeby wszystko szło dobrze, gdy mnie nie będzie. Dopilnuj, aby dobrze traktowano moją konkubinę, z szacunkiem i należnym poważaniem. Do ciebie należy panowanie nad zachowaniem kobiet w domostwie. Patrz, żeby Satipy poskromiła swój język. Przypilnuj, żeby Sobek odpowiednio pouczył Kait. Renisenb także musi okazywać Nofret uprzejmość. Poza tym nie życzę sobie żadnych nieuprzejmości w sto-

sunku do Henet. Wiem, że kobiety uważają, że bywa męcząca. Jest tutaj od dawna i uważa za swój przywilej dostrzeganie rzeczy, które często nie są mile widziane. Wiem, że nie jest ani piękna, ani mądra, jest jednak wierna, pamiętaj, i zawsze była oddana moim sprawom. Nie chcę, aby ją obrażano lub pogardzano nią.

— Wszystko będzie tak, jak pragniesz — powiedział Jahmose. — Ale Henet powoduje czasem kłopoty swoim językiem.

— Ależ bzdura! Nie więcej niż inne kobiety. Co do Kameniego — zostanie tutaj. Przyda nam się pisarz, może pomagać Horiemu. Co do ziemi, którą wydzierżawiliśmy tej kobiecie Yaii... — zagłębił się w szczegóły.

Gdy w końcu wszystko było gotowe do odjazdu, Imhotep poczuł nagły niepokój. Wziął Nofret na bok i spytał niepewnie:

— Nofret, czy jesteś zadowolona, że tu zostajesz? Czy nie byłoby lepiej, żebyś mimo wszystko pojechała ze mną?

Nofret potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

— Nie będziesz długo nieobecny — powiedziała.

— Trzy miesiące, może cztery. Kto to wie?

— Widzisz, to niedługo. Będzie mi tu dobrze.

— Nakazałem wszystkim moim synom, aby otoczono cię wszelką troską. Oni odpowiadają za każdą twoją skargę!

— Zrobią tak, jak kazałeś, jestem pewna, Imhotepie... — Nofret urwała i spytała: — Komu mogę całkowicie zaufać? Kto jest szczerze ci oddany? Nie mam na myśli nikogo z rodziny.

— Hori... mój dobry Hori? On jest w każdej sprawie, moją prawą ręką, to rozsądny i mądry człowiek.

Nofret odparła cicho:

— On i Jahmose są jak bracia. Może...

— Jest Kameni. On także jest pisarzem. Nakażę mu być na twoje usługi. Gdybyś się na cokolwiek skarżyła, on zapisze twoje skargi i prześle je do mnie.

Nofret przytaknęła z aprobatą.

— To dobra myśl. Kameni pochodzi z Północy. Zna mojego ojca. Rodzina nie będzie miała na niego wpływu.

— I Henet — dorzucił Imhotep. — Jest jeszcze Henet.

— Tak — powiedziała Nofret w zamyśleniu. — Jest jeszcze Henet. Przypuśćmy, że pomówiłbyś z nią teraz, w mojej obecności?

— Znakomity plan.

Posłano po Henet, która nadeszła ze swoją zwykłą uniżoną gorliwością. Lamentowała z powodu wyjazdu Imhotepa, ale ten przerwał jej stanowczo.

— Tak, tak, moja dobra Henet, niestety tak musi być. Rzadko mogę liczyć na chwilę spokoju i wypoczynku. Muszę harować bez końca dla całej rodziny, chociaż nie zawsze to doceniają. Chcę z tobą pomówić poważnie. Kochasz mnie wiernie i z oddaniem, wiem o tym. Mogę ci zaufać. Strzeż Nofret, jest mi bardzo droga.

— Każdy, kto jest ci drogi, panie, jest drogi także mnie — oświadczyła Henet żarliwie.

— Świetnie. Będziesz więc oddana Nofret?

Henet zwróciła się w stronę Nofret patrzącej na nią spod spuszczonej powiek.

— Jesteś zbyt piękna, Nofret — powiedziała. — W tym kłopot. Dlatego inni są zazdrośni. Ale ja się tobą zaopiekuję, ostrzegę, cokolwiek by mówili czy robili. Możesz na mnie liczyć!

Na chwilę zapadła cisza, a oczy obu kobiet spotkały się.

— Możesz na mnie liczyć — powtórzyła Henet.

Na usta Nofret powoli wypłynął uśmiech... raczej dziwny uśmiech.

— Rozumiem, Henet. Myślę, że mogę na tobie polegać.

Imhotep chrząknął głośno.

— Więc sędzę, że wszystko jest ustalone, tak, wszystko jest jak należy. Organizacja — to zawsze była moja mocna strona.

Rozległ się suchy chichot. Imhotep odwrócił się i ujrzał matkę stojącą w wejściu. Wspierała się na lasce i wyglądała bardziej sucho i wrogo niż zwykle.

— Jakiegoż mam wspaniałego syna! — zauważyła.

— Nie mogę zwlekać, mam parę poleceń dla Horiego. — Mrucząc z wielką powagą wyszedł pośpiesznie z pokoju. Udało mu się uniknąć wzroku matki.

Esa skinęła rozkazująco Henet, a ta posłusznie wysunęła się z pokoju.

Nofret podniosła się. Stojąc kobiety mierzyły się wzrokiem. Esa powiedziała:

— Mój syn zostawia cię tutaj? Byłoby lepiej, gdybyś z nim pojechała, Nofret.

— On życzy sobie, żebym tu została.

Głos Nofret był cichy i pokorny. Esa zachichotała piskliwie.

— Nie miałoby to znaczenia, gdybyś ty sama tego chciała. Dlaczego nie chcesz wyjechać? Nie rozumiem cię. Co cię tutaj trzyma? Jesteś dziewczyną z miasta, dużo podróżywałaś. Dlaczego wybierasz monotonię tutejszego życia, pośród tych, którzy — jestem szczerą — nie lubią cię?

— Więc nie lubisz mnie?

Esa potrząsnęła głową.

— Nie, tego bym nie powiedziała. Jestem stara, słabo widzę, ale mogę jeszcze zobaczyć twoją piękność i cieszyć się nią. Jesteś piękna, Nofret, i twój widok raduje moje stare oczy. Życzę ci dobrze z powodu twojej urody. Dlatego cię ostrzegam. Jedź na Północ z moim synem.

— On życzy sobie, żebym została tutaj — powtórzyła Nofret.

Pokorny ton brzmiał teraz zdecydowanie kpiąco. Esa rzuciła ostro:

— Masz cel w pozostaniu tutaj. Zastanawiam się jaki? Świetnie, twoje zmartwienie. Ale bądź ostrożna. Działaj dyskretnie. I nikomu nie ufaj.

Odwróciła się gwałtownie i wyszła. Nofret stała nieruchomo. Bardzo powoli usta jej wykrzywiły się w szerokim, kocim uśmiechu.

Rozdział szósty

Pierwszy miesiąc zimy — dzień czwarty

I

Renisenb nabrała nawyku przychodzenia do grobowca prawie codziennie. Czasami Jahmose i Hori byli tam razem, czasem Hori był sam, czasem nie było tam nikogo — Renisenb zawsze miała świadomość dziwnej ulgi, spokoju, jakby uciekła od wszystkiego. Najbardziej lubiła, gdy Hori był sam. Jego powaga i to, że bez zdziwienia akceptował jej obecność w tym miejscu, dawało jej dziwne uczucie zadowolenia. Siadywała w cieniu wejścia do skalnej komnaty z rękami splecionymi na uniesionym kolanie i patrzyła na zielone pasy upraw aż do miejsca, gdzie Nil błyszczał niebieskawo, a za nim mieszały się mgliście delikatne barwy płowe, kremowe i różowe.

Pierwszy raz przysła tu wiele miesięcy temu, czując nagle pragnienie ucieczki od świata wszechobecnej kobiecości. Chciała spokoju i koleżeństwa — i znalazła je tutaj. Pragnienie ucieczki towarzyszyło jej nadal, ale nie było to już po prostu unikaniem problemów domowych. To było coś bardziej określonego, bardziej alarmującego.

Kiedyś powiedziała do Horięgo:

— Boję się...

— Dlaczego się boisz, Renisenb? — przyglądał się jej poważnie. Renisenb namyślała się przez chwilę. W końcu wyjaśniła:

— Pamiętasz, jak raz powiedziałeś mi, że istnieją dwa rodzaje zła: jedno przychodzi z zewnątrz, a drugie atakuje od wewnątrz?

— Tak, pamiętam.

— Potem powiedziałeś, że myślałeś o chorobach atakujących owoce i zboża, ale myśle, że... tak samo jest z ludźmi.

Hori powoli skinął głową.

— A więc odkryłaś to... Tak, Renisenb, masz rację.

Renisenb odparła gwałtownie:

— Tak właśnie dzieje się teraz, tam na dole, w domu. Przyszło zło — z zewnątrz!
I wiem, kto je przyniósł. Nofret.

— Tak myślisz? — spytał Hori z zastanowieniem.

Renisenb przytaknęła żywo.

— Tak, tak, wiem, o czym mówię. Słuchaj, Hori, kiedy przyszłam tu do ciebie i powiedziałam, że wszystko jest takie samo, nawet kłótnie Satipy i Kait, to była prawda. Ale te kłótnie, Hori, to nie były prawdziwe kłótnie. Satipy i Kait lubiły je, to była ich rozrywka, żadna z nich nie czuła prawdziwego gniewu do drugiej! Ale teraz jest inaczej. Teraz nie mówią tylko rzeczy nieprzyjemnych i niegrzecznych, mówią rzeczy, której mają zranić i cieszą się, jeśli im się uda! To straszne, Hori — straszne! Wczoraj Satipy była tak wściekła, że wpakowała długą złotą szpilkę w ramię Kait, dzień lub dwa temu Kait upuściła na nogę Satipy ciężką miedzianą patelnię pełną wrzącego tłuszczu. I tak jest wszędzie. Satipy szydzi z Jahmosego do późnej nocy — wszyscy to słyszymy. Jahmose wygląda na chorego, zmęczonego i zaszczutego. A Sobek chodzi do kobiet z wioski, wraca pijany i krzyczy, przechwala się i opowiada, jaki jest sprytny!

— Wiele z tego jest prawdą, wiem o tym — powiedział powoli Hori — ale dlaczego winisz za to Nofret?

— Bo to jej sprawka! Wszystko zawsze zaczyna się od rzeczy, które ona mówi, drobnych rzeczy, sprytnych rzeczy. Jest jak oścień, którym kłuje się byki. Jest też sprytna, wie co powiedzieć. Czasem myślę, że to Henet jej mówi...

— Tak — odparł Hori w zamyśleniu — to całkiem możliwe.

Renisenb przeszył dreszcz.

— Nie lubię Henet. Nienawidzę tego jej płaszczenia się. Jest nam wszystkim taka oddana, a przecież nikt nie chce jej poświęcenia. Jak moja matka mogła przyprowadzić ją tutaj i tak ją lubić?

— Mamy na to tylko słowa Henet — powiedział sucho Hori.

— Dlaczego Henet tak lubi Nofret i szepcze, i płaszczy się przed nią? Och, Hori mówię ci, boję się! Nienawidzę Nofret! Chciałabym, żeby wyjechała. Jest taka piękna i okrutna, i zła!

— Ależ z ciebie dziecko, Renisenb. — Dodał spokojnie. — Nofret nadchodzi.

Renisenb odwróciła głowę. Oboje patrzyli, jak Nofret wolno wspina się stromą ścieżką prowadzącą na szczyt skały. Uśmiechała się do siebie i podśpiewywała pod nosem.

Gdy dotarła do miejsca, gdzie siedzieli, rozejrzała się wkoło i uśmiechnęła. Był to uśmiech ubawionej ciekawości.

— A więc to tu wymykasz się codziennie, Renisenb.

Renisenb nie odpowiedziała. Czuła się zła i pokonana, jak dziecko, którego ucieczkę właśnie odkryto.

Nofret spojrzała raz jeszcze dokoła.

— A to jest ten sławny grobowiec?

— W rzeczy samej, Nofret — powiedział Hori.

Spojrzała na niego, a jej kocie usta wygięły się w uśmiechu.

— Nie wątpię, że przynosi ci korzyści, Hori. Znasz się na interesach, jak słyszałam.

W jej głosie zabrzmiała złośliwa nuta, ale Hori pozostał niewzruszony, uśmiechając się spokojnie i poważnie.

— Przynosi korzyść nam wszystkim... Śmierć zawsze przynosi korzyść...

Nofret drgnęła lekko patrząc na stoły ofiarne, wejście do kaplicy i ślepe wrota. Krzyknęła ostro:

— Nienawidzę śmierci!

— Nie powinnaś — głos Horiego brzmiał spokojnie. — Śmierć jest głównym źródłem bogactwa w Egipcie. Śmierć kupiła klejnoty, które nosisz, Nofret. Śmierć karmi cię i ubiera.

Utkwiła w nim wzrok.

— Co masz na myśli?

— To, że Imhotep jest kapłanem ka — kapłanem grobowym — wszystkie jego ziemie, bydło, drewno, len, jęczmień należą do grobowca. — Zamilkł, a po chwili dodał w zamyśleniu: — Jesteśmy dziwni, my Egipcjanie. Kochamy życie — a jednak bardzo wcześnie zaczynamy planować śmierć. Oto gdzie podziwia się bogactwo Egiptu: w piramidach, grobowcach, posagach pośmiertnych.

Nofret odparła gwałtownie:

— Przestań mówić o śmierci, Hori! Nie podoba mi się to!

— Ponieważ jesteś prawdziwą Egipcjanką, ponieważ kochasz życie, ponieważ — czasem — bardzo blisko czujesz cię śmierci...

— Przestań!

Odwróciła się gwałtownie i wzruszywszy ramionami zaczęła schodzić w dół.

Renisenb odetchnęła z zadowoleniem.

— Cieszę się, że poszła — powiedziała dziecinnie. — Przestraszyłeś ją, Hori.

— Tak... Czy i ciebie przestraszyłem, Renisenb?

— Nnie — jej głos brzmiał trochę niepewnie. — To, co powiedziałeś, jest prawdą, tylko że nigdy przedtem o tym nie myślałam. Mój ojciec naprawdę jest kapłanem grobowym.

— Cały Egipt opętany jest śmiercią! — powiedział nagle gorzko Hori. — A wiesz dlaczego, Renisenb? Ponieważ mamy oczy w naszym ciele, a nie w umyśle. Nie potrafimy wyobrazić sobie innego życia niż to, życia po śmierci. Możemy wyobrazić sobie tylko przedłużenie tego, co znamy. Nie mamy prawdziwej wiary w boga.

Renisenb wpatrywała się w niego ze zdziwieniem.

— Jak możesz tak mówić, Hori? Przecież mamy wielu, wielu bogów — tak wielu, że nie umiałabym ich wszystkich nazwać. — Właśnie wczoraj wieczorem mówiliśmy wszyscy, których wolimy. Sobek był za Sachmet, a Kait modli się zawsze do Mekshant. Kameni przysięga na Tota, co jest naturalne dla pisarza. Satipy jest za Horusem z głową sokoła, a także za naszym własnym Mereseerem. Jahmose mówi, że powinno się czcić Ptaha, ponieważ wszystko stworzył. Ja sama kocham Izydę. A Henet jest za naszym lokalnym bogiem — Amonem. Powiada, że istnieją przepowiednie, że Amon będzie największym bogiem w całym Egipcie. Znosi mu więc ofiary już teraz, kiedy jeszcze jest małym bogiem. Jest też Ra, bóg Słońca i Ozyrys, przed którym ważone są serca zmarłych. — Renisenb przerwała zadyszana.

Hori uśmiechał się do niej.

— A jaka jest różnica między bogiem a człowiekiem?

Spojrzała na niego uważnie.

— Bogowie są... są magiczni!

— To wszystko?

— Nie wiem, co masz na myśli, Hori.

— To, że dla ciebie bóg to tylko mężczyzna lub kobieta potrafiący robić rzeczy, których nie potrafią robić zwykli mężczyźni i zwykłe kobiety.

— Mówisz takie dziwne rzeczy! Nie rozumiem cię.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale gdy tylko rzuciła okiem na dolinę w dole, coś innego przyciągnęło jej uwagę.

— Popatrz — zawołała — Nofret rozmawia z Sobkiem. Śmieje się. Och — wstrzymała nagle oddech — nie, nic takiego. Myślałam, że Sobek ma zamiar ją uderzyć. Ona wraca do domu, a on idzie tutaj.

Sobek zjawił się po chwili. Wyglądał jak chmura gradowa

— Żeby krokodyl pożarł tę kobietę! — zawołał. — Mój ojciec był większym głupcem niż zwykle, gdy brał ją za konkubinę!

— Co ci powiedziała? — spytał Hori ciekawie.

— Obraziła mnie jak zwykle! Spytała, czy ojciec powierzył mi sprzedaż następnej partii drewna. Jej język kąsa jak wąż. Chętnie bym ją zabił.

Zrobił kilka kroków, podniósł kamień i rzucił go w dolinę. Dźwięk kamienia odbijającego się od skał zdawał się sprawiać mu przyjemność. Podniósł większy kamień, odskoczył jednak do tyłu, gdy ukryty pod nim wąż sycząc podniósł głowę. Była to kobra.

Chwytając ciężki kij Sobek zaatakował ją z wściekłością. Dobrze wymierzony cios roztrzaskał kark węża, ale Sobek walił dalej. Głowę odrzucił do tyłu, jego oczy iskrzyły się i mruczał po nosem jakieś słowa, które Renisenb ledwie dosłyszała i których nie mogła zrozumieć.

— Przestań, Sobek, przestań — krzyknęła. — On nie żyje!

Sobek przerwał, odrzucił kij i roześmiał się.

— O jednego jadowitego węża mniej na świecie. — Roześmiał się znowu, odzyskał dobry humor i zaczął schodzić.

— Sądzę, że Sobek... lubi zabijać! — powiedziała Renisenb zniżając głos.

— Masz rację.

Nie było w tych słowach zdziwienia. Hori potwierdzał tylko to, co najwidoczniej dobrze wiedział. Renisenb odwróciła się, aby na niego spojrzeć, i wolno powiedziała:

— Węże są niebezpieczne... ale jak pięknie wyglądała ta kobra.

Spojrzała na jej roztrzaskane, skręcone ciało. Z jakiejś nieznaney przyczyny poczuła ból w sercu.

— Pamiętam, kiedy byliśmy wszyscy małymi dziećmi — marzycielsko odezwał się Hori — Sobek zaatakował Jahmosego. Jahmose był starszy o rok, ale Sobek był większy i silniejszy. Trzymał kamień i tłukł nim Jahmosego w głowę. Twoja matka wybiegła i rozdzieliła ich. Pamiętam, jak stała patrząc na Jahmosego i jak krzyczała: „Nie wolno ci robić takich rzeczy, Sobek, to niebezpieczne! Mówię ci, to niebezpieczne!”. — Po chwili dodał: — Była bardzo piękna... nawet jako dziecko tak sądziłem. Jesteś taka jak ona, Renisenb.

— Naprawdę? — Renisenb odczuła zadowolenie. — Czy Jahmose był poważnie ranny?

— Nie, nie było to tak poważne, jak wyglądało. Następnego dnia Sobek był bardzo chory. Być może coś zjadł, ale twoja matka powiedziała, że to przez jego gniew i upał — był środek lata.

— Sobek jest bardzo gwałtowny — stwierdziła Renisenb w zadumie.

Spojrzała raz jeszcze na martwego węża i odwrócił się z drżeniem.

II

Gdy Renisenb wróciła do domu, Kameni siedział przed gankiem ze zwojem papirusu. Śpiewał, przystanąła więc na chwilę i słuchała słów pieśni.

— *Pójdę do Memfis — śpiewał Kameni — pójdę do Ptaha, Pana Prawdy. Powiem Ptahowi, „Daj mi dziś w nocy mą siostrę”. Strumień jest winem, Ptah — sitowiem, Sechmet — lotosem, Earit — pączkiem, Nefretete — kwiatem. Powiem Ptakowi, „daj mi mą siostrę dziś w nocy.” Świt przedziera się przez jej piękność. Memfis jest naczyniem pełnym jabłek miłości przed jej jasnym obliczem...*

Podniósł oczy i uśmiechnął się do Renisenb.

— Podoba ci się moja pieśń, Renisenb?

— Co to za pieśń?

— To pieśń miłosna z Memfis.

Utkwił w niej wzrok śpiewając cicho:

— Jej ramiona pełne są konarów persei, jej włosy ciężkie są od pomady. Jest jak Księżniczka Pana Dwóch Łądów.

Rumieniec wypłynął na policzki Renisenb. Poszła szybko do domu i prawie zderzyła się z Nofret.

— Dlaczego tak się śpieszysz, Renisenb?

Głos Nofret brzmiał ostro. Renisenb spojrzała na nią w niemym zdziwieniu. Nofret nie uśmiechała się. Jej twarz była ponura i napięta i Renisenb zauważyła, że ma zacisnięte pięści.

— Przepraszam, Nofret, nie widziałam cię. Ciemno tu, gdy wchodzi się z zewnątrz.

— Tak, ciemno tu... byłoby przyjemniej na zewnątrz, na ganku, słuchać śpiewu Kameniego. Prawda, że ładnie śpiewa?

— Tak, tak, z pewnością.

— A jednak nie zostałeś, żeby posłuchać? Kameni będzie rozczarowany.

Renisenb znowu się zaczerwieniła. Zimne, drwiące spojrzenie Nofret sprawiło, że poczuła się nieswojo.

— Lubisz pieśni miłosne, Renisenb?

— Co to ciebie może obchodzić, Nofret, co ja lubię czy nie?

— Więc kotki mają pazurki.

— Co chcesz powiedzieć?

Nofret roześmiała się.

— Nie jesteś taka głupia, na jaką wyglądasz, Renisenb. Uważasz więc, że Kameni jest przystojny? Cóż, bez wątpienia to go ucieszy.

— Uważam, że jesteś wstrętna — odparła Renisenb porywczo.

Minęła Nofret i pobiegła w głąb domu. Za sobą słyszała szydzący śmiech dziewczyny. Ale przez ten śmiech słyszała także w pamięci echo pieśni Kameniego, którą śpiewał wpatrzony w jej twarz...

III

Tej nocy Renisenb miała sen. Była z Khayem, żeglowali razem w barce zmarłych w zaświatach. Khay stał na dziobie łodzi — widziała tylko tył jego głowy. A gdy zbli-

żał się wschód słońca Khay odwrócił głowę i Renisenb ujrzała, że nie był to Khay, lecz Kameni. I w tym samym czasie dziób statku, głowa węża, zaczął się wić. To był żywy wąż, kobra i Renisenb pomyślała: To wąż, który wychodzi z grobowców, aby zjadać dusze zmarłych. Paraliżował ją strach. A potem ujrzała, że twarz węża była twarzą Nofret i zbudziła się krzyżąc: — Nofret... Nofret... Nie krzyżowała naprawdę — to był tylko sen. Leżała spokojnie, jej serce biło mocno, mówiła sobie, że to tylko sen. Nagle pomyślała: „To właśnie mówił Sobek zabijając wczoraj węża. Powiedział «Nofret»,...

Rozdział siódmy

Pierwszy miesiąc zimy — dzień piąty

I

Po przebudzeniu się z dziwnego snu Renisenb nie mogła już zasnąć. Prześladowało ją niejasne uczucie zagrożenia.

Wstała wcześniej i wyszła z domu. Podążyła, jak to często bywało, w stronę Nilu. Byli tam już rybacy oraz wielka barka płynąca w kierunku Teb i inne łodzie z żaglami trzepocącymi na słabym wietrze.

Coś niepokoiło jej serce, jakieś rozbudzone pragnienie, którego nie potrafiła nazwać. Myślała: „Czuję... czuję...”. Nie wiedziała jednak, co czuła! To znaczy, nie potrafiła odnaleźć słów dla tego uczucia. Myślała: „Pragnę... ale czego pragnę?”. Czy pragnęła Khaya? Khay nie żył, już nie wróci. Powiedziała do siebie: „Nie będę więcej myśleć o Khayu. Jaki to ma sens? To wszystko skończone”.

Wtem zauważyła jakąś postać patrzącą za barką, która oddalała się w stronę Teb — i uderzył ją jej bezruch. Rozpoznała Nofret.

Nofret patrząca na Nil. Nofret — samotna. Nofret myśląca o... o czym?

Renisenb uświadomiła sobie nagle, jak niewiele wiedzieli o Nofret. Przyjęli ją jako wroga — obcą — bez zainteresowania, nie znali jej życia i otoczenia, z którego przyszła.

Renisenb pomyślała nagle, że Nofret musi być smutno samej, bez przyjaciół, otoczonej wyłącznie ludźmi, którzy jej nie lubią. Powoli podeszła do Nofret. Nofret odwróciła głowę na chwilę, ale potem znów patrzyła na Nil. Jej twarz pozbawiona była wyrazu.

Renisenb odezwała się nieśmiało:

— Dużo łodzi na rzece.

— Tak.

W odruchu życzliwości Renisenb ciągnęła:

— Czy tam, skąd pochodzisz, jest tak samo?

Nofret roześmiała się, krótko i raczej gorzko.

— Ależ nie. Mój ojciec jest kupcem w Memfis. Wesoło i zabawnie jest w Memfis. Muzyka, śpiew, tańce. Mój ojciec wiele podróżuje. Byłam z nim w Syrii, w Byblos za Nosem Gazeli. Płynęłam wielkim statkiem po szerokim morzu.

Mówiła z dumą i ożywieniem. Renisenb słuchała z rosnącym zainteresowaniem i zrozumieniem.

— Musi ci być tutaj bardzo nudno — powiedziała.

Nofret roześmiała się niecierpliwie.

— Tu jest martwo... nic tylko oranie i sianie, i żęcie, i wypasanie, rozmowa o zbiorach i kłótnie o ceny lnu.

Patrząc z ukosa na Nofret Renisenb ciągle jeszcze zmagала się z nowymi myślami. Nagle poczuła napływającą od Nofret falę gniewu, cierpienia i rozpacz „Ona jest w moim wieku — pomyślała Renisenb — nawet młodsza. I jest konkubina starego człowieka, kapryśnego, dobrego, ale trochę śmiesznego starego człowieka — mojego ojca...”

Co ona, Renisenb, wiedziała o Nofret? Zupełnie nic. Co to Hori powiedział wczoraj, gdy zawołała: „Jest piękna, okrutna i zła!”?

„Jesteś dzieckiem, Renisenb” — oto co powiedział. Renisenb wiedziała teraz, co miał na myśli. Słowa, które wykrzyknęła, nic nie znaczyły — nie wolno tak łatwo odrzucić istoty ludzkiej. Ile smutku, ile goryczy, ile rozpacz kryło się za okrutnym uśmiechem Nofret? Co uczyniła Renisenb, co uczynili oni wszyscy, aby serdecznie ją przyjąć?

Renisenb odezwała się dziecinnie, jękając się:

— Nienawidzisz nas... wiem dlaczego: nie byliśmy dla ciebie mili... ale teraz... nie jest za późno. Czy nie możemy, ty i ja, Nofret, czy nie możemy zostać siostrami? Jesteś daleko od wszystkiego, co znasz... jesteś samotna, chciałabym ci pomóc.

Jej niepewne słowa zapadły w ciszę. Nofret odwróciła się powoli.

Przez chwilę twarz jej pozbawiona była wyrazu, a Renisenb zdawało się nawet, że na moment złagodniały jej oczy. W bezruchu wczesnego poranka, w jego dziwnej przejrzystości i spokoju wydawało się, że Nofret się zawahała, jakby słowa Renisenb obudziły w niej niezdecydowanie.

To była dziwna chwila, chwila, którą Renisenb miała zapamiętać na długo...

Potem stopniowo wyraz twarzy Nofret zaczął się zmieniać. Stał się wyraźnie wrogi, jej oczy rozgorzały wściekłością i złością. Renisenb cofnęła się o krok.

— Odejdź! Nie chcę nic od żadnego z was — powiedziała powoli, złym głosem Nofret. — Głupcy, oto czym jesteście, każdy z was... — Po czym odwróciła się i odeszła szybko w stronę domu.

Renisenb powoli podążyła za nią. Zadziwiające było to, że słowa Nofret wcale jej nie rozgniewały. Ukazały jej oczom mroczną otchłań nienawiści i nieszczęścia — coś, czego nigdy jeszcze nie doświadczyła sama. Myślała o tym, jak straszne musi być takie uczucie.

Gdy Nofret weszła przez bramę na dziedziniec, jedno z dzieci Kait przebiegło jej drogę goniąc piłkę.

Nofret gniewnie odtrąciła dziecko, tak że upadło. Dziewczynka zanosła się płaczem, Renisenb podbiegła i podniosła ją, mówiąc z oburzeniem:

— Nie powinnaś była tego robić, Nofret! Skaleczyłaś ją, zobacz. Ma przeciętą brodę.

Nofret roześmiała się ostro.

— Więc powinnam uważać, żeby nie zrobić krzywdy tym zepsutym bąkom? Dlaczego? Czy ich matki dbają o moje uczucia?

Na dźwięk płaczu dziecka Kait wybiegła z domu. Obejrzała zranioną twarz i wybuchła:

— Diablica! Żmija! Poczekaj tylko, zobaczysz, co ci zrobimy.

Z całej siły uderzyła Nofret w twarz. Renisenb krzyknęła i złapała ją za ramię, nim zdążyła uderzyć ponownie.

— Kait... Kait... nie wolno ci tego robić.

— Kto tak powiedział? Niech Nofret się pilnuje. Jest sama pośród wielu.

Nofret stała nieruchomo. Ślad uderzenia zaczerwienił się wyraźnie na jej policzku. Bransoleta, którą Kait nosiła na ręce, przecięła skórę pod okiem i strużka krwi spływała teraz po jej twarzy.

Ale Renisenb zdziwił, a nawet przestraszył wyraz twarzy Nofret. Nie okazała gniewu. Patrzyła dziwnie, triumfująco, a jej usta raz jeszcze wykrzywił koci, pełen zadowolenia uśmiech.

— Dziękuję Kait — rzuciła i poszła do domu.

II

Nofret z przymkniętymi oczami nuciła cichutko. Przywołała Henet.

Ta natychmiast przybiegła, a zobaczywszy jej twarz, krzyknęła przerażona.

— Przeprowadź mi Kameniego — przerwała jej ostro Nofret. — Powiedz mu, żeby przyniósł pióra, atrament i papirus. Trzeba napisać list do pana.

Henet wpatrywała się w policzek Nofret.

— Do pana... Rozumiem... Kto to zrobił?

— Kait — Nofret uśmiechnęła się spokojnie na wspomnienie.

Henet potrząsnęła głową i mlasnęła językiem.

— To bardzo źle... bardzo źle... naturalnie pan musi o tym wiedzieć. — Rzuciła krótkie, ukośne spojrzenie na Nofret. — Tak, z pewnością Imhotep musi wiedzieć.

— Ty i ja, Henet, myślimy podobnie — powiedziała przymilnie Nofret. — Sądziłam, że tak właśnie będzie.

Z rąbka lnianej sukni wydobyla ametyst oprawny w złoto i wsunęła go kobiecie do ręki.

— Tobie i mnie, Henet, leży na sercu prawdziwe dobro Imhotepa.

— To dla mnie za dobre, Nofret... Jesteś zbyt hojna... taka piękna rzecz.

— Imhotep i ja doceniamy wierność.

Nofret ciągle się uśmiechała, zmrużywszy kocie oczy.

— Poproś Kameniego — powiedziała — i przyjdź z nim. Będziecie oboje świadkami tego, co się stało.

Kameni przyszedł trochę niechętnie, brwi miał ściągnięte.

Nofret powiedziała władczo:

— Pamiętasz polecenie Imhotepa?

— Tak — odparł Kameni.

— Nadszedł czas — stwierdziła Nofret — Siadaj, bierz atrament i pisz, co ci powiem.

Ponieważ Kameni ciągle się wahał, rzekła niecierpliwie:

— Napiszesz to, co widziałeś na własne oczy i słyszałeś na własne uszy... a Henet to potwierdzi. List musi być wysłany szybko i dyskretnie.

— Nie podoba mi się... — rzekł powoli Kameni.

Nofret wybuchnęła:

— Nie mam żadnej skargi na Renisenb. Renisenb jest miękka, słaba i głupia, ale nie próbowała zrobić mi krzywdy. Czy to ci wystarczy?

Brązowa twarz Kameniego pociemniała.

— Nie myślałem o tym...

— Sądzę, że myślałeś... — odparła przymilnie Nofret. — Zaczynaj, wykonaj polecenie — pisz.

— Tak, pisz — powiedziała Henet. — Jestem tym wszystkim taka zmartwiona, tak strasznie strapiona. Z pewnością Imhotep musi o tym wiedzieć. To jego prawo. Należy wypełniać swoje obowiązki niezależnie od tego, jak są nieprzyjemne. Zawsze tak czułam.

Nofret roześmiała się cicho.

— Jestem pewna, że tak właśnie myślisz, Henet. Ty spełnisz swój obowiązek! A Kameni spełni swój. A ja... ja zrobię to, co sprawi mi przyjemność...

Ale Kameni ciągle się wahał. Jego twarz była posępna, prawie gniewna.

— Nie podoba mi się to — powiedział. — Nofret będzie lepiej, jeśli zastanowisz się nad tym jakiś czas...

— Ty śmiesz mi to mówić?

Kameni zaczerwienił się pod wpływem jej tonu. Unikał wzroku dziewczyny, ale ponury wyraz jego twarzy nie zmienił się.

— Uważaj, Kameni — dodała Nofret słodko. — Mam wielkie względy u Imhotepa. Słucha tego, co mówię... jak dotąd był z ciebie zadowolony — urwała znacząco.

— Straszysz mnie, Nofret? — spytał Kameni gniewnie.

— Może.

Patrzył na nią ze złością przez chwilę, po czym pochylił głowę.

— Zrobię to, co mówisz, Nofret, ale sądzę, że będziesz tego żałować.

— Czy ty mnie straszysz Kameni?

— Ostrzegam cię...

Rozdział ósmy

Drugi miesiąc zimy — dzień dziewiąty

I

Dzień upływał za dniem i Renisenb czuła czasem, jakby żyła we śnie. Nie próbowała już nawiązywać kontaktów z Nofret. Teraz bała się jej. Było w niej coś, czego nie rozumiała.

Po scenie na dziedzińcu, tamtego dnia, Nofret się zmieniła. Było w niej jakieś samozadowolenie, uniesienie, którego Renisenb nie potrafiła zgłębić. Czasem sądziła, że myliła się uważając ją za głęboko nieszczęśliwą. Nofret zdawała się zadowolona z życia, siebie i swojego otoczenia.

A tymczasem jej otoczenie zdecydowanie zmieniło się na gorsze. Po wyjeździe Imhotepa Nofret rozmyślnie, jak sądziła Renisenb, siała niezgodę pośród członków jego rodziny.

Teraz rodzina ta zwarła szeregi przeciw „najeźdźcy”. Nie było już niezgody między Kait i Satipy, Satipy nie złorzeczyła już Jahmosemu. Sobek wydawał się spokojniejszy i mniej się chełpił. Ipy był mniej bezczelny i bezceremonialny w stosunku do starszych braci. W rodzinie zapanowała na nowo harmonia, ale nie przyniosła ona spokoju umysłowi Renisenb, ponieważ wszystkiemu towarzyszyła niezrozumiała, uporczywa wrogość Nofret.

Kait i Satipy nie kłóciły się z nią — unikały jej. Nie odzywały się do niej i gdziekolwiek się pojawiała, natychmiast zabierały dzieci i odchodziły gdzie indziej. W tym samym czasie miały miejsce dziwne, denerwujące incydenty. Lniana suknia Nofret została zniszczona zbyt gorącym żelazkiem, inną poplamiono farbą. Czasem w jej odzieniu były ostre kolce, znaleziono nawet skorpioną przy jej łóżku. Jedzenie, które jej podawano, było przyprawione zanadto lub wcale. W jej porcji chleba znalazła się zdechła mysz.

Było to ciche, bezlitosne, małe prześladowanie — nic jawnego, nic uchwytne. Tę kampanię prowadziły głównie kobiety.

Potem pewnego dnia stara Esa posłała po Satipy, Kait i Renisenb. Henet już tam była, potrząsała głową i stojąc z boku zacierała ręce.

— Ha! — Esa patrzyła na nie ironicznie — oto więc moje sprytne wnuczki. Co wy najlepszego robicie? Co ma znaczyć to, co słyszę o zniszczeniu sukni Nofret i jej niejadalnym jedzeniu?

Satipy i Kait uśmiechnęły się. Nie były to miłe uśmiechy. Satipy powiedziała:

— Czy Nofret się skarżyła?

— Nie — odparła Esa. Przekrzywiła trochę perukę, którą nosiła zawsze, nawet w domu. — Nie, Nofret się nie skarżyła. To właśnie mnie martwi.

— Mnie to nie martwi — odparła Satipy odrzucając w tył piękną głowę.

— Bo jesteś głupia — sapnęła Esa. — Nofret ma dwa razy więcej rozumu niż każda z was trzech.

— To się jeszcze okaże — powiedziała Satipy. Była w dobrym humorze i wyglądała na zadowoloną z siebie.

— Cóż wy sobie wszystkie wyobrażacie? — spytała Esa.

Twarz Satipy stężała.

— Jesteś starą kobietą, Eso. Nie przemawia przeze mnie brak szacunku — ale te sprawy ciebie już nie dotyczą w taki sposób, w jaki dotyczą nas, które mamy mężów i małe dzieci. Postanowiłyśmy wziąć sprawę w nasze ręce. Mamy sposoby na kobietę, której nie lubimy i nie zaakceptujemy.

— Piękne słowa, piękne słowa. — Esa zachichotała, — Ale dobrą przemowę może wygłosić każda niewolnica.

— Prawdziwie i mądrze powiedziane — westchnęła Henet z kąta.

Esa odwróciła się do niej.

— Powiedz, Henet, co mówi Nofret o tym, co się dzieje. Powinnaś wiedzieć, skoro zawsze jej usługujesz.

— Jak nakazał mi Imhotep. Oczywiście budzi to we mnie odrazę, ale muszę robić to, co pan rozkazał. Nie myślicie, mam nadzieję, że...

— Wiemy o tobie wszystko, Henet — przerwali Esa. — Zawsze oddana i rzadko nagradzana tak, jak być powinnaś. Co na to wszystko mówi Nofret. O to cię pytałam.

Henet pokręciła głową.

— Nic nie mówi. Tylko się uśmiecha.

— Właśnie — Esa wzięła cukierek jujubowy z naczynia stojącego przy jej łokciu, obejrzała go i włożywszy do ust powiedziała zgryźliwie z nagłą wrogością:

— Wszystkie jesteście głupie. To Nofret ma siłę, nie wy. Wszystko, co robicie, jest jej na rękę. Założę się, że nawet jest z tego zadowolona.

Satipy powiedziała ostro:

— Bzdura. Nofret jest sama pośród nas. Jaką może mieć siłę?

— Siłę młodej, pięknej kobiety związanej ze starzejącym się mężczyzną. Wiecie, o czym mówię. — Szybko odwracając głowę dodała: — Henet wie, o czym mówię!

Henet drgnęła. Westchnęła i zaczęła wykręcać ręce.

— Pan bardzo ją lubi... to naturalne, całkiem naturalne.

— Idź do kuchni — powiedziała Esa — przynieś trochę daktyli i syryjskiego wina — aha, i także miód.

Gdy Henet poszła, staruszka rzekła:

— Coś niedobrego wisi w powietrzu, czuję to. Satipy, ty jesteś prowodyrem tego wszystkiego. Uważaj, aby nie okazało się, że twoje sprytne sztuczki działają na korzyść Nofret.

Odchyliła się i przymknęła oczy.

— Ostrzegłam was, teraz idźcie.

— My we władzy Nofret, też coś! — mówiła wzburzona Satipy, gdy szły do jeziora. — Esa jest taka stara, że niesłychane pomysły przychodzą jej do głowy. To my mamy Nofret w naszej władzy! Nie zrobimy przeciw niej nic, o czym mogłaby donieść, ale myślę, że wkrótce będzie żałować, że tu przyjechała.

— Jesteś okrutna... okrutna — krzyknęła Renisenb.

Satipy wyglądała na ubawioną.

— Nie udawaj, że lubisz Nofret, Renisenb!

— Nie. Ale jesteś taka... taka mściwa.

— Myślę o moich dzieciach i o Jahmosem! Nie jestem potulną kobietą, nie znoszę zniewag... i mam ambicję. Skręciłabym kark tej kobiecie z największą przyjemnością. Niestety to nie jest takie proste. Nie wolno wzbudzać gniewu Imhotepa. Ale myślę, że może coś w końcu uradzimy.

II

List przyszedł jak cios harpunu dla ryby.

Jahmosemu odebrało mowę, Sobek i Ipy patrzyli w osłupieniu na Horiego, gdy odczytywał słowa ze zwoju papirusu.

Czyż nie mówiłem Jahmosemu, że obarczę go winą, jeśli cokolwiek złego spotka moją konkubinę? Ponieważ robicie to, co robicie, jestem przeciw wam, a wy jesteście przeciw mnie. Nie będę dłużej mieszkał z wami pod jednym dachem, skoro nie uszanowaliście mojej konkubiny Nofret! Nie jesteś już moim synem. Sobek i Ipy także nie są już moimi synami. Każdy z was skrzywdził moją konkubinę. Kameni i Henet wszystko potwierdzają. Wyrzucę was z mojego domu — każdego z was! Utrzymywałem was, teraz nie będę was dłużej utrzymywał.

Hori przerwał na chwilę, a potem czytał dalej:

Kapłan ka Imhotep zwraca się do Horiego. Do ciebie, który byłeś wierny. Jakże się mieszasz, bezpiecznie i zdrowo! Pokłoń się mojej matce Esie i mojej córce Renisenb i pozdrów Henet. Pilnuj moich spraw uważnie do mojego powrotu i dopilnuj przygotowania dokumentu, mocą którego moja konkubina Nofret dzielić będzie ze mną moje dobra jako żona. Ani Jahmose ani Sobek nie będą moimi partnerami, nie będę też ich utrzymywał i niniejszym powiadamiam, że uczynili krzywdę mojej konkubinie! Pilnuj wszystkiego, póki nie wrócę. Jak to źle, gdy w domu mężczyzny dzieje się krzywda jego konkubinie. Co do Ipy, niech przyjmie ostrzeżenie, a jeśli zrobi coś złego mojej konkubinie, jego także wyrzucę z mojego domu.

Zapadła paraliżująca cisza, po dłuższej chwili Sobek podniósł się z furją.

— Jak się to stało? Czego ojciec się dowiedział? Kto mu przekazuje kłamstwa? Czy mamy to znosić? Ojciec nie może nas wydziedziczyć w ten sposób i dać wszystkie dobra konkubinie!

— Spowoduje to niezycliwe komentarze — powiedział spokojnie Hori — i nie zostanie to przyjęte przychylnie, ale prawnie jest w mocy to zrobić. Może sporządzić taki dokument, jeśli mu się tak podoba.

— Zaczarowała go! Ta czarna żmija rzuciła na niego urok!

Jahmose mruczał, jakby odjęło mu mowę:

— To niewiarygodne... to nie może być prawdą.

— Ojciec jest szalony... szalony! — krzyczał Ipy. — Zwraca się nawet przeciwko mnie na rozkaz tej kobiety!

— Imhotep wkrótce wróci — powiedział ponuro Hori. — Tak powiada. Do tego czasu jego gniew może złagodnieć. Nie zrobi pewnie tego, co zapowiada.

Rozległ się krótki, nieprzyjemny śmiech. To Satipy się śmiała. Stała patrząc na nich przy wejściu do komnat kobiecych.

— A więc to właśnie mamy robić, najznakomitszy Hori? Czekać i zobaczyć!

— Cóż innego możemy zrobić? — spytał Jahmose.

— Co innego? — Satipy podniosła głos. — Co wy wszyscy macie w żyłach? Mleko? Wiem, że Jahmose nie jest mężczyzną! Ale ty Sobek... ty nie masz lekarstwa na tę chorobę? Nóż w plecy i dziewczyna nie wyrządzi nam więcej żadnej krzywdy.

— Satipy! — krzyknął Jahmose. — Ojciec nigdy by nam nie wybaczył.

— Tak sądzisz? Ale ja ci mówię, że martwa konkubina to nie to samo co żywa! Gdy ona umrze, jego serce zwróci się znowu ku synom i dzieciom. A poza tym, skąd on miałby wiedzieć, jak umarła? Możecie powiedzieć, że ukąsił ją skorpion! Wszyscy w tym tkwimy, prawda?

— Ojciec dowiedziałby się. Henet by mu powiedziała — stwierdził Jahmose.

Satipy zaśmiała się histerycznie.

— Najostrożniejszy Jahmose! Najłagodniejszy, najbardziej rozważny Jahmose! To ty powinieneś opiekować się dziećmi i wykonywać babską robotę z tyłu domu. O Sachmet, pomóż mi! Poślubiona mężczyźnie, który nie jest mężczyzną. A ty Sobek, na cóż wszystkie twoje przechwałki, gdzie twoja odwaga, gdzie zdecydowanie? Na Ra, jestem bardziej mężczyzną niż każdy z was.

Odwróciła się i wyszła. Kait, która dotąd stała obok, postąpiła krok do przodu i odezwała się głębokim, drżącym głosem:

— To prawda, co mówi Satipy! Jest lepszym mężczyzną niż każdy z was. Jahmose, Sobek, Ipy — czy wszyscy będziecie tu siedzieć i nic nie robić? Co z naszymi dziećmi Sobku? Mają zginąć z głodu? Znakomicie, jeśli wy nic nie zrobicie, zrobię to ja. Żaden z was nie jest mężczyzną!

Gdy ona z kolei wyszła, Sobek zerwał się z miejsca.

— Na dziewięciu bogów Enneady, Kait ma rację! Jest męska robota do zrobienia — a my siedzimy tu i kiwamy głowami.

Ruszył w stronę drzwi. Hori zawołał za nim:

— Sobek, Sobek, gdzie idziesz? Co masz zamiar zrobić?

Sobek, wściekły, odkrzyknął od progu:

— Coś zrobię, to pewne. I będę się z tego cieszył!

Rozdział dziewiąty

Drugi miesiąc zimy — dzień dziesiąty

I

Renisenb wyszła na ganek i stała tam przez chwilę przysłaniając ręką oczy, oślepiona nagłym blaskiem. Czuła się chora, roztrzęsiona i pełna nieokreślonego lęku. Raz po raz powtarzała mechanicznie do siebie:

— Muszę ostrzec Nofret... Muszę ją ostrzec...

Za sobą, w domu, słyszała zlewające się ze sobą męskie głosy Horiego i Jahmosego, a ponad nimi rozbrzmiewał piskliwy, chłopięcy głos Ipy.

— Satipy i Kait mają rację. Nie ma mężczyzn w tej rodzinie! Ale ja jestem mężczyzną. Tak, mam serce mężczyzny, choć jestem młody. Nofret drwiła ze mnie, śmiała się ze mnie, traktowała mnie jak dziecko. Pokażę jej, że nie jestem dzieckiem. Nie boję się gniewu ojca. Jest omotany, ta kobieta rzuciła na niego urok. Gdyby została usunięta, jego serce powróciłoby do mnie! Ja jestem jego najukochańszym synem. Wszyscy traktujecie mnie jak dziecko, ale zobaczycie! Sami zobaczycie!

Wybiegając z domu wpadł na Renisenb i prawie ją przewrócił. Chwyliła go za rękaw.

— Ipy, Ipy, dokąd idziesz?

— Znaleźć Nofret. Zobacz, czy wolno jej się ze mnie śmiać!

— Zaczekaj chwilę. Musisz się uspokoić. Nie możemy zrobić niczego w pośpiechu.

— Pośpiech? — chłopiec roześmiał się pogardliwie. — Jesteś jak Jahmose. Ostrożność! Rozwaga! Nie wolno niczego zrobić w pośpiechu! Jahmose jest jak stara kobieta. A Sobek to tylko słowa i przechwałki. Puść mnie, Renisenb.

Wyrwał swój rękaw z jej uchwytu.

— Nofret, gdzie jest Nofret?

Henet właśnie wybiegła z domu mruczając:

— O bogowie, to okropne... okropne. Co się z nami stanie? Co powiedziałaaby moja droga pani?

— Gdzie Nofret, Henet?

Renisenb krzyknęła:

— Nie mów mu! — ale Henet już zdążyła odpowiedzieć: — Wysła tylnym wyjściem. W stronę pól lnu.

Ipy wbiegł z powrotem do domu, a Renisenb rzekła z wymówką:

— Nie powinnaś była mu mówić, Henet.

— Nie ufasz starej Henet. Nigdy nie masz do mnie zaufania — skamlący ton w jej głosie stał się bardziej wyraźny. — Ale stara Henet wie, co robi. Chłopak potrzebuje czasu na ochłonięcie. Nie znajdzie Nofret przy lnianych polach. — Uśmiechnęła się szeroko, — Nofret jest tutaj, w pawilonie, z Kamenim.

Skinęła głową w stronę dziedzińca. I dodała z niewłaściwym, zdawałoby się, naciśkiem:

— Z Kamenim...

Ale Renisenb szła już przez dziedziniec.

Od strony jeziora przybiegła Teti, ciągnąc swojego drewnianego lwa, i Renisenb chwyciła ją w ramiona, Przyciskając dziecko do siebie zrozumiała siłę powodującą Satipy i Kait. Te kobiety walczyły dla swoich dzieci.

Teti krzyknęła trochę wystraszona.

— Nie tak mocno, mamó, nie tak mocno. To mnie boli.

Renisenb puściła dziecko. Powoli przeszła przez dziedziniec. W odległym końcu pawilonu Nofret i Kameni stali razem. Odwrócili się, gdy Renisenb się zbliżyła.

— Nofret, przysłałam cię ostrzec — powiedziała szybko zdyszana Renisenb. — Musisz być ostrożna. Pilnuj się.

Wyraz pogardliwego rozbawienia przemknął po twarzy nałożnicy.

— A więc psy ujadają?

— Są bardzo źli... zrobią ci coś złego.

Nofret potrząsnęła głową.

— Nie, nikt nie może zrobić mi krzywdy — rzekła wyniośle. — Gdyby tak się stało, doniesiono by o tym twojemu ojcu, a on zemściłby się. Zrozumieją to, jeśli się zastanowią. — Roześmiała się — Jacyż byli głupi, z tymi drobnymi zniewagami i szykanami! Cały czas grali w moją grę.

Renisenb powiedziała powoli:

— Więc wszystko to zaplanowałaś? A mnie było cię żal. Myślałam, że jesteśmy niezliczeni! Nie jest mi już przykro... Myślę, Nofret, że jesteś podła. Kiedy przyjdiesz zaprzeczyć czterdziestu dwóm grzechom w godzinie sądu, nie będziesz mogła powiedzieć: „Nie zrobiłam nic złego”. Ani nie będziesz mogła powiedzieć: „Nie byłam chciwa”. A twoje serce ważone piórkiem prawdy przechyli szalę wagi.

Nofret odparła ponuro:

— Nagle jesteś bardzo pobożna. Ale ciebie nie skrzywdziłam, Renisenb. Nic przeciwko tobie nie powiedziałam. Spytaj Kameniego, czy tak nie było.

Nofret przecięła dziedziniec i wspięła się po schodach na ganek. Henet wyszła, aby ją przywitać i obie kobiety zniknęły w domu. Renisenb odwróciła się powoli w stronę Kameniego.

— A więc to ty, Kameni, pomogłeś jej zrobić nam to wszystko?

Kameni odparł skwapliwie:

— Jesteś na mnie zła, Renisenb? Ale co mogłem zrobić? Nim Imhotep wyjechał, nakazał mi solennie, abym pisał na życzenie Nofret za każdym razem, gdy mnie poprosi. Powiedz, że mnie nie winisz, Renisenb. Cóż mogłem zrobić?

— Nie mogę cię winić. Przypuszczam, że musiałeś spełnić rozkaz ojca.

— Nie podobało mi się to, i to prawda, Renisenb, nie było tam ani słowa przeciw tobie.

— Tak jakby mnie to obchodziło!

— Ale mnie obchodzi. Cokolwiek Nofret by mi kazała, nie napisałbym ani słowa, które mogłoby tobie wyrządzić krzywdę. Proszę, uwierz mi.

Renisenb potrząsnęła głową z zakłopotaniem. To, do czego najwyraźniej zmierzał Kameni, mało ją obchodziło. Czowała się dotknięta i zła, jak gdyby Kameni zawiódł ją w jakiś sposób. Ale w końcu był przecież obcy. Chociaż spokrewniony, mimo wszystko był obcym, którego jej ojciec przywiózł z odległej części kraju. Był młodszym pisarzem, któremu pracodawca przydzielił zadanie i który je posłusznie wypełnił.

— Nie napisałem nic prócz prawdy — upierał się Kameni — nie było tam żadnych kłamstw, przysięgam ci.

— Nie — powiedziała Renisenb — nie mogło być kłamstw. Nofret jest na to za sprytna.

Stara Esa miała więc rację. Prześladowania, którymi Satipy i Kait tak się napawały, były po myśli Nofret. Nic dziwnego, że chodziła z tym swoim kocim uśmiechem na twarzy.

— Ona jest zła — stwierdziła Renisenb, idąc za tokiem swoich myśli.

— Tak — zgodził się Kameni — jest złą istotą.

Renisenb odwróciła się i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Znałeś ją, nim tu przyjechała, prawda? Znałeś ją w Memfis?

Kameni zaczerwienił się i zmieszał.

— Nie znałem jej dobrze... Słyszałem o niej. Dumna dziewczyna, mówili, ambitna i twarda... I nigdy nie wybacza.

Renisenb odrzuciła niecierpliwie głowę.

— Nie wierzę w to — powiedziała. — Mój ojciec nie zrobi tego, czym grozi. Teraz jest zły, ale nie mógłby być niesprawiedliwy. Gdy wróci, przebaczy.

— Gdy wróci, Nofret dopilnuje, żeby nie zmienił zdania. Nie znasz Nofret, Renisenb. Jest bardzo sprytna i zdecydowana. I pamiętaj, jest bardzo piękna.

— Tak — przyznała Renisenb — jest piękna.

Wstała. Z jakiegoś powodu myśl o urodzie Nofret sprawiała jej przykrość...

II

Renisenb spędziła popołudnie bawiąc się z dziećmi. W czasie tej zabawy dziwny ból w sercu osłabł. I dopiero przed zachodem słońca, gdy już wygładziła włosy i fałdy sukni, która zmięła się i była w nieładzie, zastanowiła się, dlaczego ani Satipy, ani Kait nie wyszły jak zwykle.

Kameni dawno odszedł z dziedzińca. Renisenb powoli udała się do domu. Nie było nikogo w głównej sali, przeszła więc na tyły domu do pomieszczeń kobiecych. Esa drzemała w kącie swego pokoju, a jej mała niewolnica znaczyła stopy lnianych prześcieradeł. W kuchni pieczono sterty trójkątnych bochenków. Nikogo więcej nie było.

Dziwna pustka ogarnęła duszę Renisenb. Gdzie się wszyscy podziali?

Hori poszedł pewnie do grobowca. Jahmose może być z nim lub w polu. Sobek i Ipy powinni być przy bydle albo przy stogach. Ale gdzie były Satipy i Kait, i gdzie była Nofret?

Pusty pokój wypełniał mocny zapach olejków Nofret. Renisenb stała na progu wpatrzona w małą drewnianą poduszkę, w pudełko z klejnotami, w stertę koralikowych bransolet i komplet pierścieni z niebieskimi, lśniącymi skarabeuszami. Perfumy, olejki, ubrania, płótna, sandały — wszystko mówiło o właścicielce, o Nofret, która mieszkała pomiędzy nimi i która była im obca, która była wrogiem.

Gdzie, zastanawiała się Renisenb, mogła być Nofret? Ruszyła powoli w stronę tylnego wyjścia i spotkała wchodzącą Henet.

— Gdzie są wszyscy, Henet? W domu nie ma nikogo oprócz babki.

— Skąd ja mam wiedzieć, Renisenb? Pracowałam, pomagałam przy tkaniu, pilnowałam tysiąca różnych rzeczy. Ja nie mam czasu na spacer.

Oznaczało to, pomyślała Renisenb, że ktoś poszedł na spacer. Może Satipy poszła za Jahmosem do grobowca, aby dalej wygłaszać swoje przemowy? Ale gdzie, była Kait? To niepodobne do Kait zostawić dzieci na tak długo. I znów dziwne, niepokojące uczucie, a potem myśl: „Gdzie jest Nofret?”

Henet, jakby czytając w jej myślach, pospieszyła z odpowiedzią.

— Co do Nofret, wyszła dawno temu do grobowca. No cóż, Hori jest dla niej partią.
— Henet roześmiała się złośliwie. — Hori także ma rozum.

Przysunęła się trochę bliżej do Renisenb.

— Szkoda, że nie wiesz, Renisenb, jaka nieszczęśliwa jestem z powodu tego wszystkiego. Przyszła do mnie, wiesz, tego dnia, ze śladem palców Kait na policzku i krwią ściekającą po twarzy. I kazała Kameniemu pisać, a mnie poświadczyć, co widziałam. Oczywiście nie mogłam powiedzieć, że nie widziałam tego! Och, ona jest sprytna. A ja, myśląc ciągle o twojej drogiej matce...

Renisenb przepchnęła się obok niej i wyszła w złoty blask wieczornego słońca. Skały kryły się w głębokim cieniu. Cały świat wyglądał fantastycznie w porze zachodu.

Na skalnej ścieżce Renisenb przyspieszyła kroku. Pójdzie do grobowca odnaleźć Horiego. Tak, znaleźć Horiego. Tak właśnie robiła w dzieciństwie, gdy popsuła jej się zabawka, gdy była niepewna lub przestraszona. Hori był jak te skały: niezachwiany, niewzruszony, niezmienny. Renisenb myślała chaotycznie: „wszystko będzie dobrze, jeśli znajdę Horiego...”

Przyspieszyła kroku, prawie biegła. Potem nagle ujrzała Satipy idącą w jej stronę. Satipy także musiała być przy grobowcu.

Jakże dziwnie szła, kołysząc się z boku na bok i potykając, jakby nic nie widziała...

Gdy Satipy spostrzegła Renisenb, zatrzymała się nagle, rękę uniosła do piersi. Renisenb podchodząc bliżej zlekka się wyraził jej twarzy.

— Co się stało, Satipy, czy jesteś chora?

Głos Satipy był niczym krakanie, czy rozbiegane.

— Nie, nie, oczywiście, że nie.

— Wyglądasz na chorą. Na wystraszoną. Co się stało?

— Co się miało stać? Nic, oczywiście.

— Gdzie byłaś?

— Byłam przy grobowcu odnaleźć Jahmosego. Nie było go tam. Nikogo tam nie było.

Renisenb ciągle patrzyła. To była nowa Satipy — Satipy, z której uszła cała odwaga i zdecydowanie.

— Chodź Renisenb, wracaj do domu.

Satipy położyła trochę drżącą rękę na ramieniu szwagierki, i pod wpływem tego dotyku Renisenb ogarnęło nagle uczucie buntu.

— Nie, idę do góry, do grobowca.

— Nie ma tam nikogo, mówię ci.

— Lubię siedzieć tam i patrzeć na rzekę.

— Ale słońce już zachodzi, jest za późno.

Palce Satipy zacisnęły się jak imadło na ramieniu Renisenb.

— Puść mnie, Satipy. — Renisenb uwolniła się szarpnięciem.

— Nie. Wracaj. Wracaj ze mną.

Ale Renisenb już się wyrwała i pobiegła w górę. Coś się stało — instynkt mówił jej, że coś tam było... I wreszcie zobaczyła to — ciemny tłumok leżący w cieniu skały... zbliżyła się szybko. Nie zdziwiło jej to, co znalazła. Tak jakby już się tego spodziewała...

Nofret leżała twarzą do góry, jej ciało było połamane i wykręcone, a otwarte oczy spoglądały nic nie widząc.

Renisenb pochyliła się i dotknęła zimnej, sztywnej szyi, potem wstała i patrzyła na nią z góry. Prawie nie słyszała, gdy Satipy stanęła za nią.

— Musiała spać — mówiła Satipy — Spadła. Szła skalną ścieżką i spadła...

„Tak — pomyślała Renisenb — to właśnie się stało. Nofret spadła ze ścieżki powyżej, jej ciało odbiło się od wapiennych skał”.

— Może zobaczyła węża — powiedziała Satipy — i przestraszyła się. Czasem węże śpią w słońcu na tej ścieżce.

Węże. Tak, węże. Sobek i wąż. Wąż, ze złamanym karkiem, leżący martwy w słońcu. Sobek z błyszczącymi oczami... Pomyślała: „Sobek... Nofret...”

— Co się stało?

Poczuła nagłą ulgę usłyszawszy głos Horiego. On i Jahmose nadeszli razem. Satipy wykrzykiwała gorliwie, że Nofret musiała spać ze ścieżki powyżej.

Jahmose powiedział:

— Musiała nas tu szukać, ale oglądaliśmy z Horim kanały irygacyjne. Nie było nas przynajmniej godzinę. Gdy wróciliśmy, zobaczyliśmy was tutaj.

— Gdzie jest Sobek? — Renisenb spytała, a jej głos zadziwił ją, brzmiał; tak inaczej.

Poczuła raczej niż dostrzegła gwałtowny ruch głowy Horiego, gdy usłyszał to pytanie. Jahmose trochę zdziwiony odparł:

— Sobek? Nie widziałem go całe popołudnie. Od czasu, kiedy rozgniewany wyszedł z domu.

Ale Hori patrzył na Renisenb. Ich oczy spotkały się. Widziała, jak odwrócił się pod wpływem jej wzroku i spojrział zamyślony na ciało Nofret. Z absolutną pewnością wiedziała, o czym myślał.

Mruknął pytająco:

— Sobek?

— O, nie — Renisenb usłyszała swój głos. — Och, nie... och, nie...

Satipy znów odezwała się spieszenie:

— Spadła ze ścieżki. Tam na górze jest wąsko... i niebezpiecznie.

Sobek lubił zabijać. „Podoba mi się to, co zrobisz”... Sobek zabijający węża... Sobek spotykający Nofret na wąskiej ścieżce...

Usłyszała, jak mruczy bezładnie:

— Nie wiemy... nie wiemy...

A potem z serdeczną ulgą, z uczuciem, jakby zdjęto z niej ciężar, usłyszała poważny głos Horiego potwierdzający oświadczenie Satipy.

— Musiała spaść ze ścieżki...

Jego oczy spotkały się z oczami Renisenb. Pomyślała: „On i ja wiemy... Zawsze będziemy wiedzieć...” Głośno powiedziała drżącym głosem:

— Spadła ze ścieżki...

I jak echo zadźwięczał łagodny głos Jahmosego:

— Musiała spaść ze ścieżki.

Rozdział dziesiąty

Czwarty miesiąc zimy — dzień szósty

I

Imhotep siedział naprzeciw Esy.

— Wszyscy mówią to samo!

— To przynajmniej wygodnie — odparła Esa.

— Wygodnie... wygodnie? Jakich dziwacznych słów używasz!

Esa zaśmiała się krótko.

— Wiem, co mówię, mój synu.

— Muszę sam zdecydować, czy mówią prawdę — powiedział Imhotep złowieszczo.

— Raczej nie jesteś boginią Maat. Ani nie potrafisz, jak Anubis, ważyć serc na wadze sprawiedliwości!

— Czy to był wypadek? — Imhotep potrząsnął głową z powagą sędziego. — Muszę pamiętać, że obwieszczenie moich zamiarów w stosunku do niewdzięcznej rodziny mogło wywołać gwałtowne emocje.

— Tak, rzeczywiście — odparła Esa — obudziły się emocje. Tak krzyczeli w głównej sali, że słyszałam aż tutaj w moim pokoju. Swoją drogą, czy rzeczywiście takie były twoje intencje?

Imhotep poruszył się niespokojnie i mruknął:

— Napisałem w gniewie, w uzasadnionym gniewie. Mojej rodzinie należała się solidna lekcja.

— Innymi słowy — powiedziała Esa — tylko ich straszyleś. Czy tak było?

— Moja droga matko, czy to ma teraz znaczenie?

— Rozumiem — odezwała się Esa — nie wiedziałeś, co chciałeś zrobić. Poplątane myśli, jak zwykle.

Imhotep z trudem opanował zdenerwowanie.

— Po prostu uważam, że ta konkretna sprawa nie jest już ważna. Teraz zajmujemy się śmiercią Nofret. Jeśli mam uwierzyć, że nikt z rodziny nie zachował się tak niegodnie, tak nierozważnie w gniewie, żeby skrzywdzić dziewczynę — naprawdę nie wiem, co powinienem zrobić!

— A więc to szczęście, że wszyscy opowiadają tę samą historię! Nikt nie wspomniał, że było inaczej, prawda?

— Oczywiście, że nie.

— A więc dlaczego nie uznać tego incydentu za zakończony? Powinieneś być zabrać dziewczynę ze sobą na Północ. Tak ci wtedy radziłam.

— Więc wierzysz...

— Wierzę w to, co mi powiedziano, jeśli nie kłóci się to z tym, co widziałam na własne oczy (a widzę już coraz mniej) lub słyszałam na własne uszy. Przepytałeś Henet, jak sądzi? Co ona ma do powiedzenia w tej sprawie?

— Jest głęboko poruszona... bardzo poruszona. Z mojego powodu.

Esa uniosła brwi.

— Istotnie? Zadziwiasz mnie.

— Henet — stwierdził Imhotep ciepło — ma wiele serca.

— Owszem. Ma też więcej niż zwykły przydział języka. Jeśli poruszenie twoją stratą jest jej jedyną reakcją, z pewnością uznałabym cały ten incydent za zamknięty. Jest wiele innych spraw, którymi możesz się zająć.

— Tak, istotnie — Imhotep podniósł się odzyskując swój zręczliwy, pełen powagi sposób bycia. — Jahmose czeka na mnie w głównej sali ze wszystkimi sprawami niecierpiącymi zwłoki. Trzeba podjąć wiele decyzji. Jak mówisz, osobisty smutek nie może wkraczać w najważniejsze sprawy życia.

Wyszedł spiesźnie.

Esa uśmiechała się przez chwilę trochę sardonicznie, potem jej twarz znowu spoważniała. Westchnęła i pokręciła głową.

II

Jahmose czekał na ojca w towarzystwie Kameniego. Hori, wyjaśnił Jahmose, sprawdził ostatnie przygotowania do pogrzebu.

Podróż do domu po odebraniu wiadomości o śmierci Nofret zajęła Imhotepowi kilka tygodni, przygotowania do pogrzebu były więc niemal zakończone. Ciało moczono długo w solance, przywrócono mu normalny wygląd, natarto olejkami i solami, odpowiednio owinięto bandażami i złożono w trumnie.

Jahmose wyjaśnił, że ciało postanowił złożyć w małej komnacie pogrzebowej obok skalnego grobowca, przeznaczonej także dla Imhotepa. Szczegółowo przedstawił swoje rozkazy, a Imhotep wyraził aprobatę.

— Dobrze zrobiłeś, Jahmose — powiedział uprzejmie. — Wykazałeś bardzo dużo rozsądku, wygląda, że masz głowę na karku.

Jahmose zaczerwienił się lekko, słysząc nieoczekiwaną pochwałę.

— Mumifikacja wykonywana przez Ipi i Montu jest oczywiście droga — mówił dalej Imhotep — na przykład te naczynia kanopskie są przesadnie kosztowne. Taka ekstrawagancja naprawdę nie jest potrzebna. Niektóre ich rachunki wydają mi się za wysokie. To jest najgorsze u tych kapłanów, którzy pracują dla rodziny rządcy. Wydaje im się, że mogą żądać każdej fantastycznej sumy. Byłoby znacznie taniej zwrócić się do kogoś mniej znanego.

— Pod twoją nieobecność — powiedział Jahmose — decydowałem o wszystkim i pragnąłem okazać cały szacunek konkubinie, dla której miałeś tak wiele względów.

Imhotep skinął głową i poklepał Jahmosego po ramieniu.

— To błąd w dobrej wierze, mój synu. Wiem, że jesteś skrajnie ostrożny w sprawach pieniędzy. Doceniam, że w tym wypadku zostały poniesione niepotrzebne koszty, aby sprawić mi przyjemność. Niemniej nie jestem zrobiony z pieniędzy, a konkubina to — *er ahem!* — tylko konkubina. Myślę, że zrezygnujemy z najkosztowniejszych amuletów — i niech spojrzę — jest kilka sposobów na zmniejszenie rachunków... Przeczytaj kosztorys, Kameni.

Kameni rozwinął papirus. Jahmose odetchnął z ulgą.

III

Kait, idąca powoli z domu nad jezioro, zatrzymała się tam, gdzie bawiły się dzieci z matkami.

— Miałaś rację, Satipy — powiedziała. — Martwa konkubina nie jest tym samym co żywa konkubina!

Satipy spojrzała na nią dziwnymi, niewidzącymi oczami. Renisenb spytała szybko:

— Co masz na myśli, Kait?

— Dla żywej konkubiny nic nie było za dobre — ubrania, klejnoty, nawet dziedzictwo potomków Imhotepa! Ale teraz Imhotep pracowicie obniża koszty pogrzebu! W końcu, po co wydawać pieniądze na martwą kobietę? Tak, Satipy, miałaś rację.

Satipy mruknęła:

— Co powiedziałam? Zapomniałam.

— Tak jest najlepiej — zgodziła się Kait — ja też zapomniałam. I Renisenb także.

Renisenb spojrzała bez słowa na Kait. Było coś w głosie Kait — jakaś ledwie dostrzeżalna groźba — co wywołało na niej nieprzyjemne wrażenie. Zawsze przyzwyczajona była myśleć o Kait jako o dość głupiej kobiecie, łagodnej i uległej, ale bez znaczenia. Teraz uderzyło ją, że Kait i Satipy jak gdyby zamieniły się rolami. Dominująca i agresywna Satipy była przyciszona, prawie nieśmiała. Spokojna Kait zdawała się nad nią dominować.

Ale ludzie, pomyślała Renisenb, nie zmieniają naprawdę swoich charakterów — a może zmieniają? Czuła się zagubiona. Czy Kait i Satipy naprawdę się zmieniły w ciągu ostatnich kilku tygodni, czy też zmiana jednej spowodowała zmianę drugiej? Czy Kait nagle stała się agresywna? Czy może tylko wydaje się taka z powodu nagłego załamania Satipy?

Satipy z pewnością była inna. Jej głos nie był już podniesiony i kłótlivy. Skradała się po dziedzińcu i domu niepewnym krokiem, zupełnie niepodobnym do jej zwykłego, pewnego siebie sposobu bycia. Renisenb składała tę zmianę na karb szoku po śmierci Nofret, ale było niewiarygodne, by szok trwał tak długo. Znacznie bardziej pasowałoby do Satipy, gdyby otwarcie triumfowała z powodu tej nagłej i przedwczesnej śmierci. Tymczasem kurczyła się nerwowo na dźwięk imienia Nofret. Nawet Jahmose nie był już tyranizowany i zastraszany i, w konsekwencji, sam przyjął postawę bardziej śmiałą i zdecydowaną. W każdym razie Satipy zmieniła się na korzyść — tak przynajmniej sądziła Renisenb. Jednakże coś ją niepokoiło...

Nagle, z przestrawieniem, Renisenb uświadomiła sobie, że Kait patrzy na nią ze zmarszczonymi brwiami. Zrozumiała, że oczekuje potwierdzenia tego, co przed chwilą powiedziała.

— Renisenb także — powtórzyła Kait — zapomniała.

Nagle Renisenb poczuła, jak ogarnia ją fala buntu. Ani Kait, ani Satipy nie będą jej dyktować, co ma, a czego nie ma pamiętać. W spojrzeniu, które oddała Kait, było wyraźne wyzwanie.

— Kobiety w rodzinie — powiedziała Kait — muszą trzymać się razem.

Renisenb odzyskała głos. Powiedziała wyraźnie i prowokująco:

— Dlaczego?

— Ponieważ mają wspólne interesy.

Renisenb gwałtownie potrząsnęła głową. Pomyślała chaotycznie: „Jestem także człowiekiem, nie tylko kobietą. Jestem Renisenb”.

— To nie jest takie proste — powiedziała głośno.

— Czy chcesz narobić kłopotów, Renisenb?

— Nie. A tak w ogóle, co rozumiesz przez kłopoty?

— Najlepiej będzie, jeśli wszystko, co zostało powiedziane tamtego dnia w głównej sali, zostanie zapomniane.

Renisenb roześmiała się.

— Jesteś głupia, Kait. Służba, niewolnicy, moja babka — wszyscy musieli to słyszeć! Dlaczego udawać, że nie zdarzyło się to, co się zdarzyło?

— Byliśmy rozgniewani — powiedziała Satipy matowym głosem — tak naprawdę to nie myśleliśmy tego wszystkiego. — I dodała z gorączkową irytacją: — Przestań o tym mówić, Kait. Jeśli Renisenb chce robić kłopoty, pozwól jej na to.

— Nie chcę robić kłopotów — odparła Renisenb oburzona — ale głupio jest udawać.

— Nie — odezwała się Kait — to mądrość. Musisz pamiętać o Teti.

— Z Teti wszystko w porządku.

— Wszystko jest w porządku teraz, kiedy Nofret nie żyje — uśmiechnęła się Kait.

To był pogodny, spokojny, zadowolony uśmiech — i znów Renisenb poczuła wzburzający w niej przypływ buntu. Jednak Kait miała rację. Teraz, po śmierci Nofret, wszystko było w porządku.

Satipy, sama Kait, dzieci... bezpieczni. Wszędzie spokój, znikły obawy o przyszłość. Groźny intruz, zakłócający spokój, odszedł na zawsze.

Nic rozumiała więc skąd to wzburzenie z powodu Nofret. Skąd chęć obrony nieżyjącej dziewczyny, której nie lubiła. Nofret była podła i Nofret nie żyła — czy nie można było tak tego zostawić? Skąd to nagłe ukłucie litości — czy też czegoś więcej niż litości — niemal zrozumienia?

Renisenb potrząsnęła głową z zakłopotaniem. Została nad wodą, gdy inni już odeszli, próbując bezskutecznie zrozumieć chaos w swoim umyśle.

Słońce było nisko, gdy Hori, przechodząc przez dziedziniec, spostrzegł ją. Podeszedł i usiadł obok.

— Jest późno, Renisenb. Słońce zachodzi. Powinnaś pójść do domu. — Jego poważny, zrównoważony głos uspokoił ją, jak zwykle. Odwróciła się ku niemu i spytała:

— Czy kobiety w rodzinie muszą trzymać się razem?

— Kto ci tak powiedział, Renisenb?

— Kait. Ona i Satipy... — przerwała.

— A ty... chcesz myśleć za siebie?

— Och, myśleć! Nie wiem, co myśleć, Hori. Wszystko mi się poplątało w głowie. Wszyscy są inni, niż myślałam. Zawsze myślałam, że Satipy jest odważna, zdecydowana, despotyczna. Ale teraz jest słaba, chwiejna, nawet nieśmiała. Więc która z nich to prawdziwa Satipy? Ludzie nie mogą się tak zmieniać z dnia na dzień.

— Nie z dnia na dzień.

— A Kait? Zawsze była taka potulna i uległa, zawsze pozwalała się terroryzować. Teraz ona dominuje nad nami wszystkimi! Nawet Sobek się jej boi. I nawet Jahmose jest inny: wydaje rozkazy i żąda ich wypełnienia!

— I wszystko to powoduje, że tracisz orientację, Renisenb?

— Tak. Ponieważ nie rozumiem. Czasem czuję, że nawet Henet może być inna, niż się wydaje!

Renisenb roześmiała się, jakby powiedziała coś absurdalnego, ale Hori nie wtórował jej. Jego twarz pozostała poważna i zamyślona.

— Nigdy wiele nie myślałaś o ludziach, prawda? Gdybyś myślała, zrozumiałabyś.

— Przerwał na chwilę — Wiesz, że w każdym grobowcu są ślepe wrota?

Renisenb spojrzała zdziwiona.

— Tak, oczywiście.

— Cóż, ludzie są podobni. Stwarzają ślepe wrota, aby oszukać. Jeśli są świadomi słabości, nieskuteczności, stwarzają wspaniałe drzwi pewności siebie, przechwałek, przytłaczającej władzy... i po pewnym czasie zaczynają wierzyć w siebie. Oni myślą, i wszyscy myślą, że tacy właśnie są. Ale za tymi drzwiami, Renisenb, jest goła skała... I gdy rzeczywistość przychodzi i dotyka ich piórkiem prawdy, ich prawdziwe ja ponownie się pojawia. Łagodność i uległość przyniosły Kait to, czego pragnęła: męża i dzieci. Głupota ułatwiała jej życie, ale w chwili niebezpieczeństwa ujawniła się jej prawdziwa natura. Ona się nie zmieniła, Renisenb. Ta siła i ta bezwzględność zawsze w niej były.

— Ale mnie się to nie podoba, Hori — powiedziała dziecinnie Renisenb. — Przeraża mnie to. To, że każdy jest inny niż myślałam. A ja? Ja jestem zawsze taka sama.

— Czyżby? — uśmiechnął się do niej. — Więc dlaczego siedzisz tu przez ten cały czas, marszczysz czoło, rozmyślasz i medytujesz? Czy dawna Renisenb — ta Renisenb, która odeszła z Khayem — kiedykolwiek to robiła?

— Och nie. Nie było potrzeby.

— Widzisz? Sama to powiedziałaś. To jest słowo rzeczywistości: potrzeba! Nie jesteś szczęśliwym, bezmyślnym dzieckiem, jakim zawsze się zdawałaś, przyjmującym wszystko za dobrą monetę. Nie jesteś po prostu jedną z kobiet w rodzinie. Jesteś Renisenb, która chce myśleć za siebie, która zastanawia się nad innymi ludźmi...

— Zastanawiałam się nad Nofret... — przyznała.

— Co cię zastanawia?

— Dlaczego nie mogę jej zapomnieć... Była zła i okrutna, próbowała nas skrzywdzić i nie żyje — dlaczego nie mogę tak tego zostawić?

— A nie możesz?

— Nie. Próbuję, ale — przerwała. Przetarła oczy ręką z zakłopotaniem. — Czasem myślę, że wiem o Nofret, Hori.

— Wiesz? Co masz na myśli?

— Nie potrafię wytłumaczyć. Ale to przychodzi od czasu do czasu. Prawie jakby tu była, obok mnie. Niemal czuję, jakbym ja nią była. Wydaje mi się, że wiem, co czuła. Była bardzo nieszczęśliwa, Hori, teraz wiem, chociaż wtedy nie wiedziałam. Chciała nam wszystkim zaszkodzić, ponieważ była taka nieszczęśliwa.

— Nie możesz tego wiedzieć, Renisenb.

— Nie, naturalnie, że nie mogę wiedzieć, ale tak właśnie czuję. To cierpienie, ta gorzycz, ta czarna nienawiść... raz zobaczyłam to w jej twarzy i nie zrozumiałam! Musiała kogoś kochać, a potem coś się popsuło... może on umarł lub odszedł. To ją taką uczyniło — chciała krzywdzić i ranić. Och! mów co chcesz, wiem, że mam rację! Została konkubina tego starego człowieka, mojego ojca, i przyjechała tutaj, a my nie lubiliśmy jej, a ona myślała, że uczyni nas tak nieszczęśliwymi, jak sama była. Tak, tak właśnie było!

Hori spojrzał na nią zdziwiony.

— Jaka jesteś pewna tego, co mówisz, Renisenb. A przecież nie znałaś dobrze Nofret.

— Ale czuję, że to prawda, Hori. Czuję ją, Nofret. Czasem czuję ją bardzo blisko siebie...

— Rozumiem.

Zapadła cisza. Było już prawie ciemno.

— Wierzysz, że Nofret nie zginęła przez przypadek, prawda? Uważasz, że została zepchnięta? — spytał spokojnie Hori.

Renisenb poczuła gwałtowną odrazę usłyszawszy swoje myśli przybrane w słowa.

— Nie, nie, nie mów tak.

— Uważam, że lepiej to powiedzieć, skoro jest to w twojej głowie. Naprawdę tak myślisz?

— Ja... tak!

Hori pochylił głowę zamyślony i powiedział:

— I myślisz, że zrobił to Sobek?

— Któż inny mógł to zrobić? Pamiętasz historię z węzłem? A pamiętasz, co powiedział tamtego dnia, w dniu jej śmierci, nim wyszedł z wielkiej sali?

— Tak, pamiętam, co powiedział. Ale nie zawsze ludzie, którzy najwięcej mówią, najwięcej robią!

— Nie wierzysz, że została zabita?

— Tak, Renisenb, wierzę... Ale to jest w końcu tylko przypuszczenie. Nie mam dowodów. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek znalazł się dowód. Dlatego właśnie zachęcałem Imhotepa, aby uznał orzeczenie o wypadku. Ktoś zepchnął Nofret. Nigdy nie dowiemy się kto.

— To znaczy, że sądzisz, że to nie był Sobek?

— Tak. Ale, jak mówię, nigdy się nie dowiemy prawdy, lepiej więc o tym nie myśleć.

— Ale jeśli to nie Sobek... jak myślisz, kto to był?

Hori potrząsnął głową.

— Jeśli mam jakieś przypuszczenie, to i tak może ono być błędne. Lepiej więc nic nie mówić...

— Ale wtedy nigdy się nie dowiemy!

W głosie Renisenb zabrzmiało przerażenie.

— Może — zawahał się Hori — może tak będzie najlepiej.

— Nie wiedzieć?

— Nie wiedzieć.

Renisenb wzdrygnęła się.

— Ale wtedy... och, Hori, boję się!

Rozdział jedenasty

Pierwszy miesiąc lata — dzień jedenasty

I

Dopełniono ostatnich ceremonii i wypowiedziano należycie zaklęcia. Montu, święty ojciec świątyni Hathor, wziął miotłę z trawy heden i dokładnie zamiótł komnatę recytując przy tym zaklęcie, aby usunąć ślady stóp wszystkich złych duchów, nim drzwi zostaną zamknięte na zawsze. Następnie drzwi zapieczętowano, a wszystko, co zostało po mumifikacji i naczynia pełne natronu, sole i bandaże, które miały kontakt z ciałem, umieszczono w przyległej komnacie, która także została zapieczętowana.

Imhotep wyprostował się i odetchnął głęboko, uwalniając twarz od nabożnego, pogrzebowego wyrazu. Wszystko zrobiono tak, jak wypadało. Nofret pochowano z zachowaniem całego przepisowego rytuału, nie szczędząc kosztów (trochę zbyt wysokich, jak mniemał Imhotep).

Teraz wymienił uprzejmości z kapłanami, którzy, zakończywszy religijne czynności, znowu stali się zwykłymi śmiertelnikami. Wszyscy podążyli do domu, gdzie czekały stosowne przekąski. Imhotep omawiał z głównym świętym ojcem ostatnie zmiany polityczne. Teby gwałtownie stawały się potężnym miastem. Było możliwe, że niedługo Egipt raz jeszcze zjednoczy się pod jednymi rządami. Może powrócić złoty wiek budowniczych piramid.

Montu mówił z szacunkiem i uznaniem o królu Nebhepet-Re. Wyśmienity żołnierz, a także pobożny człowiek. Skorumpowana i tchórzliwa Północ nie mogła mu się sprzeciwić. Zjednoczony Egipt, oto, co było potrzebne. A to bez wątpienia oznaczałoby wielkie dni dla Teb... Mężczyźni szli razem dyskutując o przyszłości.

Renisenb spojrzała w tył na skałę i zaplombowaną komnatę grobowca.

— A więc taki jest koniec — mruknęła. Ogarnęło ją uczucie ulgi. Prawie nie wiedziała, czego się bała! Jakiegoś wybuchu oskarżeń w ostatniej chwili? Ale wszystko odbyło się chwalebnie gładko. Nofret została odpowiednio pochowana z zachowaniem wszystkich rytuałów religijnych. To był koniec.

— Mam nadzieję, Mam taką nadzieję, Renisenb. — szepnęła pod nosem Henet.
Renisenb odwróciła się do niej.

— Co masz na, myśli?
Henet unikała jej wzroku.

— Powiedziałam tylko, że mam nadzieję, że to naprawdę jest koniec. Czasem to, co uważa się za koniec, jest dopiero początkiem. A to wcale nie byłoby dobrze.

— O czym ty mówisz, Henet? — odparła gniewnie Renisenb — Co to za aluzje?
— Nie robię żadnych aluzji, Renisenb. Nigdy bym czegoś podobnego nie zrobiła. Nofret została pochowana i wszyscy są zadowoleni. Więc wszystko jest tak, jak powinno być.

— Czy ojciec pytał cię, co sądzisz o śmierci Nofret?
— Tak. Najdziwniejsze, że żądał, abym powiedziała mu dokładnie, co myślę o tym wszystkim.

— I co mu powiedziałaś?
— Oczywiście powiedziałam, że to był wypadek. Cóż to mogło być innego? Nie sądziłeś chyba ani przez chwile, powiedziałam mu, że ktoś z twojej rodziny skrzywdziłby dziewczynę, prawda? Nie ośmieliliby się, powiedziałam. Mają dla ciebie za dużo szacunku. Mogą narzekać, ale nic więcej, powiedziałam. Możesz mi wierzyć, nie stało się nic w tym rodzaju! — Henet pokiwała głową i zachichotała.

— I ojciec ci uwierzył?
Henet znowu skinęła głową z wielką satysfakcją.

— Twój ojciec wie, jaka jestem oddana jego sprawom. Zawsze uwierzy słowom starej Henet. On mnie docenia, nawet jeśli wy nie. Ach, moje oddanie dla was wszystkich jest nagrodą samą w sobie. Nie oczekuję podziękowań.

— Byłaś także oddana Nofret.
— Nie wiem, skąd ten pomysł, Renisenb. Musiałam wykonywać rozkazy, jak wszyscy inni.

— Ona sądziła, że byłaś jej oddana.
Henet zachichotała.

— Nofret nie była aż tak sprytna, jak sądziła. Dumna dziewczyna, myślała, że świat do niej należy. Musi teraz tłumaczyć się sędziom w zaświatach, a tam ładna buzia jej nie pomoże. W każdym razie pozbyliśmy się jej. Przynajmniej — dodała szeptem dotykając jednego ze swoich amuletów — taką mam nadzieję.

II

— Renisenb, chcę z tobą porozmawiać o Satipy.
— Tak, Jahmose?

Renisenb spojrzała z sympatią w łagodną, zmartwiona twarz brata.

Jahmose powiedział powoli:

— Coś bardzo złego dzieje się z Satipy. Nie rozumiem tego.

Renisenb smutno skinęła głową. Nie potrafiła znaleźć słów pocieszenia.

— Zauważyłem tę zmianę jakiś czas temu — ciągnął Jahmose. — Wzdryga się i trzęsie na dźwięk każdego nieznanego odgłosu. Nie ma apetytu. Skrada się jakby... jakby bała się własnego cienia. Musiałaś to zauważyć, Renisenb?

— Tak, rzeczywiście zauważyłam.

— Pytałem ją, czy nie jest chora, czy powinienem posłać po lekarza, ale ona mówi, że nic jej nie jest, że czuje się zupełnie dobrze.

— Wiem.

— Więc ty też ją o to pytałaś? I nic ci nie powiedziała, zupełnie nic?

Wypowiedział te słowa z naciskiem. Renisenb współczuła mu, rozumiała jego niepokój, ale nie mogła powiedzieć nic, aby mi pomóc.

— Upiera się, że całkiem dobrze się czuje.

— Nie sypia dobrze w nocy, krzyczy we śnie — mruknął Jahmose. — Czy ona... czy mogłaby mieć jakieś zmartwienie, o którym nic nie wiemy?

Renisenb potrząsnęła głową.

— Nie sądzę, żeby to było możliwe. Nic złego nie dzieje się z dziećmi. Nic się tutaj nie stało oprócz, oczywiście, śmierci Nofret, a Satipy chyba nie zamartwiałyby się z tego powodu — dodała sucho.

Jahmose uśmiechnął się blado.

— Z pewnością nie. Wprost przeciwnie. Poza tym, to trwa już jakiś czas. Zaczęło się, jak sądzę, przed śmiercią Nofret.

Jego głos był trochę niepewny i Renisenb spojrzała na niego szybko. Jahmose powiedział z umiarkowaną stanowczością:

— Przed śmiercią Nofret, nie sądzisz?

— Ja zauważyłam to dopiero potem — odparła Renisenb.

— I nic ci nie powiedziała, jesteś pewna?

Renisenb potrząsnęła głową.

— Ale wiesz, Jahmose, Satipy chyba nie jest chora. Wydaje mi się raczej, że ona się boi.

— Boi? — wykrzyknął Jahmose ogromnie zdziwiony. — Ale czego miałyby się bać Satipy? Zawsze miała odwagę lwa.

— Wiem — przyznała Renisenb beznadziejnie. — Zawsze tak myśleliśmy, ale ludzie się zmieniają... to dziwne.

— Czy myślisz, że Kait wie cokolwiek? Czy Satipy z nią rozmawiała?

— Bardziej prawdopodobne, że rozmawiała z nią niż ze mną, ale nie przypuszczam. Właściwie jestem nawet pewna, że nie.

— A co Kait o tym myśli?

— Kait? Kait nigdy o niczym nie myśli. Wszystko, co zrobiła Kait, w odczuciu Renisenb, to wykorzystanie wyjątkowej słabości Satipy dla zagarnięcia najlepszych płócien, na co dawna Satipy nigdy by nie pozwoliła. Dom rozbrzmiewałby zapalczywymi kłótniami! Fakt, że Satipy zrezygnowała prawie bez protestów, zrobił na Renisenb większe wrażenie niż cokolwiek innego.

— Czy rozmawiałaś z Esą? — spytała Renisenb. — Nasza babka zna się na kobietach.

— Esa — odparł Jahmose z lekką irytacją — każe mi być wdzięcznym za tę odmianę. Mówi, że to byłoby zbyt wiele mieć nadzieję, że Satipy pozostanie tak słodko rozsądna.

— Czy pytałeś Henet?

— Henet — skrzywił się Jahmose. — Nie, doprawdy. Nie mówiłbym o takich sprawach z Henet. I tak zbyt wiele na siebie bierze. Ojciec ją psuje.

— Och, wiem o tym. Jest naprawdę męcząca. Ale mimo wszystko — Renisenb zaważała się — Henet zwykle wie.

— Czy zapytałabyś ją, Renisenb? I powiedziała potem mnie? — poprosił Jahmose.

— Jeśli chcesz.

Renisenb zadała to pytanie w chwili, gdy była z Henet sam na sam. Szły razem do tkalni. Trochę ku swemu zdziwieniu zauważyła, że zaniepokoiło ono Henet. Znikło całe jej zamięrowanie do plotek. Dotknęła amuletu i spojrzała przez ramię.

— To nie ma ze mną nic wspólnego... Nie do mnie należy obserwowanie, czy każdy jest sobą czy nie. Ja pilnuję własnych spraw. Jeśli jest jakiś kłopot, nie chcę być w to wmieszana.

— Kłopot? Jaki kłopot?

Henet rzuciła jej krótkie spojrzenie spod oka.

— Żaden, mam nadzieję. W każdym razie nic, co powinno nas obchodzić. Ty i ja, Renisenb, nie mamy sobie nic do wyrzucenia. To dla mnie wielkie pocieszenie.

— Czy chcesz powiedzieć, że Satipy... co masz na myśli?

— Nic nie chcę powiedzieć, Renisenb, i proszę cię, nie zaczynaj wyobrażać sobie, że chcę. Jestem tylko odrobinę więcej niż służącą w tym domu i nie do mnie należy wyrażać opinie o rzeczach, które mnie nie dotyczą. Jeśli mnie pytasz, to jest to zmiana na lepsze i jeśli tak zostanie, wszystkim to wyjdzie na dobre. A teraz, Renisenb, musisz sprawdzić, czy dobrze oznaczają datę na płótnach. Takie te kobiety nieuważne, ciągle rozmawiają, śmieją się i zaniedbują pracę.

Renisenb patrzyła niezadowolona, jak Henet pomknęła do tkalni. Ona sama wróciła powoli do domu. Weszła bezszelestnie do pokoju Satipy, która zerwała się z krzykiem, gdy Renisenb dotknęła jej ramienia.

— Och, przestraszyłaś mnie, myślałam...

— Satipy — powiedziała Renisenb — co się dzieje? Nie powiesz mi? Jahmose martwi się o ciebie i...

Satipy dotknęła palcami ust. Jej oczy były ogromne i przestraszone:

— Jahmose? Co... co powiedział? — spytała jękając się nerwowo.

— Jest niespokojny. Krzyczysz przez sen.

— Renisenb! — Satipy chwyciła jej ramię. — Coś powiedziałam... co powiedziałam?

Czy Jahmose myśli...? Co ci powiedział?

— Oboje sądzimy, że jesteś chora... lub nieszczęśliwa.

— Nieszczęśliwa? — Satipy powtórzyła to słowo cichutko ze szczególną intonacją.

— Czy jesteś nieszczęśliwa, Satipy?

— Może... Nie wiem. To nie to.

— Nie. Ty się boisz, prawda?

Satipy spojrzała na nią z nagłą wrogością.

— Dlaczego tak mówisz? Dlaczego miałabym się bać? Czego miałabym się bać?

— Nie wiem — odparła Renisenb — ale to prawda, czyż nie?

Satipy z wysiłkiem przybrała dawną arogancką pozę. Odrzuciła głowę.

— Niczego się nie boję... i nikogo! Jak śmiesz sugerować coś podobnego, Renisenb?

I bądź łaskawa nie obgadywać mnie z Jahmosem. Jahmose i ja rozumiemy się.

— Przerwała, a potem dodała ostro: — Nofret nie żyje i chwała bogom! To właśnie mówię. I możesz powiedzieć każdemu, kto o to zapyta, że takie jest moje zdanie na ten temat.

— Nofret? — Renisenb wypowiedziała to imię pytająco.

Satipy wpadła w gniew. Wyglądała teraz jak dawna Satipy.

— Nofret, Nofret, Nofret! Mdli mnie na dźwięk tego słowa. Już nie słychać go w tym domu i dzięki za to bogu.

Jej głos, podniesiony do krzyku jak dawniej, opadł nagle z chwilą wejścia Jahmosego, który odezwał się z niezwykłą dla siebie stanowczością:

— Uspokój się, Satipy. Gdyby cię ojciec usłyszał, byłyby nowe kłopoty. Jak możesz się tak głupio zachowywać?

Stanowczy i niezadowolony ton Jahmosego był równie niezwykły jak pokora Satipy.

— Przepraszam, Jahmose... Nie pomyślałam — mruknęła.

— Na przyszłość bądź ostrożniejsza! Ty i Kait narobiłyście tu dość kłopotów. Kobiety nie mają rozumu!

Satipy mruknęła znowu:

— Przepraszam...

Jahmose wyszedł, wyprostowany, krokiem tak pewnym, jakby to, że przynajmniej raz dowiódł swego autorytetu, dobrze mu zrobiło.

Renisenb poszła powoli do pokoju Esy. Czuła, że może babka będzie mogła służyć jej jakąś pomocną radą. Jednakże Esa, która właśnie ze smakiem zjadała winogrona, nie miała ochoty potraktować całej sprawy poważnie.

— Satipy? Satipy? Skąd cały ten szum wokół Satipy? Czy wy wszyscy tak lubicie, jak was terroryzuje i rozkazuje, że denerwuje was, kiedy przynajmniej raz zachowuje się przyzwoicie? — Wypluła pestki z winogron i dodała: — W każdym razie to jest zbyt dobre, żeby mogło trwać, chyba że Jahmose zrobi coś, żeby to utrzymać.

— Jahmose?

— Tak. Miałam nadzieję, że wreszcie poszedł po rozum do głowy i sprawił swojej żonie porządne lanie, Oto, czego jej potrzeba. A ona jest tego rodzaju kobietą, że prawdopodobnie by się jej to podobało. Jahmose, taki potulny i zastraszony, musiał być dla niej ciężkim doświadczeniem.

— Jahmose jest dobry — krzyknęła Renisenb oburzona — jest życzliwy każdemu i łagodny jak kobieta. Jeśli, oczywiście, kobiety są łagodne — dodała z powątpiewaniem.

Esa zachichotała.

— Słuszna refleksja, wnuczko. Nie, w kobietach nie ma łagodności, a jeśli już jest, niech im Izyda dopomoże! I niewiele kobiet chce mieć dobrego, łagodnego męża. Wolą przystojnego, zawadiackiego brutala jak Sobek — tacy jak on podobają się dziewczętom. Albo taki sprytny młody człowiek jak Kameni, no... Renisenb? Niczego mu nie brakuje! A jakie ma upodobanie do miłosnych pieśni. Ech? Cha, cha, cha.

Renisenb poczuła, że się czerwieni.

— Nie wiem, co masz na myśli — powiedziała z godnością.

— Wszyscy myślicie, że stara Esa nie wie, co się dookoła dzieje! A ja wiem bardzo dobrze. — Przyglądała się Renisenb na wpół ociemniałymi oczami. — Może nawet wiem wcześniej od ciebie, dziecko. Nie złość się. Takie jest życie, Renisenb. Khay był dobrym mężem dla ciebie, ale żegluj teraz w swojej łodzi po Polach Ofiarnych. Siostra znajdzie nowego brata, który złowi swoją rybkę w naszej rzece. Nie mówię, że Kameni jest taki dobry. Jego zainteresowania to trzciniowe pióro i zwój papirusu. Ale to przystojny młody człowiek i ładne są jego pieśni miłosne. Pomimo tego wszystkiego nie jestem pewna, czy jest mężczyzną odpowiednim dla ciebie. Niewiele o nim wiemy — jest z Północy. Imhotep go docenia, ale w końcu zawsze uważałam, że Imhotep jest głupi. Każdy może go sobie zjednać pochlebstwem. Spójrz na Henet!

— Mylisz się — powiedziała Renisenb z godnością.

— Dobrze, więc się myślę. Imhotep nie jest głupcem.

— Nie to miałam na myśli. Miałam...

— Wiem, co miałaś na myśli, dziecko — Esa uśmiechnęła się szeroko — ale nie wiesz, na czym naprawdę polega dowcip. Nie wiesz, jak dobrze jest siedzieć wygodnie tak jak

ja to robię, nie zajmować się sprawami innych, miłością i nienawiścią. Jeść dobrze zrobioną kuropatwę, potem ciasto z miodem, trochę dobrze przyrządzonych porów i seleków, popłukać to wszystko winem z Syrii — i nie dbać o świat dookoła. Patrzeć na wrzawę i strapienia i wiedzieć, że ciebie to już nie dotyczy. Patrzeć, jak twój syn robi z siebie głupca z powodu jakiejś pięknej dziewczyny, jak ona skłóca wszystkich ze sobą — śmiechy mnie to, mówię ci! Wiesz, w pewien sposób lubiłam tę dziewczynę! Z pewnością miała w sobie diabła, trafiała każdego w czułe miejsce. Sobek jak przekłuty pęcherz, Ipy robiący z siebie dzieciaka, Jahmose wstydzący się tego, że jest terroryzowanym mężem. To tak jakby oglądali swoją twarz w tafli wody — sprawiła, że ujrzeli siebie takimi, jakimi widzi ich świat. Ale dlaczego nienawidziła ciebie, Renisenb? Odpowiedz mi na to.

— Czy rzeczywiście mnie nienawidziła? — odparła Renisenb z powątpiewaniem.
— Raz próbowałam się zaprzyjaźnić.

— I ona tego nie chciała? To jasne, że cię nienawidziła, Renisenb.

Esa przerwała, a potem spytała ostro:

— Czy to mogło być z powodu Kameniego?

Twarz Renisenb znowu się zaczerwieniła.

— Kameni? Nie wiem, o czym mówisz.

— Oboje z Kamenim pochodzili z Północy, ale to na ciebie Kameni patrzył na dziedzińcu.

— Muszę iść i dopilnować Teti — powiedziała gwałtownie Renisenb.

Jej wyjściu towarzyszył ostry, ubawiony chichot Esy. Z wypiekami na twarzy Renisenb spieszyła przez dziedziniec w stronę jeziora. Nagle Kameni zawołał do niej z ganku:

— Ułożyłem nową pieśń, Renisenb. Zostań i posłuchaj.

Potrząsnęła głową i szybko odeszła. Serce biło jej gniewnie. Kameni i Nofret. Nofret i Kameni. Dlaczego pozwoliła starej Esie, lubiącej złośliwe żarty, zasiać taki pomysł w swojej głowie? I dlaczego ją to obchodzi? Jakie to w końcu ma znaczenie? Nie dbała wcale o Kameniego, ani trochę. Impertynencki młody człowiek o wesołym głosie i ramionach, które przypominały jej Khaya. Khay... Khay... Powtarzała jego imię z uporem, ale żaden obraz nie zjawiał się przed oczami. Khay był w innym świecie. Był na Polu Ofiarnym...

Na ganku Kameni śpiewał cicho:

— Powiem Ptahowi:”Daj mi moją siostrę dziś w nocy...”

III

— Renisenb!

Hori dwukrotnie powtórzył jej imię, zanim go usłyszała i przestała wpatrywać się w Nil.

— Byłaś pogrążona w myślach, Renisenb. O czym myślałaś?

Renisenb odparła niechętnie:

— Myślałam o Khayu.

Hori patrzył na nią przez chwilę, potem roześmiał się:

— Rozumiem.

Renisenb miała niemiłe uczucie, że rzeczywiście rozumiał! Powiedziała z nagłym pośpiechem:

— Co się dzieje, gdy umieramy? Czy ktoś naprawdę to wie? Wszystkie te teksty napisane na trumnach... Niektóre z nich są takie niejasne, że wydają się nic nie znaczyć. Wiemy, że Ozyrys został zabity i że jego ciało powtórnie się złączyło, że nosi białą koronę i dzięki niemu nie musimy umierać, ale czasem Hori, wszystko wydaje się nierealne i takie zagmatwane...

Hori skinął głową.

— Ale co się naprawdę dzieje po śmierci? Tego właśnie nie wiem.

— Nie potrafię ci powiedzieć, Renisenb. Powinnaś zapytać o to wszystko kapłana.

— Dałby mi jedynie zwykłe odpowiedzi. Ja chcę wiedzieć.

— Nikt z nas nie dowie się tego, zanim sam nie umrze...

Renisenb zadrżała.

— Nie, nie mów tak!

— Coś cię wytrąciło z równowagi, Renisenb?

— To Esa. — Zamilkła na chwilę. — Powiedz mi, Hori, czy... czy Kameni i Nofret do-
brze się znali zanim... tu przyjechali?

Hori stał przez chwilę nieruchomo, potem, idąc u boku Renisenb z powrotem w stronę domu, szepnął:

— Rozumiem, więc to o to chodzi...

— Co chcesz powiedzieć przez „to o to chodzi”? Zadałam ci tylko pytanie.

— Na które nie znam odpowiedzi. Nofret i Kameni znali się na Północy — jak do-
brze, tego nie wiem. Czy to ma znaczenie? — dodał.

— Nie, oczywiście, że nie — odparła Renisenb. — To nie ma żadnego znaczenia.

— Nofret nie żyje.

— Martwa, zmumifikowana i zapłombowana w grobowcu! I na tym koniec!

Hori ciągnął dalej spokojnie:

— A Kameni... nie wygląda na pogrążonego w smutku...

— Nie — powiedziała Renisenb uderzona trafnością tej myśli — to prawda.
— Odwróciła się do niego gwałtownie. — Och Hori, jak... jak ty potrafisz podnieść na
duchu!

Uśmiechnął się.

— Naprawiłem lwa dla małej Renisenb. Teraz... ma inne zabawki.

Renisenb minęła dom.

— Nie chcę jeszcze wracać. Czuję, że nienawidzę ich wszystkich. Och, nie naprawdę. Ale po prostu dlatego, że jestem zła i niecierpliwa i wszyscy są tacy dziwni. Czy nie moglibyśmy pójść na górę do grobowca? Tam jest tak przyjemnie... jest się... jest się ponad wszystkim.

— Masz rację, Renisenb. Ja czuję to samo. Dom, uprawy, pola — to wszystko jest w dole, bez znaczenia. Patrzy się ponad tym wszystkim na rzekę i jeszcze dalej, na cały Egipt. Bo już wkrótce Egipt znów będzie zjednoczony, silny i wielki jak w przeszłości.

Renisenb mruknęła niewyraźnie:

— Och, jakie to ma znaczenie?

Hori uśmiechnął się.

— Nie dla małej Renisenb. Dla niej liczy się tylko jej własny lew.

— Śmiejesz się ze mnie, Hori. Więc to ma znaczenie dla ciebie?

— Dlaczego miałyby mieć? — mruknął Hori. — Dlaczego? Jestem przecież tylko doradcą kapłana ka. Czemu miałyby mnie obchodzić, czy Egipt jest duży czy mały?

— Patrz — Renisenb zwróciła jego uwagę na skałę ponad nimi — Jahmose i Satipy byli na górze przy grobowcu. Teraz schodzą na dół.

— Tak — odparł Hori. — Trzeba było tam sprzątnąć jakieś rzeczy, zwoje płótna, których nie zużyto do mumifikacji. Jahmose mówił, że zabierze Satipy na górę, żeby mu poradziła, co z tym zrobić.

Oboje patrzyli na dwoje ludzi schodzących ścieżką powyżej.

Nagle Renisenb uświadomiła sobie, że tych dwoje zbliża się do miejsca, z którego spadła Nofret. Satipy szła pierwsza. Jahmose trochę z tyłu. Nagle Satipy odwróciła głowę, by powiedzieć coś mężowi. Może, myślała Renisenb, mówiła mu, że to musi być miejsce, gdzie zdarzył się wypadek.

A potem, nagle, Satipy zeszywniała, stała jak sparaliżowana patrząc w tył na ścieżkę. Uniosła ramiona, jakby chciała odparować cios. Krzyknęła coś, potknęła się, zachwiała, a gdy Jahmose skoczył w jej stronę, krzyknęła przerażona i rzuciła się do przodu, głową w dół, na skały poniżej...

Renisenb z ręką na gardle patrzyła z niedowierzaniem na ten upadek. Satipy leżała dokładnie tam, gdzie przedtem spoczywało ciało Nofret. Otrząsnąwszy się, Renisenb pobiegła w jej stronę. Jahmose wołał i biegł w dół.

Pierwsza do ciała swojej bratowej dotarła Renisenb. Pochyliła się nad nim. Oczy Satipy były otwarte, powieki drżały. Jej wargi poruszały się, chciała coś powiedzieć. Renisenb przysunęła się bliżej. Była poruszona szklistym przerażeniem w oczach Satipy.

W końcu umierająca kobieta wydała z siebie chrapliwy dźwięk.

— Nofret...

Głowa Satipy osunęła się w tył. Szczęka opadła. Hori poczekał na Jahmosego i razem podeszli do ciała.

— Co ona zawołała, tam na górze, zanim spadła? — spytała Renisenb brata.

Oddech Jahmosego był urywany, mówił z trudem...

— Spojrzała za mnie... ponad moim ramieniem. — jakby zobaczyła tam kogoś idącego ścieżką, ale tam nikogo nie było... tam nikogo nie było.

Hori przytaknął:

— Nikogo nie było...

Jahmose zniżył głos do niskiego, przerażonego szeptu:

— A potem zawołała...

— Co powiedziała? — Renisenb spytała niecierpliwie.

— Powiedziała... powiedziała... — jego głos drżał — „Nofret”...

Rozdział dwunasty

Pierwszy miesiąc lata — dzień dwunasty

— A więc to miałaś na myśli?

Renisenb rzuciła Horiemu te słowa bardziej jako stwierdzenie niż pytanie. I cicho, z rosnącym zrozumieniem i przerażeniem, dodała:

— To Satipy zabiła Nofret...

Siedząc z brodą podpartą rękami przed małą skalną komnatą Horiego obok grobowca, Renisenb patrzyła na dolinę w dole.

Sennie myślała, jak prawdziwe były jej wczorajsze słowa (czy to rzeczywiście było tak niedawno?). Z góry domy i krzątające się tam w dole postacie nie miały większego znaczenia niż mrowisko.

Tylko słońce majestatyczne, świecące nad głową, tylko wąska wstążka bladossrebrnego Nilu w porannym świetle — tylko to jest wieczne i trwałe.

Khay umarł, Nofret i Satipy też — a pewnego dnia ona i Hori także umrą. Ale Ra ciągle będzie rządził niebiosami i podróżował nocą w swojej barce przez zaświaty aż do brzasku następnego dnia. I rzeka dalej będzie płynąć, płynąć od Elefantyny, w dół koło Teb i wioski do Dolnego Egiptu, gdzie mieszkała kiedyś Nofret i było jej wesoło i lekko na sercu, i dalej do wielkiej wody, coraz dalej od Egiptu.

Satipy i Nofret...

Renisenb ciągnęła swoją myśl głośno, ponieważ Hori jej nie odpowiedział.

— Widzisz, byłam pewna, że Sobek...

— Przedwczesna hipoteza — powiedział zamyślony Hori.

— A jednak to było głupie z mojej strony — mówiła dalej. — Henet powiedziała mi, albo prawie mi powiedziała, że Satipy poszła na spacer w tamtą stronę i że Nofret poszła na górę. Powinam była wiedzieć, to było oczywiste, że Satipy poszła za Nofret, że spotkały się na ścieżce i że Satipy zrzuciła ją w dół. Powiedziała, zaledwie chwilę wcześniej, że jest bardziej mężczyzną niż moi bracia.

Renisenb przerwała i wzdrygnęła się.

— I kiedy ją spotkałam — ciągnęła dalej — powinnam była to wiedzieć. Była zupełnie inna, była wystraszona. Próbowowała mnie przekonać, żebym z nią wróciła. Nie chciała, żebym znalazła ciało Nofret. Musiałam być ślepa, żeby nie odgadnąć prawdy. Ale byłam tak pełna lęku o Sobka...

— Wiem. Bo widziałaś, jak zabił węża.

Renisenb przytaknęła skwapliwie.

— Tak, dlatego. A potem miałam sen... Biedny Sobek, jakże źle go osądziłam. Miałeś rację, wygrażać to nie to samo co zrobić. Sobek ciągle się przechwalał. To Satipy była zawsze odważna i bezwzględna, to ona nie bała się działać. A od tamtej pory chodziła jak duch. Wszystkich nas to dziwiło, dlaczego nie pomyśleliśmy o prawdziwej przyczynie?

Rzuciła szybkie spojrzenie na siedzącego obok mężczyznę i dodała:

— Ale ty wiedziałeś?

— Od jakiegoś czasu — odparł Hori. — Byłem przekonany, że prawda o śmierci Nofret tkwi w niezwykłej zmianie charakteru Satipy. To było tak nadzwyczajne, że musiało istnieć jakieś wyjaśnienie.

— Ale nic nie powiedziałaś?

— Ależ Renisenb, czy mógłbym cokolwiek udowodnić?

— Nie, oczywiście, że nie.

— Dowody muszą być jak twarde cegły w murze faktów.

— Ale raz przecież powiedziałaś — spierała się Renisenb — że ludzie naprawdę się nie zmieniają. A teraz przyznajesz, że Satipy się zmieniła.

Hori uśmiechnął się do niej.

— Powinnaś występować w sądach nomarchy. Nie, Renisenb. To, co mówiłem, było prawdą — ludzie zawsze są sobą. Satipy, jak Sobek, była odważna w słowach. Rzeczywiście mogła przejść od słów do czynów, ale myślę, że jest jedną z tych osób, które nie wiedzą o istnieniu pewnych rzeczy, dopóki im się one nie przytrafiają. Do tamtego dnia nie było w jej życiu lęku. Gdy przyszedł, ogarnął ją niespodziewanie. Dowiedziała się, że odwagą jest stawić czoła nieprzewidzianemu — a ona nie miała tej odwagi.

Renisenb mruknęła zniżonym głosem:

— Kiedy strach przyszedł... Tak, to właśnie działo się z nami od śmierci Nofret. Satipy nosiła go na twarzy, abyśmy wszyscy widzieli. Był tam, wзираł z jej oczu, gdy umierała... gdy powiedziała „Nofret”... Tak jakby zobaczyła... — Renisenb przerwała. Zwróciła twarz ku Horiemu i patrzyła pytająco. — Hori, co ona zobaczyła? Tam na ścieżce. My nic nie widzieliśmy! Nic tam nie było.

— Nic dla nas.

— A dla niej? Zobaczyła Nofret... Nofret przyszła się zemścić. Ale Nofret nie żyje, a jej grobowiec jest zaplombowany. Co więc zobaczyła?

— Obraz, który podsunał jej własny umysł.

— Czy jesteś pewien? Bo jeśli nie...

— Co, Renisenb, jeśli nie?

— Hori — Renisenb wyciągnęła do niego rękę — to już skończone? Teraz, kiedy Satipy nie żyje? Czy to naprawdę skończone?

Trzymał jej dłoń w pokrzepiającym uścisku.

— Tak, tak. Renisenb, na pewno. Przynajmniej ty nie musisz się bać.

Renisenb mruknęła cicho:

— Ale Esa mówi, że Nofret mnie nienawidziła...

— Nofret ciebie nienawidziła?

— Esa tak powiedziała.

— Nofret umiała nienawidzić — przyznał Hori. — Czasem myślę, że nienawidziła każdego w tym domu, Ale ty przynajmniej nic przeciw niej nie zrobiłaś.

— Nie, to prawda.

— I dlatego, Renisenb, nie ma w twoim umyśle nic, co obróciłoby się przeciw tobie w godzinie sądu.

— Uważasz, że gdybym to ja szła tą ścieżką sarna, o zachodzie, o tej samej porze, gdy umarła Nofret, gdybym odwróciła głowę, nic bym nie zobaczyła? Byłabym bezpieczna?

— Będziesz bezpieczna, Renisenb, bo jeśli pójdziesz tą ścieżką, ja pójdę z tobą i nie spotka cię nic złego.

Ale ona skrzywiła się i pokręciła głową.

— Nie Hori, pójdę sama.

— Ale dlaczego, mała Renisenb? Nie będziesz się bała?

— Myślę — odparła Renisenb — że będę się bała. Jednak tak właśnie należy zrobić. Oni wszyscy tam w domu trzęsą się i biegną do świątyni kupować amulety i krzyczą, że nie należy chodzić tą ścieżką po zachodzie słońca. Ale to nie czary sprawiły, że Satipy zachwiała się i spadła. To był strach — strach z powodu złego uczynku. Bo złem jest odebranie życia komuś młodemu i silnemu, cieszącemu się życiem. Ale ja nie zrobiłam nic złego, więc nawet jeśli Nofret mnie nienawidziła, jej nienawiść nie może mnie skrzywdzić. Wierzę w to. A poza tym, jeśli miałoby się żyć w ciągłym strachu, lepiej byłoby umrzeć. Więc pokonam strach.

— To odważne słowa, Renisenb.

— Są pewnie odważniejsze niż moje odczucia, Hori. — Uśmiechnęła się do niego. Podniosła się. — Ale dobrze było móc je powiedzieć.

Hori wstał i stanął obok niej.

— Będę pamiętał twoje słowa, Renisenb. I sposób, w jaki odrzuciłaś głowę do tyłu, gdy je wypowiadałaś. One pokazują odwagę i prawdę, które zawsze wyczuwałem w twoim sercu.

Ujął jej rękę w swoje dłonie.

— Patrz, Renisenb. Spójrz na rzekę i dalej, poza nią. To jest Egipt, nasza ziemia. Rozbity wojnami i długoletnią walką, podzielony na drobne królestwa, ale teraz, już wkrótce zjednoczy się i znowu będzie wielki

— Górny i Dolny Egipt znowu stopione w jedno. Mam nadzieję i wierzę, że odzyska swoją dawną wielkość! A wtedy Egipt będzie potrzebować mężczyzn i kobiet z sercem i odwagą, kobiet takich jak ty, Renisenb. Nie tacy ludzie jak Imhotep, zawsze zajęci swymi małymi zyskami i stratami, ani tacy jak Sobek, leniwi i chełpliwi, ani też chłopcy jak Ipy, którzy myślą tylko o tym, co mogą zyskać dla siebie, nie, nawet nie tacy obowiązkowi, uczciwi synowie jak Jahmose będą potrzebni Egipcjom w tej godzinie. Siedząc tutaj, dosłownie pośród zmarłych, podliczając zyski i straty, robiąc rachunki, dostrzegłem zyski, których nie można uważać za bogactwo, i straty bardziej rujnujące niż utrata zbiorów... Patrzyłem na rzekę i widziałem życiodajną krew Egiptu, która istniała przed nami i będzie istnieć po nas... Życie i śmierć, Renisenb, nie mają tak wielkiego znaczenia. Jestem tylko Horim, doradcą Imhotepa, ale gdy patrzę na Egipt, odczuwam spokój — tak, i triumf, którego nie zamieniłbym na stanowisko rządcy prowincji. Czy w ogóle rozumiesz, o co mi chodzi, Renisenb?

— Chyba tak, Hori, trochę. Jesteś inny niż oni wszyscy tam na dole, wiem to od dawna. I czasem, gdy jestem tu z tobą, czuję to co ty, ale niewyraźnie, nie bardzo jasno. Ale wiem, co masz na myśli. Gdy jestem tutaj, rzeczy tam — wskazała na dół — wydają się nie mieć już znaczenia. Kłótnie i nienawiści, nieustanny zgiełk i krzątanina. Tutaj ucieka się od tego wszystkiego.

Przerwała marszcząc brwi, a potem mówiła dalej, jękając się trochę.

— Czasem jestem... jestem zadowolona, że mogę uciec. A jednak... nie wiem... jest coś, tam w dole, co wzywa mnie z powrotem.

Hori puścił jej rękę i cofnął się o krok. Powiedział łagodnie:

— Tak, rozumiem, Kameni śpiewający na dziedzińcu.

— Co chcesz powiedzieć, Hori? Nie myślałam o Kamenim.

— Może o nim nie myślałaś. Ale mimo to, Renisenb, sądzę, że to jego pieśń słyszysz, choć o tym nie wiesz.

Renisenb znów zmarszczyła brwi.

— Mówisz dziwne rzeczy, Hori. Nie mogłabym usłyszeć jego pieśni tutaj na górze. To za daleko.

Hori westchnął lekko i potrząsnął głową. Rozbawienie w jego oczach zadziwiło ją. Była trochę zła i zakłopotana, bo nie rozumiała.

Rozdział trzynasty

Pierwszy miesiąc lata dzień dwudziesty trzeci

I

— Czy mogę pomówić z tobą chwilę, Eso?

Esa spojrzała ostro na Henet, która stała w drzwiach pokoju z przymilnym uśmiechem na ustach.

— O co chodzi? — spytała ostro stara kobieta.

— To naprawdę nic takiego, tak przynajmniej przypuszczam, ale pomyślałam, że powinnam zapytać...

— Więc wejdź, wejdź — przerwała jej Esa. — A ty — laską postukała po ramieniu małą czarną niewolnicę nawlekającą koraliki — idź do kuchni. Przynieś mi oliwki i sok z granatów.

Dziewczynka wybiegła i Esa niecierpliwie skinęła na Henet.

— Chodzi o to, Eso.

Esa spojrzała na przedmiot, który pokazywała jej Henet. Było to małe pudełko na klejnoty z zasuwany wieczkiem, przymocowany dwoma gałkami.

— No i co w związku z tym?

— To jest jej. I znalazłam to teraz w jej pokoju.

— O kim ty mówisz? O Satipy?

— Nie, nie, Eso. O tej drugiej.

— Masz na myśli Nofret? I co z tego?

— Wszystkie jej klejnoty i pachnidła, wszystko zostało pochowane razem z nią.

Esa pociągnęła za sznureczek przy gałkach i otworzyła pudełko. Był tam sznur krwawnikowych koralików i połowa zielonego lśniącego amuletu.

— Ach — powiedziała Esa — nie ma tu wiele. Pewnie to przeoczono.

— Kapłani wszystko zabrali.

— Kapłani nie są ani trochę solidniejsi niż inni ludzie. Zapomnieli o tym.

— Mówię ci Eso, tego nie było w pokoju, kiedy tam ostatnio zaglądałam.

Esa spojrzała ostro na Henet.

— Co próbujesz wymyślić? Że Nofret wróciła z zaświatów i jest tu w domu? Nie jesteś przecież głupia, Henet, chociaż czasem lubisz udawać, że tak jest. Jaką masz przyjemność w opowiadaniu tych głupich historii o czarach?

Henet potrząsała złowrogo głową.

— Wszyscy wiemy, co się stało z Satipy... i dlaczego!

— Może wiemy — powiedziała Esa — a może ktoś z nas wiedział to wcześniej! No, Henet? Zawsze miałam wrażenie, że wiedziałas więcej o śmierci Nofret niż my wszyscy...

— Och, Eso, z pewnością nie myślisz ani przez chwilę...

Esa przerwała jej krótko.

— Czego nie myślę? Nie boję się myśleć, Henet. Widziałam Satipy skradającą się po domu przez ostatnie dwa miesiące i wyglądającą na śmiertelnie przerażoną. I przyszło mi do głowy, że ktoś mógł wiele o niej wiedzieć i być może straszyć, że powie Jahmosemu lub samemu Imhotepowi...

Henet wybuchnęła piskliwym lamentem protestów i okrzyków. Esa zamknęła oczy i wygodnie rozparła się w krześle.

— Ani przez chwilę nie przypuszczam, abys kiedykolwiek przyznała się do zrobienia takiej rzeczy. Nie oczekuję tego od ciebie.

— Dlaczego miałabym to zrobić? Pytam cię, dlaczego?

— Nie mam najmniejszego pojęcia — odparła Esa. — Robisz wiele rzeczy, Henet, dla których nigdy nie mogłam znaleźć zadowalającego wytłumaczenia.

— Przypuszczam, że myślisz, że próbowałam ją zmusić do zapłacenia mi za milczenie. Przysięgam na dziewięciu bogów Enneady...

— Nie mieszaj w to bogów. Nie przeczę, że jesteś uczciwa, Henet. I możliwe, że nic nie wiedziałas o tym, jak umarła Nofret. Ale wiesz o większości rzeczy dziejących się w tym domu. I gdybym ja miała składać jakieś przysięgi, przysięgłabym, że to ty podłożyłaś to pudełko w pokoju Nofret, chociaż nie potrafię sobie wyobrazić po co. Ale jest w tym jakaś przyczyna... Możesz oszukać Imhotepa, ale nie oszukasz mnie. I nie skamlaj! Jestem starą kobietą i nie mogę tego znieść. Idź i skamlaj przed Imhotepem. On zdej się to lubi, chociaż jeden Ra wie dlaczego!

— Zaniosę pudełko Imhotepowi i powiem mu...

— Sama dam mu pudełko. Odejdź, Henet, i przestań rozpowiadać te głupie zaboronne historie. Dom jest dużo spokojniejszy bez Satipy. Martwa Nofret zrobiła dla nas więcej niż żywa. Ale teraz, kiedy dług został spłacony, niech każdy wróci do swoich codziennych zajęć.

II

— Co to wszystko znaczy? — zapytał Imhotep wchodząc hałaśliwie do pokoju Esy kilka minut później. — Henet jest bardzo poruszona. Przyszła do mnie ze łzami spływającymi po twarzy. Dlaczego nikt w tym domu nie może okazać tej oddanej kobiecie najzwyczajszej uprzejmości...

Esa, niewzruszona, zachichotała. Imhotep mówił dalej:

— Oskarżyłaś ją, jak rozumiem, o kradzież pudełka, pudełka z klejnotami.

— Czy to ci powiedziała? Nic takiego nie zrobiłam. Tu jest pudełko. Zostało, zdaje się, znalezione w pokoju Nofret.

Imhotep wziął je od niej.

— Ach tak, dałem jej to. — Otworzył pudełko. — Hm, nic tu prawie nie ma. Kapłani zapomnieli zabrali to z innymi rzeczami osobistymi. Biorąc pod uwagę sumy, jakich Ipi i Montu zażądali, można by przynajmniej spodziewać się więcej staranności. Cóż, to wszystko wygląda na wielkie zamieszanie o nic...

— Właśnie.

— Dam to pudełko Kait... nie, Renisenb. Zawsze była uprzejma dla Nofret. — Westchnął. — Jakże trudno człowiekowi żyć w spokoju. Te kobiety — bezustanne płacze, albo kłótnie i sprzeczki.

— No, cóż, Imhotepie, teraz jest przynajmniej o jedną kobietę mniej!

— Tak, rzeczywiście. Mój biedny Jahmose! Jednak, Eso, czuję, że to może wyjść na dobre. Satipy urodziła zdrowe dzieci, to prawda, ale była pod wieloma względami złą żoną. Jahmose, oczywiście, za bardzo jej ulegał. Tak, wszystko to już za nami. Muszę przyznać, że jestem bardzo zadowolony z zachowania Jahmosego w ostatnim czasie. Wydaje się o wiele bardziej polegać na sobie, jest mniej nieśmiały i jego decyzje w kilku sprawach były znakomite, naprawdę znakomite...

— Był zawsze dobrym, posłusznym chłopcem.

— Tak, tak, ale trochę zbyt powolnym i obawiał się odpowiedzialności.

— Odpowiedzialność to rzecz, na którą nigdy mu nie pozwalałeś! — stwierdziła sucho Esa.

— Wszystko to teraz się zmieni. Przygotowuję dokument przypuszczenia go do spółki. Będzie podpisany za kilka dni. Dopuszczam do spółki wszystkich trzech synów.

— Z pewnością nie Ipy?

— Czułby się skrzywdzony, gdybym go wykluczył. To dobry, serdeczny młodzieniec.

— On z pewnością nie jest powolny — zauważyła Esa.

— Właśnie. I Sobek także. Byłem z niego dawniej niezadowolony, ale naprawdę

ostatnio bardzo się zmienił. Nie marnuje już czasu i bardziej ulega decyzjom moim i Jahmosego.

— To naprawdę hymn pochwalny — powiedziała Esa. — Cóż, Imhotepie, muszę powiedzieć, że uważam, że słusznie postępujesz. Złą polityką było wywoływanie niezadowolonia synów. Ale nadal myślę, że Ipy jest na to za młody. To śmieszne dawać chłopcu w jego wieku takie stanowisko. Jaką będziesz miał nad nim kontrolę?

— Może masz rację, rzeczywiście — Imhotep zamyślił się. Po chwili przerwał milczenie i wstał. — Muszę iść. Trzeba dopilnować tysiąca rzeczy. Są już kapłani... trzeba zorganizować wszystko do pogrzebu Satipy. Śmierć jest kosztowna, bardzo kosztowna. I obydwie umarły tak szybko jedna po drugiej!

— Cóż — pocieszyła go Esa — miejmy nadzieję, że to ostatnia śmierć... aż przyjdzie mój czas!

— Mam nadzieję, że będziesz jeszcze żyła wiele lat, droga matko.

— Z pewnością masz taką nadzieję — uśmiechnęła się Esa. — Ale żadnego oszczędzania na mnie, bądź łaskaw! To by nie wyglądało dobrze. Będę potrzebowała nielicznego ekwipunku, aby umiał mi pobyt na tamtym świecie. Dużo jedzenia i picia i mnóstwo figur niewolników, bogato zdobiona szachownica, komplet perfum i kosmetyków, i domagam się najdroższych naczyń kanopskich — alabastrowych.

— Tak, tak, oczywiście. — Imhotep niecierpliwie przestąpił z jednej nogi na drugą. — Naturalnie wszystko zostanie zrobione z najwyższą troską, gdy przyjdzie ten smutny dzień. Muszę wyznać, że zupełnie inaczej czuję się w wypadku Satipy. Nikt nie chce skandalu, ale naprawdę, w tych okolicznościach... — Imhotep nie dokończył zdania i wyszedł pośpiesznie.

Esa uśmiechnęła się uświadamiając sobie, że ta ostatnia fraza: „w tych okolicznościach” to wszystko, na co stać było Imhotepa, gdy chodzi o przyznanie, że wypadek nie w pełni odpowiadał jego wersji śmierci konkubiny.

Rozdział czternasty

Pierwszy miesiąc lata — dzień dwudziesty piąty

I

Z chwilą powrotu całej rodziny z sądu nomarchy, gdzie potwierdzono akt powstania spółki, zapanowała wesołość. Wyjątkiem niewątpliwie był Ipy, który w ostatnim momencie został wyłączony z udziału w spółce z powodu bardzo młodego wieku. Był więc nadęty i specjalnie opuścił dom.

Imhotep, w świetnym nastroju, kazał przynieść dzban wina na ganek.

— Pij, mój synu — poklepał Jahmosego po ramieniu — zapomnij na chwilę o swoim smutku. Myślmy tylko o dobrych dniach, które nadejdą.

Imhotep, Jahmose, Sobek i Hori wypili toast. Potem doniesiono, że został skradziony wół i wszyscy czterej pospieszyli, aby zbadać sprawę.

Gdy Jahmose godzinę później wrócił na dziedziniec, był zmęczony i zgrzany. Podszedł do dzbana z winem, który ciągle jeszcze stał na ganku. Zanurzył w nim dzbanuszek z brązu i usiadł na ganku, powoli popijając wino. Chwilę później nadszedł Sobek i zawołał wesoło:

— Ha, teraz trochę wina! Wypijmy za naszą przyszłość, która w końcu została zapewniona. Niewątpliwie to radosny dzień dla nas, Jahmose!

— Tak, rzeczywiście — zgodził się Jahmose. — To ułatwi życie.

— Zawsze jesteś taki umiarkowany w uczuciach, Jahmose.

Sobek roześmiał się i zanurzył kubek w winie, wypił je duszkiem, mlasnął wargami i odstawił kubek.

— Zobaczmy teraz, czy ojciec będzie jak kołek w płocie, jak zawsze, czy też uda mi się przekonać go do nowoczesnych metod.

— Gdybym był tobą, działałbym powoli — radził Jahmose. — Zawsze jesteś w gorącej wodzie kąpany.

Sobek uśmiechnął się do brata z sympatią. Był w bardzo dobrym humorze.

— Wolno i pewnie, jak zwykle — odparł drwiąco.

Jahmose uśmiechnął się, wcale nie speszony.
— To w ostateczności najlepszy sposób. Poza tym, ojciec był dla nas bardzo dobry. Nie możemy zrobić niczego, co by go zmartwiło.
Sobek spojrzał na niego zdziwiony.
— Ty rzeczywiście lubisz ojca. Jesteś kochającą istotą, Jahmose. Ja nie dbam o nikogo, oczywiście oprócz Sobka, który niech żyje sto lat!
Pociągnął kolejny łyk wina.
— Uważaj — ostrzegł Jahmose — mało dziś jadłeś, Czasem, kiedy się pije za dużo wina...
Przerwał wykrzywiając nagle wargi.
— Co się dzieje, Jahmose?
— Nic, nagły ból... ja... to nic...
Podniósł rękę, aby otrzeć czoło, które nagle pokryło się kroplami potu.
— Nie wyglądasz dobrze.
— Przed chwilą czułem się całkiem dobrze.
— Chyba ktoś zatrzał to wino — Sobek roześmiał się z własnych słów i wyciągnął rękę w stronę dzbana. W tej właśnie chwili jego ramię zeszywniało, ciało pochyliło się w nagłym paroksyzmie agonii...
— Jahmose — szepnął bez tchu — Jahmose... ja także...
Jahmose, zgięty w pół, osunął się na ziemię. Wydał z siebie na wpół stłumiony okrzyk.
— Pomocy! Poślijcie po lekarza... lekarza... — wołał Sobek wykrzywiony bólem.
Henet wybiegła z domu.
— Kto wołał? Co mówiłeś? Co się dzieje?
Jej okrzyki sprowadziły innych.
Obaj bracia jęczeli z bólu.
Jahmose powiedział słabo:
— Wino... trucizna... poślijcie po lekarza...
Henet wydała piskliwy okrzyk:
— Nowe nieszczęście. Doprawdy, ten dom jest przeklęty. Szybko! Spieszcie się! Poślijcie do świątyni po czcigodnego ojca Mersu. On jest doświadczonym lekarzem.

II

Imhotep chodził tam i z powrotem po głównej sali. Jego piękna lniana szata była poplamiona i zmięta, nie wykapał się ani nie przebrał. Jego twarz ściągnięta była strachem i niepokojem.

Z tyłu domu dochodziły stłumione łkania i lamenty — wsparcie kobiet w obliczu katastrofy, która dotknęła dom. Opłakiwaniem przewodziła Henet. Z bocznego pokoju dobiegał głos lekarza — kapłana Mersu borykającego się z bezwładnym ciałem Jahmosego. Renisenb, wymknąwszy się cicho z pokoju kobiet do głównej sali, podążyła za głosem. Nogi poniosły ją do otwartych drzwi. Zatrzymała się tam, czując uzdrawiającą moc dźwięcznych słów, które recytował kapłan.

„Izydo, wielka czarodziejko, nie gub mnie, uwolnij mnie od wszelkich złych rzeczy, czerwonych i szkaradnych, od ciosu boga, od ciosu bogini, od zmarłej kobiety i zmarłego mężczyzny, od wroga mężczyzny lub kobiety, którzy mogą stanąć przeciw mnie...”

Z ust Jahmosego dobyło się słabe westchnienie.

Renisenb w sercu dołączyła się do modlitwy:

„Izydo, wielka Izydo, uratuj go, uratuj mego brata Jahmosego. Potrafisz czynić wielkie czary...”

Pomieszane myśli, wzbudzone słowami zaklęcia, przepływały jej przez głowę.

„Od wszelkich rzeczy złych, czerwonych i szkaradnych... To właśnie działo się z nami tutaj w tym domu — tak, czerwone, gniewne myśli. Gniew zmarłej kobiety.”

Zwracała się w myślach do Nofret:

„To nie Jahmose cię skrzywdził. Chociaż Satipy była jego żoną, nie możesz czynić go odpowiedzialnym za jej czyny. Nigdy nie miał nad nią żadnej władzy, nikt nie miał. Satipy, która cię skrzywdziła, nie żyje. Czy to nie wystarczy? Sobek nie żyje — Sobek, który tylko mówił przeciw tobie, ale nigdy naprawdę cię nie skrzywdził. Och Izydo, nie pozwól, żeby Jahmose także umarł — ocal go od mściwej nienawiści Nofret.”

Krążący szaleńczo Imhotep podniósł wzrok, ujrzał córkę i jego twarz złagodniała pod wpływem uczucia.

— Podejdź tu Renisenb, drogie dziecko.

Podbiegła do niego i objął ją ramionami.

— Ojczy, co oni mówią?

Imhotep odparł ciężko:

— Mówią, że w przypadku Jahmosego jest nadzieja. Sobek... wiesz...

— Tak, tak. Nie słyszałeś naszego płaczu?

— Umarł o świcie — powiedział Imhotep — Sobek, mój silny, piękny syn... — Jego głos zadrżał i załamał się.

— To okrutne, podłe. Czy nic nie można było zrobić?

— Zrobiono wszystko, co się dało. Napoje wymiotne. Soki z silnych ziół. Święte amulety i potężne zaklęcia. Mersu jest doświadczonym lekarzem. Jeśli on nie mógł uleczyć mojego syna, oznacza to, że wolą bogów było, aby nie został uratowany.

Głos kapłana-lekarza wzniósł się w ostatniej pieśni. Po chwili wyszedł z komnaty ocierając pot z czoła.

— Jakże? — Imhotep zagadnął niecierpliwie.

Lekarz odparł poważnie:

— Z łaski Izydy twój syn będzie żył. Jest słaby, ale kryzys minął. Złe oddziaływanie niknie. To szczęście — ciągnął trochę swobodniejszym tonem — że Jahmose wypił znacznie mniej wina. Pił małymi łyżkami, podczas gdy twój syn Sobek pił duszkiem.

Imhotep jęknął.

— Tym właśnie się różnili. Jahmose był nieśmiały i powolny w każdej sprawie. Nawet w jedzeniu i piciu. Sobek, zawsze nieumiarkowany, szczodry, hojny — niestety! — nieostrożny.

Potem dodał ostro:

— I wino było z pewnością zatrute?

— Nie ma co do tego wątpliwości, Imhotepie. Moi młodzi asystenci zbadali resztkę. Wszystkie zwierzęta, którym podano to wino, prędzej czy później padły.

— A jednak ja, mimo że piłem to samo wino niecałą godzinę wcześniej, nie odczuwam żadnych złych skutków.

— Bez wątpienia wtedy jeszcze nie było zatrute. Truciznę dodano później.

Imhotep uderzył pięścią w otwartą dłoń.

— Nikt — stwierdził — nie ośmieliłby się otruć mi synów pod moim dachem! To niemożliwe. Żadna żyjąca osoba!

Mersu pochylił lekko głowę. Jego twarz stała się nieprzenikniona.

— W tym wypadku, Imhotepie, ty jesteś najlepszym sędzią.

Imhotep stał drapiąc się nerwowo za uchem.

— Jest historia, którą chciałbym ci opowiedzieć — rzekł nerwowo. Klasnął w rękę, a gdy przybiegł służący, rozkazał: — Przyprowadź tu pastucha. — Odwrócił się do Mersu i wyjaśnił: — To jest chłopak, który nie ma zbyt wiele rozumu. Z trudem pojmuje, co ludzie do niego mówią, i nie jest w pełni władz umysłowych. Mimo to ma dobry wzrok i ponadto jest oddany mojemu synowi Jahmosemu, który był dla niego dobry, łagodny i wyrozumiały dla jego ułomności.

Służący wrócił, ciągnąc za rękę szczupłego, prawie czarnoskórego chłopca ubranego w przepaskę na biodrach, lekko zezowatego, z wystraszoną, bezrozumną twarzą.

— Mów — powiedział ostro Imhotep. — Powtórz to, co właśnie mi powiedziałeś.

Chłopiec zwiesił głowę, zaczął miętosić palcami brzeg płótna na biodrach.

— Mów — krzyknął Imhotep.

Kuśtykając nadeszła Esa, oparta na lasce, i patrzyła zamglonymi oczami.

— Straszysz to dziecko. Masz, Renisenb, daj mu cukierka. No, chłopcze, powiedz nam, co widziałeś.

Chłopiec wpatrywał się to w jedno, to w drugie z nich.

Esa odpowiedziała:

— To było wczoraj, gdy mijales wrota na dziedziniec Zobaczyles... co zobaczyles?
Chłopiec potrząsnął głową, rozglądając się na boki. Mruknął:
— Gdzie mój pan Jahmose?
Kapłan przemówił z powagą i łagodnością:
— Życzeniem twojego pana, Jahmosego, jest, byś powiedział nam swoją historię. Nie obawiaj się. Nikt cię nic skrzywdzi.
Twarz chłopca rozjaśniła się.
— Mój pan Jahmose był dla mnie dobry. Zrobię, jak sobie życzy.
Przerwał. Imhotep już miał się wtrącić, ale powstrzymało go spojrzenie lekarza.
Nagle chłopiec zaczął mówić, nerwowo, bełkotliwie, rozglądając się na boki, jakby obawiał się, że ktoś niewidzialny mógłby go podsłuchać.
— To był mały osiołek, ochraniający przez Seta i zawsze sprawiający kłopoty. Pobieglem za nim z kijem. Minął wielkie wrota dziedzińca, a ja spojrzałem przez bramę na dom. Na ganku nie było nikogo, ale stała tam stągiew z winem. A potem kobieta, pani z tego domu, przyszła z domu na ganek. Podeszła do dzbana z winem i uniosła nad nim ręce, a potem — potem wróciła do domu, jak sądzę. Nie wiem. Usłyszałem kroki, odwróciłem się i zobaczyłem w oddali mojego pana Jahmosego wracającego z pola. Poszedłem więc dalej szukać osiołka, a mój pan Jahmose wszedł na dziedziniec.
— I nic ostrzegłeś go — krzyknął Imhotep gniewnie — nic nie powiedziałeś!
— Nie wiedziałem — krzyknął chłopiec — że to było coś złego. Widziałem tylko panią, która stała tam i uśmiechała się rozpościerając ręce nad dzbanem wina... Nic nie widziałem...
— Kim była ta pani, chłopcze? — spytał kapłan.
Chłopiec potrząsnął głową bezmyślnie.
— Nie wiem. Musiała być jedną z pań tego domu. Nie znam ich. Pilnuję stad na drugim końcu plantacji. Była w sukni z farbowanego lnu.
Rensennar drgnęła.
— Może służąca? — zasugerował kapłan obserwując chłopca.
Chłopiec zdecydowanie potrząsnął głową.
— To nie była służąca... Miała na głowie perukę i nosiła klejnoty. Służące nie noszą klejnotów.
— Klejnoty? — spytał Imhotep. — Jakie klejnoty?
Chłopiec odpowiedział gorliwie i utnie, jakby przezwyciężył w końcu strach i był zupełnie pewny tego, co mówi.
— Trzy sznury koralu ze złotymi lwami zwisającymi z przodu...
Laska Esy uderzyła w podłogę. Imhotep wydał stłumiony okrzyk.
Mersu powiedział groźnie:
— Jeśli kłamiesz, chłopcze...

— To prawda. Przysięgam, że to prawda — głos chłopca stał się piskliwy.
Z sąsiedniej komnaty, gdzie leżał chory, odezwał się słaby głos Jahmosego:
— Co się dzieje?
Chłopiec popędził przez otwarte drzwi i kucnął przy jego łożu.
— Panie, oni będą mnie torturować.
— Nie, nie — Jahmose odwrócił z trudem głowę na rzeźbionym, drewnianym zagłówku. — Nie pozwólcie skrzywdzić tego dziecka. Jest prosty, ale uczciwy. Obiecacie mi.
— Oczywiście, oczywiście — powiedział Imhotep — nie ma potrzeby. To jasne, że chłopak powiedział to, co wie, i nie sądzę, żeby zmyślał. Odejdź już chłopcze, ale nie wracaj do stada. Zostań blisko domu, żebyśmy mogli cię wezwać w razie potrzeby.
Chłopiec podniósł się z kolan. Z ociąganiem spojrzął na Jahmosego.
— Jesteś chory, panie.
Jahmose uśmiechnął się słabo.
— Nie obawiaj się. Nie umrę. Idź teraz i bądź posłuszny rozkazom.
Chłopiec wyszedł, uśmiechając się radośnie. Kapłan zbadał oczy i puls chorego i, zalecając mu sen, wyszedł z innymi do głównej sali.
— Czy rozpoznajesz, kogo opisał chłopak? — spytał Imhotepa.
Imhotep skinął głową. Jego mocno brązowe policzki zsiniały.
Rensenb powiedziała:
— Tylko Nofret nosiła farbowane suknie. To była nowa moda, którą przywiozła tu z Północy. Ale te suknie są pochowane razem z nią.
— I trzy sznury koralu ze złotymi głowami lwów — dodał Imhotep — które jej dałem. Nie ma drugiej takiej ozdoby w tym domu. Była kosztowna i niespotykana. Cała jej biżuteria, z wyjątkiem tandetnego sznurka krwawników, została pochowana razem z nią i leży w zaplombowanym grobowcu. — Rozłożył ramiona. — Cóż to za kara, jaka mściwość! Moja konkubina, którą dobrze traktowałem, której okazywałem cały szacunek, którą pochowałem z wszelkim rytuałem, nie szczędząc kosztów. Jadłem i piłem z nią w przyjaźni, wszyscy mogą to zaświadczyć. Nie miała na co narzekać, naprawdę zrobiłem dla niej więcej, niż to jest przyjęte i stosowne. Byłem gotów faworyzować ją kosztem moich rodzonych synów. Dlaczego więc miałaby wracać tu po śmierci i przesładować mnie i moją rodzinę?
— Wygląda na to — powiedział poważnie Mersu — że tobie osobiście zmarła źle nie życzy. Twoje wino było dobre. Kto w twojej rodzinie wyrządził jej krzywdę?
— Kobieta, która nie żyje — odparł Imhotep krótko.
— Rozumiem. Masz na myśli żonę twojego syna Jahmosego?
— Tak. — Imhotep przerwał, a potem wybuchnął: — Ale co można zrobić, czcigodny ojcze? Jak możemy przeciwdziałać tej złośliwości? Och, zły to był dzień, w którym przywiozłem tę kobietę do mego domu.

— Zły dzień, w rzeczy samej — powiedziała głębokim głosem Kait, wychodząc z pokoju kobiet. Jej oczy ciężkie były od łez, a na jej brzydkiej twarzy widać było siłę i zdecydowanie. Jej głos, głęboki i chrapliwy, drżał z gniewu. — Zły to był dzień, gdy przywiozłeś tu Nofret, Imhotepie, aby zniszczyć najbystrzejszego i najprzystojniejszego z twoich synów! Przyniosła śmierć Satipy i mojemu Sobkowi, a Jahmose ledwie jej umknął. Kto będzie następny? Czy oszczędzi nasze dzieci — ona, która uderzyła moją małą Ankh? Trzeba coś zrobić, Imhotepie!

— Trzeba coś zrobić — powtórzył Imhotep, patrząc badawczo na kapłana.

Ten ostatni skinął głową ze spokojną zarozumiałością.

— Jest wiele sposobów i środków, Imhotepie. Z chwilą, gdy upewnimy się co do faktów, możemy działać. Mam na myśli twoją zmarłą żonę, Ashayet. Była kobietą z wpływowej rodziny. Może wywołać potężne moce w Krainie Zmarłych, mogące interweniować w twojej sprawie. Ta kobieta Nofret ich nie zna. Musimy się wspólnie naradzić.

Kait zaśmiała się krótko.

— Nie zwlekajcie zbyt długo. Mężczyźni są zawsze tacy sami. Nawet kapłani! Wszystko musi być zrobione zgodnie z prawem i pierwszeństwem. Ale powiadam wam, działajcie szybko — w przeciwnym razie będzie więcej śmierci pod tym dachem.

Odwróciła się i wyszła.

— Wspaniała kobieta — mruknął Imhotep. — Oddana matka, obowiązkowa żona, ale jej maniery są czasem nie takie, jakie powinny być w stosunku do głowy domu. Oczywiście w takiej chwili wybaczam jej. Wszyscy jesteśmy oszołomieni. Prawie nie wiemy, co robimy.

Objął głowę dłońmi.

— Niektórzy z nas w ogóle rzadko wiedzą, co robią — zauważyła Esa.

Imhotep rzucił jej gniewne spojrzenie. Lekarz przygotowywał się do odejścia i Imhotep wyszedł z nim na ganek, odbierając polecenia odnośnie do opieki nad chorym.

Renisenb spojrzała pytająco na babkę.

Esa siedziała nieruchomo. Ściągnęła brwi, a wyraz jej twarzy był tak dziwny, że Renisenb zapytała nieśmiało:

— O czym myślisz, babciu?

— Myślę to odpowiednie słowo, Renisenb. Takie dziwne rzeczy dzieją się w tym domu, że ktoś koniecznie musi zacząć myśleć.

— To wszystko okropne — wzdrygnęła się Renisenb.

— Przeraza mnie to.

— Mnie także przeraza — powiedziała Esa — ale może nie z tego samego powodu. Starym, znajomym gestem przesunęła perukę na bok głowy.

— Jahmose nie umrze — westchnęła Renisenb. — Będzie żył.

Esa przytaknęła.

— Tak, wielbny lekarz przybył na czas. Następnym razem, jednakże, może nie mieć tyle szczęścia.

— Myślisz... że będą następne takie wydarzenia?

— Myślę, że Jahmose i ty, i Ipy, a może także Kait powinniście bardzo uważać, co je-
cie i pijecie. Dopilnuj, żeby niewolnik zawsze najpierw kosztował potraw.

— A ty, babciu?

Esa uśmiechnęła się sardonicznie.

— Ja, Renisenb, jestem starą kobietą i kocham życie tylko tak, jak może je kochać sta-
rzec: smakując każdą godzinę, każdą minutę, która mi została. Z was wszystkich mam
największe szansę przeżyć, ponieważ będę ostrożniejsza niż każdy z was.

— A ojciec? Z pewnością Nofret nie życzyłaby źle mojemu ojcu?

— Twój ojciec? Nie wiem... Nie, nie wiem. Nie widzę tego jeszcze jasno. Jutro, gdy
już to wszystko przemyślę, muszę powiedzieć jeszcze raz z pastuchem. Było coś w tej hi-
storii...

Zmarszczyła brwi. Potem, z westchnieniem podniosła się i podpierając się laską po-
kuśtykała powoli do swoich pokoi.

Renisenb poszła do pokoju brata. Spał, więc wymknęła się cicho. Po chwili wahania
poszła do pokoju Kait. Stała w wejściu niezauważona, patrząc, jak Kait śpiewa dzieciom
na dobranoc. Twarz Kait była znowu spokojna i łagodna. Wyglądała tak zwyczajnie, że
Renisenb przez chwilę czuła, jakby wszystkie straszne wydarzenia ostatniego dnia były
tylko snem. Odwróciła się powoli i poszła do siebie. Na stole, pośród jej własnych pude-
łek z kosmetykami i słoiczków, znalazła kasetkę na klejnoty należącą do Nofret.

Renisenb podniosła ją i stała patrząc na przedmiot leżący na jej dłoni. Nofret jej do-
tykała, trzymała ją, to była jej własność.

I znów ogarnęła ją fala litości, połączona z tym dziwnym uczuciem zrozumienia.
Nofret była nieszczęśliwa. Gdy trzymała to pudełeczko w dłoni, być może specjalnie
przemieniła to cierpienie w złośliwość i nienawiść... i nawet teraz ta nienawiść nie sła-
bła... nadal szukała zemsty... Och nie, z pewnością nie... na pewno nie!

Prawie mechanicznie Renisenb przekręciła dwie gałki i odsunęła wieczko. W środku
były krwawnikowe koraliki, złamany amulet i coś jeszcze...

Z gwałtownie bijącym sercem Renisenb wyciągnęła naszyjnik z koralików ze złoty-
mi lwami z przodu...

Rozdział piętnasty

Pierwszy miesiąc lata — dzień trzydziesty

I

Odkrycie naszyjnika bardzo przstraszyło Renisenb.

Pod wpływem impulsu odłożyła go z powrotem do pudełka, zasunęła wieczko, związała sznurek wokół gałek. Instynkt mówił jej, aby ukryć znalezisko. Spojrzała nawet z przestachem za siebie, żeby upewnić się, czy nikt nie podpatrzył, co robiła.

W nocy nie spała, przewracała się niespokojnie. Nad ranem zdecydowała, że musi się komuś zwierzyć. Nie mogła samotnie znieść ciężaru tego niepokojącego odkrycia. Dwukrotnie w ciągu nocy zrywała się, zastanawiając się, czy czasami nie dostrzeże postaci Nofret stojącej groźnie u jej łoża. Niczego jednak nie zauważyła.

Wyjawszy naszyjnik z lwami z pudełka, ukryła go w fałdach sukni. W chwilę później wpadła Henet. Jej oczy błyszczały z radości, że może zakomunikować świeże nowiny.

— Wyobraź sobie tylko, Renisenb, czy to nie straszne? Ten chłopak — wiesz, pastuch — mocno spał dzisiaj rano przy workach z ziarnem, wszyscy nim potrząsali i krzyčili mu do ucha, a teraz wygląda na to, że się już nigdy nie obudzi. Zupełnie jakby się napił wywaru z maku. A może tak było? Ale jeśli tak, to kto mu go dał? Nikt stąd, to pewne. I chyba nie zrobił tego sam. Mogliśmy wczoraj przewidzieć, że tak się stanie. — Ręka Henet powędrowała do jednego z wielu amuletów, które nosiła na szyi. — Niech Amon ochrania nas przed złymi duchami zmarłych! Chłopak powiedział, że ją widział. Więc Ona przyszła i dała mu wywar z maku, żeby na zawsze zamknąć mu oczy. Och, Ona jest bardzo silna, ta Nofret! Była za granicą, poza Egiptem. Przysięgłabym, że znała magię z innych krajów. Nie jesteśmy bezpieczni w tym domu, nikt z nas nie jest bezpieczny. Twój ojciec powinien dać kilka byków w ofierze Amonowi, całe stado, jeśli będzie trzeba, to nie czas na oszczędzanie. Musimy się chronić. Musimy wezwać na pomoc twoją matkę — to właśnie ma zamiar zrobić Imhotep. Kapłan Mersu tak mówi. I uroczysty List do Zmarłych. Hori właśnie go pisze. Twój ojciec był za listem przebłagalnym do

Nofret. Wiesz: „Najczcigodniejsza Nofret, co ci złego zrobiłem kiedykolwiek...” i tak dalej. Ale czcigodny ojciec Mersu zwrócił uwagę, że należy przedsięwziąć poważniejsze środki niż to. Twoja matka, Ashayet, była wielką damą. Brat jej matki był nomarchą, a jej brat Najwyższym Lokajem Wezyra Teb. Gdy się ją o tym powiadomi, dopilnuje, aby zwykła konkubina nie ośmieliła się szkodzić jej własnym dzieciom! O tak, ona uczyni sprawiedliwość. Hori pisze teraz do niej prośbę.

Renisenb miała zamiar odnaleźć Horiego i powiedzieć o znalezieniu naszyjnika z lwami. Ale jeśli Hori był zajęty z kapłanami w świątyni Izydy, nie miała nadziei na spotkanie z nim sam na sam.

Czy powinna pójść do ojca? Zniechęcona potrząsnęła głową. Znikła jej dawna dziecienna wiara we wszechwładzę ojca. Uświadomiła sobie teraz, jak szybko w obliczu kryzysu tracił głowę. Nie był silny tylko pompatyczny. Gdyby Jahmose nie był chory, powiedziałaaby jemu, chociaż wątpiła, czy mógłby dać jej jakąś praktyczną radę. Nalegałby prawdopodobnie na pozostawienie całej sprawy Imhotepowi, A tego, Renisenb czuł to coraz wyraźniej, należało uniknąć za wszelką cenę. Imhotep od razu rozgłosiłby to całemu światu, a instynkt podpowiadał Renisenb, że znalezisko należy zachować w tajemnicy, chociaż nie potrafiła właściwie powiedzieć, z jakiego powodu.

Nie, potrzebowała rady Horiego. On, jak zawsze, wiedziałby, co zrobić. Wzięłby od niej naszyjnik, a razem z nim zmartwienie i niepokój. Spojrzałby na nią swoim poważnym, mądrym wzrokiem i natychmiast poczułaby, że wszystko będzie dobrze...

Przez chwilę miała pokusę, aby zwierzyć się Kait, ale bratowa nie była odpowiednią osobą, nigdy nie słuchała naleyście. Może gdyby oderwać ją od dzieci... nie, to by nic nie dało. Kait była miła, ale głupia.

„Jest jeszcze Kameni — pomyślała Renisenb — i moja babcia.”

Kameni...? Było coś przyjemnego w myśli, że mogłaby powiedzieć Kameniemu. Całkiem wyraźnie wyobraziła sobie jego twarz, wyraz wesołego wyzwania, zmieniający się w zainteresowanie, w niepokój o nią... A może nie o nią?

Skąd to zdradliwe podejrzenie, że Nofret i Kameni byli w większej przyjaźni, niż to się wydawało? Ponieważ Kameni pomógł Nofret w jej walce o oderwanie Imhotepa od rodziny? Twierdził, że nie mógł się przeciwstawić. Ale czy to prawda? Łatwo było tak powiedzieć. Wszystko, co Kameni mówił, brzmiało prosto, naturalnie i prawdziwie. Jego śmiech był tak wesoły, że chciało się śmiać razem z nim. Jak wdzięcznie kołysało się jego ciało, gdy szedł. Jak odwracał głowę osadzoną na gładkich, brązowych ramionach... Jak patrzył na nią... Renisenb, zmieszana, urwała tę myśl. Oczy Kameniego nie były takie jak oczy Horiego, bezpieczne i dobre. One żądały, rzucały wyzwanie.

Pod wpływem tych myśli krew napłynęła na policzki Renisenb, i zabłysnęły jej oczy. Ale postanowiła, że nie powie Kameniemu o znalezieniu naszyjnika Nofret. Nie, pój-

dzie do Esy. Esa wywarła na niej wczoraj duże wrażenie. Choć była taka stara, wszystko rozumiała i posiadała zmysł praktyczny, którego nie miał nikt inny w rodzinie.

„Jest stara — pomyślała Renisenb — ale będzie wiedziała.”

II

Na pierwszą wzmiankę o naszyjniku Esa rozejrzała się szybko dokoła, położyła palec na ustach i wyciągnęła rękę. Renisenb niezdarnie poszperała w fałdach sukni, wyciągnęła naszyjnik i położyła na dłoni Esy. Ta trzymała go przez chwilę tuż przed zamgłonymi oczyma, a potem ukryła w sukni.

— A teraz ani słowa — powiedziała niskim, rozkazującym tonem. — W tym domu są setki uszu. Prawie całą noc leżałam i myślałam. Jest wiele do zrobienia.

— Ojciec i Hori poszli do świątyni Izydy naradzić się z kapłanem Mersu w sprawie listu do mojej matki z prośbą o jej pomoc.

— Wiem. Cóż, niech twój ojciec zajmuje się duchami zmarłych. Moje myśli skupione są na sprawach tego świata. Kiedy Hori wróci, przyprowadź go do mnie. Trzeba omówić pewne sprawy. Horiemu mogę zaufać.

— Hori będzie wiedział, co zrobić — przyznała Renisenb radośnie.

Esa spojrzała na nią zdziwiona.

— Często widzisz się z nim przy grobowcu, prawda? O czym rozmawiacie?

Renisenb nieznacznie potrząsnęła głową.

— Och, o rzece... i Egipcie... i o tym, jak zmienia się światło i barwa piasku na skałach poniżej... Ale często wcale nie rozmawiamy. Siedzę tam po prostu w spokoju, z dala od kłótni, krzyków dzieci i pośpiesznej krzątaniny. Mogę snuć moje własne myśli i Hori ich nie przerywa. A czasami, kiedy podnoszę wzrok, spostrzegam, że patrzy na mnie i oboje się uśmiechamy... Jestem tam szczęśliwa.

— Masz szczęście, Renisenb — powiedziała powoli Esa. — Odnalazłaś szczęście, które każdy nosi w swoim sercu. Dla większości kobiet szczęście to krzątanie się, zajmowanie drobnymi sprawami. To opieka nad dziećmi i śmiech, i rozmowa, i kłótnie z innymi kobietami i złość lub miłość do mężczyzny. Jest, jak koraliki nanizane na sznurek, złożone z wielu drobnych rzeczy.

— Czy takie było twoje życie, babciu?

— Większość. Ale teraz, gdy jestem stara i często siedzę samotnie, a mój wzrok jest zamglony i chodzę z trudnością, teraz rozumiem, że oprócz życia na zewnątrz jest życie wewnętrzne. Jestem jednak za stara, aby poznać je naprawdę, więc rugam moją małą niewolnicę, delektuję się dobrym jedzeniem z kuchni i smakiem różnych rodza-

jów chleba, dojrzałych winogron i soku z granatów. Wszystko przemija, tylko to pozostaje. Dzieci, które kochałam najmocniej, nie żyją. Twój ojciec, niech mu Ra dopomóż, zawsze był głupcem. Kochałam go, gdy był małym brzdącem, ale teraz mnie denerwuje swoją nadętą pozą. Z wszystkich moich wnuków kocham tylko ciebie, Renisenb. A mówiąc o wnukach, gdzie jest Ipy? Nie widziałam go dzisiaj ani wczoraj.

— Jest bardzo zajęty nadzorowaniem magazynowania ziarna. Ojciec mu to zlecił.

Esa uśmiechnęła się szeroko.

— To ucieszy naszego młodego gąsiora. Będzie chodził dumnie jak paw, nadęty własną godnością. Kiedy wróci na posiłek, powiedz mu, żeby do mnie przyszedł.

— Tak, Eso.

— Jeśli chodzi o resztę, Renisenb, trzymaj język za zębami.

III

— Chciałaś mnie widzieć, babciu?

Ipy uśmiechał się arogancko, przekrzywiając lekko na bok głowę, w białych zębach trzymał różę. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie i z życia w ogóle.

— Jeśli możesz poświęcić mi trochę swego cennego czasu — powiedziała Esa mierząc go wzrokiem spod zmrużonych powiek.

Cierpkość jej tonu nie zrobiła na nim wrażenia.

— To prawda, że jestem dzisiaj bardzo zajęty. Muszę wszystkiego dopilnować, ponieważ ojciec poszedł do świątyni.

— Młode psy głośno szczekają — stwierdziła Esa.

Ale Ipy był całkiem spokojny.

— No, babciu, chyba masz mi coś więcej do powiedzenia niż tylko to.

— Oczywiście, że mam więcej do powiedzenia. Po pierwsze: to jest dom żałoby. Sobek jest już w rękach kapłanów. A twoja twarz jest wesoła, jakby to było święto.

Ipy uśmiechnął się szeroko.

— Nie jesteś hipokrytką, Eso. Czy chciałabyś, żebym ja nim był? Wiesz bardzo dobrze, że nie żywiliśmy do siebie miłości. Robił wszystko, żeby złościć mnie i psuć mi szyki. Traktował mnie jak dziecko. Dawał mi wszystkie najbardziej upokarzające i dziecinne zadania w polu. Często wyśmiewał się ze mnie. A kiedy ojciec chciał mnie wziąć do spółki razem ze starszymi braćmi, właśnie Sobek mu to wyperswadował.

— Dlaczego sądzisz, że to był Sobek? — spytała Esa ostro.

— Kameni mi powiedział.

— Kameni? — Esa uniosła brwi, przesunęła perukę na bok i podrapała się w głowę.

— Kameni, w rzeczy samej. To ciekawe.

— Kameni powiedział, że wie to od Henet, a wiadomo, że Henet wie wszystko.

— Mimo to — odparła Esa sucho — tym razem Henet się myliła. Bez wątpienia tak Sobek, jak i Jahmose byli zdania, że jesteś za młody do interesów, ale to ja, tak, to ja odwiodłam twego ojca od włączenia ciebie do spółki.

— Ty, babciu? — chłopiec patrzył na nią ze szczerym zdziwieniem. Potem jego twarz przybrała gniewny wyraz, a kwiat wypadł mu z ust. — Dlaczego to zrobiłaś? Jaki miałaś w tym interes?

— Interes mojej rodziny jest również moim interesem.

— I ojciec cię posłuchał?

— Nie od razu — odparła sucho — ale dam ci nauczkę, moje piękne dziecko. Kobiety działają okrężną drogą. I szybko uczą się — jeśli nie wiedzą tego sam z siebie — jak zagrać na słabości mężczyzn. Pamiętasz pewnie, że posłałam Henet z planszą do gry na ganek w pewien wieczór.

— Pamiętam. Grałem razem z ojcem. I co z tego?

— A to. Rozegraliście trzy partie. I za każdym razem pokonałeś ojca, ponieważ jesteś o wiele sprytniejszym graczem.

— Tak.

— To wszystko — powiedziała Esa przymykając oczy. — Twój ojciec, jak każdy słaby gracz, nie lubi przegrywać, szczególnie, gdy pokonuje go dziecko. Więc przypomniał sobie moje słowa i zdecydował, że z pewnością jesteś za młody, aby otrzymać udział w spółce.

Ipy wpatrywał się w nią przez chwilę. Potem roześmiał się, niezbyt przyjemnie.

— Jesteś sprytna, Eso — rzekł. — Może jesteś stara, ale sprytna. Z pewnością tylko ty i ja mamy rozum w tej całej rodzinie. Tym razem wygrałaś. Ale zobaczysz, następnym razem wygram ja. Więc pilnuj się, babciu.

— Taki mam zamiar — odparła Esa. — A w zamian za te słowa pozwól dać sobie radę: i ty się pilnuj. Jeden z twoich braci nie żyje, drugi był bliski śmierci. Ty także jesteś synem swego ojca... i może spotkać cię ten sam los.

— Nie ma się czego obawiać — roześmiał się pogardliwie Ipy.

— Dlaczego nie? Ty także straszyles i obraziyles Nofret.

— Nofret! — szyderstwo Ipy było całkiem wyraźne.

— Co ci chodzi po głowie? — spytała ostro Esa.

— Mam swoje pomysły. I mogę cię zapewnić, babciu, że nie martwią mnie Nofret i jej sztuczki. Niech robi, co chce.

Z tyłu rozległ się piskliwy lament i do pokoju wbiegła Henet krzycząc:

— Głupi chłopak! Nieostrożne dziecko! Lekceważyć Zmarłą! Po tym, jak wszyscy zaskosztowaliśmy jej mocy. I nie masz nawet amuletu dla ochrony!

— Dla ochrony? Potrafię sam się ochronić. Zejdź mi z drogi, Henet. Mam robotę. Ci leniwi chłopcy poznają, co to znaczy mieć prawdziwego pana nad sobą.

Odpychając na bok Henet wyszedł z pokoju. Esa ucięła lamentsy i skamlenie Henet.

— Przestań jęczeć i posłuchaj mnie, Henet. Może Ipy wie, co robi, a może nie wie. Zachowuje się bardzo dziwnie. Mnie interesuje co innego: czy powiedziałaś Kameniemu, że to Sobek przekonał Imhotepa, żeby wykluczył Ipy z udziału w spółce?

Henet znów zaniósła się swoim zwykłym lamentem.

— Jestem zbyt zajęta w domu, żeby marnować czas na bieganie i rozprowadanie różnych rzeczy, a już szczególnie Kameniemu. Na pewno nigdy bym z nim nie rozmawiała, gdyby on nie przyszedł i sam nie rozpoczął rozmowy. Jest bardzo miły, sama musisz przyznać, Eso — i nie jestem jedyną, która tak uważa. O, nie! A jeśli młoda wdowa chce zawrzeć nowy kontrakt, cóż, zwykle podoba jej się młody, przystojny mężczyzna. Chociaż nie wiem, co na to powie Imhotep. Kameni jest tylko młodszym skrybą.

— Nieważne czym jest, a czym nie jest Kameni! Czy powiedziałaś mu, że to Sobek sprzeciwiał się, aby Ipy został współnikiem?

— Ależ doprawdy, Eso, nie mogę pamiętać wszystkiego, co mówiłam, a czego nie mówiłam. Oczywiście nie poszłam i nikomu nic nie mówiłam, to pewne. Ale mogłam z kimś zamienić słowo tu czy tam, a sama wiesz, że Sobek mówił, i Jahmose także, chociaż nie tak głośno i nie tak często — że Ipy jest zaledwie chłopcem i że to nie zda egzaminu. Z tego co wiem, Kameni mógł sam usłyszeć, jak to mówili, wcale nie ode mnie. Nigdy nie plotkuję, ale od tego mamy język, żeby mówić, a ja nie jestem głuchoniema.

— O nie, z całą pewnością nie jesteś — odparła Esa — a język, Henet, może czasem stać się bronią. Język może spowodować śmierć — może spowodować więcej niż jedną śmierć. Mam nadzieję, że twój język, Henet, nie spowodował niczyjej śmierci.

— Eso, dlaczego mówisz takie rzeczy! Co masz na myśli? Jestem pewna, że nigdy nie powiedziałam nikomu tego, o czym nie mogłby wiedzieć cały świat. Jestem taka oddana całej rodzinie — oddałabym życie za każdego z was. Och, nie docenicie oddania starej Henet. Obiecałam ich drogiej matce...

— Ha — przerwała jej Esa — jest i mój tłściutki trzciniak, przyrządzony z porami i selerem. Pachnie wybornie, przyprawiony w sam raz. Ponieważ jesteś tak oddana, możesz skosztować tego z jednej strony — na wszelki wypadek. Może być zatruty.

— Eso! — zaskowyczała Henet — zatruty? Jak możesz tak mówić! Przyrządzony w naszej własnej kuchni!

— Cóż — odparła Esa — ktoś musi tego skosztować... na wszelki wypadek. I najlepiej, jeśli to będziesz ty, Henet, skoro tak pragniesz umierać za każdego członka rodziny. Nie sądzę, żeby to była bolesna śmierć. No, Henet. Zobacz, jaki jest tłściutki, soczysty i smakowity. Nic, dziękuję, nie chcę stracić mojej małej niewolnicy. Jest młoda i wesoła. Ty już masz za sobą najlepsze lata, Henet, i nie miałoby wielkiego znaczenia, co się z tobą stanie. A teraz otwórz usta... Wyśmienite, prawda? Widzę, że jesteś zielona na twarzy. Nie podoba ci się mój mały żart? Ha, ha, ha.

Esa zaniósła się śmiechem, a gdy się uspokoiła, przystąpiła żarłocznie do jedzenia swojej ulubionej potrawy.

Rozdział szesnasty

Drugi miesiąc lata — dzień pierwszy

Zakończono naradę w świątyni. Ułożono i poprawiono petycję. Hori i dwóch pisarzy ze świątyni byli bardzo zajęci. Teraz wreszcie podjęto pierwszy krok.

Kapłan nakazał odczytanie szkicu petycji.

Do Najdostojniejszego Ducha Ashayet. Od twego brata i męża. Czy siostra zapomniała o swoim bracie? Czy najdostojniejsza Ashayet wie, że duch złego żywota zagrała jej dzieciom? Już Sobek, jej syn, odszedł do Ozyrysa za sprawą trucizny.

Traktowałem cię za życia z wszelkim szacunkiem. Dawałem ci klejnoty i suknie, olejki i perfumy dla twego ciała. Razem spożywaliśmy smaczne potrawy siedząc w pokoju i przyjaźni przy nakrytych dla nas stołach. Gdy byłaś chora, zapewniłem ci najlepszego lekarza. Zostałaś pochowana z szacunkiem i ceremoniałem i dałem ci wszystkie rzeczy potrzebne w życiu na tamtym świecie: służbę, woły, pokarm, napoje, klejnoty i szaty. Oplakiwałem cię długo i dopiero po wielu, wielu latach wziąłem konkubinę, abym mógł korzystać z życia jako mężczyzna jeszcze nie stary.

Ta konkubina wyrządza teraz zło twoim dzieciom. Czy o tym nie wiesz? Być może jesteś tego nieświadoma.

Z pewnością, jeśli Ashayet się dowie, pośpieszy na pomoc synom z niej zrodzonym.

Czy może Ashayet wie, ale zło dzieje się nadal, ponieważ zła, magiczna moc konkubiny jest silniejsza? Na pewno jednak jest to przeciwne twojej woli, Ashayet. Dlatego przypomnij sobie, że w Królestwie Ofiar masz potężnych krewnych i przyjaciół. Wielkiego i szlachetnego Ipiego, Najwyższego Lokaja Wezyra. Wezwij jego pomocy! Także brata twojej matki, wielkiego i potężnego Meriptaha, nomarchę prowincji. Zapoznaj go z haniebną prawdą. Niech zostanie zanesiona przed jego sąd. Niech będą zawezwani świadkowie. Niech zostanie wydany wyrok i niech Nofret zostanie skazana i niech będzie jej zabronione czynienie zła temu domowi.

O, wspaniała Ashayet, jeśli gniewasz się na twego brata Imhotepa za to, że posłuchał podłych perswazji tej kobiety i straszył, że uczyni niesprawiedliwość twoim dzieciom, tedy zważ, że nie on sam jeden cierpi, ale także one. Dla dobra dzieci przebacź bratu Imhotepowi, cokolwiek uczynił...

Główny pisarz skończył czytać. Mersu skinął głową z aprobatą.

— Dobrze wyrażone. Myślę, że niczego nie pominięto.

Imhotep wstał.

— Dziękuję ci, czcigodny ojciec. Moje dary zostaną ci przesłane przed jutrzejszym zachodem słońca: bydło, olej i len. Czy możemy wyznaczyć dzień ceremonii umieszczenia czary w komnacie ofiarnej grobowca?

— Niech to będzie za trzy dni od dzisiaj. Na czarze musi być wyryta inskrypcja. Trzeba też przygotować wszystko do obrzędów.

— Jak sobie życzysz. Zależy mi na tym, żeby nie stało się już żadne nieszczęście.

— Dobrze rozumiem twój niepokój, Imhotepie. Ale nie obawiaj się. Dobry duch Ashayet z pewnością odpowie na twoją prośbę, a jej krewni mają poważanie, władzę i mogą przywrócić sprawiedliwość.

— Niechaj Izyda sprawi, aby tak się stało! Dziękuję ci, Mersu, także za twoją troskę i leczenie mojego syna Jahmosego. Chodź, Hori, musimy doglądnąć wielu rzeczy. Wracajmy do domu. Ach, ta petycja naprawdę zdjęła mi kamień z serca. Znakomita Ashayet nie zawiedzie swego nieszczęsnego brata.

Gdy Hori wszedł na dziedziniec niosąc zwoje papirusu, Renisenb już go szukała. Przybiegła znad jeziora.

— Hori!

— Tak, Renisenb?

— Czy pójdziesz ze mną do Esy? Ona czeka na ciebie.

— Oczywiście. Zobaczę tylko, czy Imhotep...

Ale Imhotepa zatrzymał Ipy i zagłębili się w rozmowie.

— Odłożę tylko te zwoje i inne rzeczy i już z tobą idę, Renisenb.

Esa wyglądała na zadowoloną, gdy Renisenb przyprowadziła Horięgo.

— Oto Hori, babciu. Znalazłam go od razu.

— Dobrze. Czy miło jest dzisiaj na dworze?

— Tak, myślę, że tak. — Renisenb była lekko zdziwiona.

— Daj mi więc laskę. Pospacerujemy trochę po dziedzińcu.

Esa rzadko opuszczała dom, więc Renisenb była nieco zaskoczona. Poprowadziła starszkę pod ramię. Minęli główną salę i wyszli na ganek.

— Czy usiądziesz tu, babciu?

— Nie, dziecko. Pójdziemy aż do jeziora.

Esa posuwała się powoli, ale chociaż utykała, trzymała się mocno na nogach i nie okazywała zmęczenia. Rozejrzawszy się, wybrała miejsce ocienione sykomorą, obok kwiatnych klombów. Gdy już się usadowiła, odezwała się z ponurym zadowoleniem:

— Tak! Teraz możemy rozmawiać i nikt nie będzie podsłuchiwać.

— Jesteś mądra, Eso — powiedział Hori z aprobatą.

— To co powiem, musi pozostać tylko między nami. Ufam ci, Hori. Jesteś z nami od dzieciństwa. Zawsze byłeś wierny, dyskretny i mądry. A Renisenb jest mi najdroższa z wszystkich dzieci mojego syna. Jej nie może stać się żadna krzywda, Hori.

— Nic jej się nie stanie, Eso.

Hori nie podniósł głosu, ale jego ton i spojrzenie bardzo uradowały starszkę.

— Dobrze powiedziane, Hori, spokojnie i bez uniesienia, a jednak czuje się, że wiesz, co mówisz. Teraz powiedz mi, co dzisiaj postanowiono?

Hori zrelacjonował pisanie petycji i jej treść. Esa słuchała uważnie.

— A teraz, Hori, spójrz na to — wyjęła z sukni naszyjnik z lwami. — Powiedz mu, Renisenb, gdzie go znalazłaś.

Renisenb spełniła życzenie babki.

— No, Hori, cóż o tym sądzisz? — spytała Esa.

Hori milczał przez chwilę, po czym zapytał:

— Jesteś stara i mądra, Eso. Co ty o tym myślisz?

— Nie należysz do tych, którzy wypowiadają nierozważne słowa, nie poparte faktami — odparła Esa. — Od początku wiedziałeś, jak zginęła Nofret, prawda?

— Podejrzywałem prawdę, Eso. Ale to tylko podejrzenia.

— Właśnie. Teraz też mamy tylko podejrzenia. Ale tutaj, nad jeziorem, między nami trojgiem, te podejrzenia mogą zostać wypowiedziane — potem można do nich nie wracać. Wydaje mi się, że są trzy wytłumaczenia tragedii, które nas spotkały. Pierwsze jest takie, że pastuch mówił prawdę i osoba, którą widział, rzeczywiście była duchem Nofret, który powrócił ze świata zmarłych i postanowił zemścić się, powodując smutek i żałobę w naszej rodzinie. Tak być może — kapłani i nie tylko oni powiadają, że to możliwe, a wiemy przecież, że złe duchy powodują choroby. Ale mnie, starej kobiecie, nie bardzo skłonnej wierzyć we wszystko, co mówią kapłani, wydaje się, że są inne możliwości.

— Jakie? — spytał Hori.

— Przyjmijmy, że Nofret została zabita przez Satipy, że jakiś czas potem, w tym samym miejscu wyrzuty sumienia spowodowały, że Satipy wyobraziła sobie, że stoi za nią Nofret, i że przestraszyła się i spadła. Później ktoś, z przyczyn, których jeszcze nie znamy, chciał pozbyć się obu synów Imhotepa. Ktoś liczył na zabobonny strach przypisujący ten czyn duchowi Nofret — co jest bardzo wygodnym założeniem.

— Kto chciałby zabić Jahmosego i Sobka? — zawołała Renisenb.

— Nie służący — odparła Esa — nie śmieliby. To czyni wybór bardzo ograniczonym.

— Ktoś z nas? Ale babciu, to nie może być!

— Spytaj Horiego — powiedziała Esa sucho. — Zauważyłaś, że nie protestuje.

Renisenb odwróciła głowę.

— Hori, na pewno...

Hori potrząsnął poważnie głową.

— Renisenb, jesteś młoda i ufna. Myślisz, że każdy, kogo znasz i kochasz, jest dokładnie taki, jakim chcesz go widzieć. Nie znasz ludzkich serc i gorczy, i zła, które w nich mieszka.

— Ale kto... które z nich...?

— Wróćmy do opowieści pastucha — wtrąciła się energicznie Esa. — Widział kobietę w sukni z farbowanego lnu i naszyjniku Nofret. Jeśli nie był to duch, wtedy widział dokładnie to, co powiedział, co oznacza, że widział kobietę, która specjalnie próbowała wyglądać jak Nofret. Mogła to być Kait, mogła to być Henet — mogłaś to być ty, Renisenb! Z tej odległości mógł to być każdy ubrany w suknię i perukę. Cicho, pozwól mi mówić. Inna możliwość jest taka, że chłopak kłamał. Opowiedział historię, której go nauczono. Słuchał rozkazów kogoś, kto miał prawo mu rozkazywać, a mógł być tak tępy, żeby nie zdawać sobie sprawy z celu, dla którego został przekupiony lub nakłoniony pochlebstwami. Nigdy się tego nie dowiemy, ponieważ chłopak nie żyje — co samo w sobie jest godne uwagi. To skłania mnie do przypuszczenia, że chłopak opowiadał wyuczoną historyjkę. Mocno przyciśnięty, co by pewnie dzisiaj nastąpiło, mógłby się pogubić. Przy odrobinie cierpliwości bardzo łatwo odkryć, czy dziecko kłamie.

— Myślisz więc, że mamy pośród nas truciciela? — spytał Hori.

— Tak — odparła Esa — a ty?

— Ja też tak myślę.

Renisenb patrzyła z przerażeniem to na jedno, to na drugie.

— Ale motyw wydaje mi się bardzo niejasny — ciągnął Hori.

— Zgadzam się. Dlatego jestem niespokojna. Nie wiem, kto następny jest zagrożony.

— Ale ktoś z nas? — wtrąciła się Renisenb. W jej głosie ciągle brzmiało niedowierzanie.

Esa powiedziała twardo:

— Tak, Renisenb, jedno z nas. Henet, Kait lub Ipy, lub Kameni, albo sam Imhotep, albo Esa, Hori, może nawet — uśmiechnęła się — Renisenb.

— Masz rację, Eso — powiedział Hori. — Musimy brać pod uwagę także nas samych.

— Ale dlaczego? — Renisenb była zdziwiona i przerażona zarazem. — Dlaczego?

— Gdybyśmy to wiedzieli, wiedzielibyśmy właściwie wszystko, co powinniśmy — odparła Esa. — Jedynym śladem jest wybór ofiary. Pamiętajcie, że Sobek przyłączył się do Jahmosego niespodziewanie, kiedy Jahmose zaczął już pić. Jest więc pewne, że ktokolwiek chciał zabić Jahmosego, niekoniecznie chciał także zabić Sobka.

— Ale kto chciałby zabić Jahmosego? — Renisenb spytała sceptycznie. — Z nas wszystkich z pewnością tylko Jahmose nie miał wrogów. Był zawsze spokojny i dobry.

— Dlatego też to jasne, że motywem nie była czysto osobista nienawiść — powiedział Hori. — Jak mówi Renisenb, Jahmose nie jest typem człowieka, który robi sobie wrogów.

— Nie — odrzekła Esa. — Motyw jest bardziej niejasny. Mamy tu do czynienia albo z wrogością wobec całej rodziny, albo za tym wszystkim kryje się chciwość, przed którą ostrzegają nas maksymy Ptahotepa. Powiada on, że chciwość to toból wszelkiego zła i torba wszelkiego, co godne jest kary!

— Domyślam się, w jakim kierunku zmiierzają twoje myśli, Eso — powiedział Hori. — Ale aby dojść do jakiegokolwiek wniosku, będziemy musieli postarać się przewidzieć przyszłość.

Esa skinęła głową energicznie, a jej duża peruka zsunęła się na ucho. Chociaż wyglądało to bardzo zabawnie, nikt nie był skłonny do śmiechu.

— Spróbuj przepowiedzieć przyszłość, Hori — poprosiła.

Hori milczał przez chwilę zamyślony. Obie kobiety czekały. W końcu rzekł:

— Gdyby Jahmose umarł, tak jak planowano, głównymi beneficjentami byłiby pozostali synowie Imhotepa: Sobek i Ipy. Część majątku Imhotepa zostałaby z pewnością przeznaczona dla dzieci Jahmosego, ale byłby on administrowany przez jego braci — głównie przez Sobka. Sobek bez wątpienia zyskałby najwięcej. Pełniłby funkcję kapłana ka w czasie nieobecności Imhotepa i odziedziczyłby ją po śmierci ojca. Ale chociaż najwięcej zyskałby Sobek, nie może być on winny, ponieważ sam z ochotą wypił zatrute wino i umarł. Dlatego też, jak sądzę, przez śmierć tych dwóch skorzysta tylko jedna osoba (w tej chwili, oczywiście) i tą osobą jest Ipy.

— Zgadza się — stwierdziła Esa. — Jesteś dalekowzroczny, Hori, to mi się podoba. Ale zastanówmy się nad Ipy. Jest młody i niecierpliwy, ma, pod wieloma względami, złe skłonności, w jego wieku spełnienie pragnień wydaje się najważniejszą rzeczą w życiu. Czuł złość i urazę do starszych braci i uważał, że został niesprawiedliwie wykluczony z udziału w spółce rodzinnej. Zdaje się także, że Kameni powiedział mu niemądre rzeczy...

— Kameni?

To Renisenb przerwała. Natychmiast zresztą zarumieniła się. Hori odwrócił głowę, aby na nią spojrzeć. Jego długie, łagodne, badawcze spojrzenie trochę ją zraniło. Esa wyciągnęła szyję i wpatrywała się w dziewczynę.

— Tak — odparła — Kameni. I nie ma znaczenia, czy za namową Henet czy nie. Pozostaje faktem, że Ipy jest arogancki i ambitny, czuł urazę do swych braci, pragnął ich władzy i z pewnością uważa siebie, jak to mi dawno powiedział, za najmądrzejszą osobę w całej rodzinie.

Głos Esy brzmiał sucho.

— Powiedział to tobie? — spytał Hori.

— Był tak uprzejmy, że i mi przyznał posiadanie pewnego stopnia inteligencji.

— Czy myślisz, że Ipy z premedytacją otruł Jahmosego i Sobka? — spytała z niedowierzaniem Renisenb.

— Rozważam taką możliwość, nic więcej. Mówimy o podejrzeniach — nie mamy jeszcze żadnych dowodów. Ludzie zabijali swoich braci od początku świata, a choć wiedzą, że bogowie tego nie lubią, popychała ich jednak do zabójstwa chciwość i nienawiść. I jeśli Ipy to zrobił, nie będzie nam łatwo to udowodnić, ponieważ Ipy, muszę przyznać, jest bystry.

Hori skinął głową.

— Ale, tak jak mówisz, to tylko podejrzenia. Zastanowimy się teraz nad każdym członkiem rodziny w świetle podejrzeń. Jak powiedziałam, wykluczam służbę, ponieważ nie wierzę ani przez chwilę, że ktokolwiek z nich odważyłby się zrobić coś podobnego. Ale nie wykluczam Henet

— Henet? — krzyknęła Renisenb. — Ale Henet jest oddana nam wszystkim. Nigdy nie przestaje o tym mówić.

— Równie łatwo mówić kłamstwa, jak i prawdę. Znam Henet od wielu lat. Znałam ją, gdy przybyła tu z twoją matką jako młoda kobieta. Była jej krewną, biedną i nieszczęśliwą. Jej mąż nie dbał o nią — a faktycznie była zawsze brzydka — i rozwiódł się z nią. Jedyne jej dziecko umarło w niemowlęctwie. Przybyła tu twierdząc, że jest oddana twojej matce, ale ja widziałam jej oczy, gdy obserwowała twoją matkę krzątającą się po domu i dziedzińcu — i mówię ci, Renisenb, nie było w nich miłości. Nie, kwaśna zazdrość to znacznie trafniejsze określenie. A co do jej deklaracji miłości do was wszystkich, nie ufam im.

— Powiedz mi, Renisenb — odezwał się Hori — czy czujesz sympatię do Henet?

— Nie — odparła Renisenb niechętnie. — Nie mogę. Często wyrzucałam sobie, że jej nie lubię.

— Jak myślisz, może to dlatego, że jej słowa są fałszywe? Czy kiedykolwiek pokazała swoją rzekomą miłość do ciebie oddając ci jakąś rzeczywistą przysługę? Czy nie wzniecała niezgody między wami wszystkimi, szepcząc i powtarzając rzeczy, które mogły ranić i wywołać gniew?

— Tak... tak, to prawda. Esa zachichotała sucho.

— Masz uszy i oczy otwarte, najprześwietniejszy Hori.

Renisenb sprzeciwiła się:

— Ale ojciec wierzy jej i ją lubi.

— Mój syn jest głupcem i zawsze nim był — odparła Esa. — Wszyscy mężczyźni lubią pochlebstwa, a Henet stosuje je tak hojnie, jak rozdaje się maści na uczcie! Może ona rzeczywiście jest mu oddana — czasem myślę, że tak jest — ale z pewnością nikomu więcej w tym domu.

— Ale na pewno nie mogłaby... nie zabiłaby — protestowała Renisenb. — Dlaczego miałyby otruć któreś z nas? Co by jej to dało?

— Nic. Nic. A dlaczego? Nie wiem, co dzieje się w głowie Henet. Co myśli, co czuje — nie wiem. Ale wydaje mi się czasem, że dziwne rzeczy kryją się za tą uniżoną, płaszczącą się pozą. A jeśli tak, to jej powody są takie, że ani ty, ani ja, ani Hori nie zrozumielibyśmy ich.

Hori skinął głową.

— Jest zgnilizna, która zaczyna się w samym wnętrzu. Mówiłem o tym kiedyś Renisenb.

— I nie rozumiałam cię — dodała Renisenb. — Ale teraz zaczynam lepiej rozumieć. Zaczęło się od przybycia Nofret — zobaczyłam, że nikt z nas nie był taki, jak zawsze uważałam. To mnie przerażało... A teraz — bezradnie rozłożyła ręce — wszystko jest strachem...

— Strach to tylko niepełna wiedza — powiedział Hori. — Gdy będziesz wiedzieć, Renisenb, nie będziesz się bała.

— No i jest oczywiście Kait — snuła swój wątek Esa.

— Nie Kait — zaprotestowała Renisenb. — Kait nie próbowałaby zabić Sobka. To niewiarygodne.

— Nic nie jest niewiarygodne — odparła Esa. — Tego przynajmniej nauczyłam się w życiu. Kait jest kompletnie głupia, a nigdy nie ufałam głupim kobietom. Dostrzegają tylko swoje najbliższe otoczenie i tylko jedną rzecz na raz. Kait żyje zamknięta w małym światku, który tworzy ona sama i dzieci i Sobek jako ojciec dzieci. Mogło jej po prostu przyjść do głowy, że usunięcie Jahmosego wzbogaci jej dzieci. Sobek nigdy nie spełniał oczekiwań Imhotepa: był nierozważny, niecierpliwy i nieodpowiedzialny. Imhotep polegał na Jahmosem. Ale gdyby zabrakło Jahmosego, Imhotep musiałyby oprzeć się na Sobku. Mogłaby po prostu tak to widzieć.

Renisenb zadrżała. Niestety, taki właśnie był prawdziwy stosunek Kait do życia. Jej łagodność, czułość, spokojny, kochający sposób bycia zawsze skierowany był ku jej własnym dzieciom. Poza nią, dziećmi i Sobkiem nie istniał dla niej świat. Patrzyła nań bez ciekawości i bez zainteresowania.

Renisenb powiedziała powoli:

— Ale na pewno zdawała sobie sprawę, że Sobek może wrócić, tak jak się też stało, i spragniony wypije wino.

— Nie — powiedziała Esa. — Nie sądzę, żeby tak było. Kait, jak powiedziałam, jest głupia. Widziałyby tylko to, co chciałyby zobaczyć: Jahmosego, który pije i umiera, a cała sprawa zostaje przypisana magicznej interwencji naszej złej i pięknej Nofret. Dostrzegłaby tylko jedną prostą rzecz, a nie różne możliwości czy prawdopodobieństwa, a ponieważ nie chciała, żeby Sobek umarł, nie przyszłoby jej nawet do głowy, że mógłby nieoczekiwanie wrócić.

— A tymczasem Sobek umarł, a Jahmose żyje! Jakie to musi być dla niej straszne, jeśli to, co mówisz, jest prawdą.

— Takie rzeczy zdarzają się ludziom głupim — stwierdziła Esa — wszystko dzieje się dokładnie inaczej, niż to planują. — Po krótkim milczeniu rzekła: — Teraz zajmijmy się Kamenim.

— Kamenim? — Renisenb czuła, że musi wymówić to imię spokojnie i bez protestów. Znowu miała niepokojącą świadomość spoczywającego na niej spojrzenia Horiego.

— Tak, nie możemy wykluczyć Kameniego. Nie ma znanego nam motywu, dla którego mógłby chcieć nas skrzywdzić, ale co właściwie w ogóle o nim wiemy? Pochodzi z Północy, z tej samej części Egiptu co Nofret. Pomógł jej, dobrowolnie lub nie — kto to może wiedzieć? — zwrócić serce Imhotepa przeciw jego dzieciom. Obserwuję go czasem i prawdę mówiąc, niewiele mogę o nim powiedzieć. Wydaje mi się zwykłym młodym mężczyzną obdarzonym pewną bystrością umysłu, jest przystojny, a także posiada coś, co przyciąga oczy kobiet. Tak, kobiety zawsze będą lubić Kameniego, a jednak myślę — choć mogę się mylić — że on nie należy do tych, którzy potrafią zatrzymać przy sobie ich serca i myśli. Zawsze wygląda na wesołego i beztróskiego i nie przejął się zbytnio śmiercią Nofret. Ale to wszystko tylko pozory. Kto może zgadnąć, co dzieje się w ludzkim sercu? Gdyby chciał, mógłby łatwo zagrać tę rolę... Może w głębi serca Kameniego głęboko opłakuje śmierć Nofret i szuka zemsty? Być może, ponieważ Satipy zabiła Nofret, musi zginąć także jej mąż, Jahmose? Tak, i Sobek też, ponieważ ją straszyl... i może Kait, która prześladowała ją drobiazgami, i Ipy, który także jej nienawidził? To brzmi fantastycznie, ale kto wie?

Esa przerwała. Spojrzała na Horiego.

— Któż to wie, Eso?

Esa wpatrywała się w niego bystro.

— Może ty, Hori? Przypuszczam, że wiesz, prawda?

Hori milczał przez chwilę.

— Mam pewne przypuszczenia — powiedział w końcu — co do tego, kto zatrul wino i dlaczego, ale to nie jest jeszcze całkiem jasne i naprawdę nie widzę... — zamilkł na chwilę, zmarszczył brwi i potrząsnął głową. — Nie, nie mógłbym przedstawić pewnego oskarżenia.

— Rozmawiamy tu tylko o podejrzeniach. Dalej Hori, mów.

Hori pokręcił głową.

— Nie, Eso. To tylko mglista myśl... A gdyby była prawdziwa, lepiej dla ciebie byłoby nie wiedzieć. Wiedza może być niebezpieczna. To samo dotyczy Renisenb.

— A więc może być także niebezpieczna dla ciebie, Hori?

— Tak, jest niebezpieczna... Sądzę, Eso, że wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie, chociaż Renisenb może najmniej.

Esa patrzyła na niego przez chwilę, nic nie mówiąc.

— Wiele bym dała — powiedziała w końcu — żeby wiedzieć, co masz na myśli.

Hori odpowiedział dopiero po namyśle:

— Jedyną wskazówką umożliwiającą odgadnięcie myśli człowieka jest jego zachowanie. Jeśli ktoś zachowuje się dziwnie, nie jest sobą...

— Wtedy go podejrzewasz? — spytała Renisenb.

— Nie — odparł Hori. — Człowiek, którego myśli są złe i którego intencje są złe, jest tego świadomy i wie, że musi to ukryć za wszelką cenę. Nie może więc sobie pozwolić na niezwykle zachowanie...

— Człowiek? — spytała Esa.

— Mężczyzna lub kobieta — to, to samo.

— Rozumiem — odparła Esa.

Rzuciła mu ostre spojrzenie i powiedziała:

— A co z nami? Jakie są podejrzenia w stosunku do nas?

— To także musimy rozważyć — powiedział Hori. — Bardzo mi zaufano. Przygotowanie kontraktów i sprzedaż zbiorów były w moich rękach. Jako pisarz zajmowałem się wszystkimi rachunkami. Mogło się zdarzyć, że je sfałszowałem — jak to odkrył Kameni w posiadłościach na Północy. Jahmose mógł być zdziwiony, mógł coś podejrzewać. Należało więc go uciszyć. — Uśmiechnął się blado.

— Och, Hori — powiedziała Renisenb — jak możesz mówić takie rzeczy! Nikt, kto cię zna, nie uwierzyłby w to.

— Nikt nie zna drugiego człowieka, Renisenb. Pozwól, że raz jeszcze ci to powiem.

— A ja? — spytała Esa. — Jakie są podejrzenia w moim wypadku? Jestem stara. Gdy umysł się starzeje, czasem się miesza. Nienawidzi tego, co kiedyś kochał. Mogę być zmęczona wnukami i mogę chcieć zniszczyć swoją własną krew. To schorzenie, wywołane przez złego ducha, czasami przytrafia się starym ludziom.

— A ja? — spytała Renisenb. — Dlaczego miałabym próbować zabić braci, których kocham?

— Jeżeliby Jahmose, Sobek i Ipy nie żyli — rzekł Hori — wtedy ty byłabyś ostatnim dzieckiem Imhotepa. Znalazłby ci męża i wszystko przypadłoby tobie — ty i twój mąż byłibyście opiekunami dzieci Jahmosego i Sobka.

Roześmiał się.

— Ale zebrani pod tą sykomorą nie podejrzewają cię, Renisenb.

— Pod tą sykomorą, czy nie pod sykomorą, zawsze cię kochamy — powiedziała Esa.

Rozdział siedemnasty

Drugi miesiąc lata dzień pierwszy (c.d.)

I

— Więc byłaś poza domem — powiedziała Henet spiesznie wkraczając do pokoju za kuśtykającą Esą.

— Nie robiłaś tego chyba od roku!

Patrzyła na Esę natarczywie.

— Starzy ludzie — odparła Esa — mają kaprysy.

— Widziałam cię na jeziorze. Siedzieliś z Horim i Renisenb.

— Przyjemne towarzystwo. Czy zdarza ci się kiedykolwiek czegoś nie widzieć, Henet?

— Doprawdy Eso, nie wiem, o co ci chodzi! Siedzieliście tam widoczni dla wszystkich.

— Ale nie wystarczająco blisko, żeby można było usłyszeć chociaż jedno słowo!

Esa uśmiechnęła się szeroko i Henet stłumiła złość.

— Nie wiem, dlaczego jesteś dla mnie taka niemila, Eso! Zawsze coś sugerujesz. Jestem zbyt zajęta pilnowaniem, żeby wszystko w domu było zrobione, aby słuchać rozmów innych ludzi. Co mnie to obchodzi, co mówią ludzie!

— Zawsze się zastanawiałam.

— Gdyby nie Imhotep, który mnie docenia...

— Tak, gdyby nie Imhotep! — ucięła krótko Esa. — Zależysz od Imhotepa, prawda? Gdyby cokolwiek jemu się przydarzyło...

Tym razem przerwała Henet.

— Nic się nie przydarzy Imhotepowi!

— Skąd możesz wiedzieć, Henet? Czy aż tak bezpiecznie jest w tym domu? Przecież przytrafiło się już coś Jahmosemu i Sobkowi.

— To prawda, Sobek zmarł, a Jahmose omal nie zmarł... nie poszedł w jego ślady...

— Henet! — Esa pochyliła się ku niej. — Dlaczego się uśmiechnęłaś, kiedy to mówiłaś?

— Ja? Uśmiechnęłam? — Henet była zaskoczona. — Śniło ci się, Eso! Czy to możliwe, żebym się śmiała w takiej chwili, mówiąc o tak strasznych rzeczach!

— To prawda, że jestem prawie ślepa — odparła Esa — ale nie zupełnie ślepa. Czasem, gdy światło odpowiednio pada, gdy zmrużę powieki, widzę całkiem dobrze. Gdy ktoś rozmawia z osobą słabo widzącą, staje się nieostrożny. Pozwala sobie na wyraz twarzy, na który nie pozwoliłby sobie w innych okolicznościach. Więc pytam cię jeszcze raz: Dlaczego śmiejesz się z taką skrywaną satysfakcją?

— To, co mówisz, jest oburzające, absolutnie oburzające!

— Teraz jesteś wystraszona.

— A kto by nie był, gdy takie rzeczy dzieją się w domu? — zawołała Henet piskliwie. — Jestem pewna, że wszyscy się boimy, kiedy złe duchy wracają, aby nas dręczyć! Ale wiem, o co chodzi. Słuchałaś Horię. Co on o mnie mówił?

— Co Hori wie o tobie, Henet?

— Nic, zupełnie nic. Spytaj lepiej, co ja wiem o nim?

— No, cóż takiego wiesz? — Esa obrzuciła ją bystrym spojrzeniem.

Henet odrzuciła głowę.

— Wszyscy gardzicie biedną Henet! Myślicie, że jest brzydka i głupia. Ale ja wiem, co się dzieje. Wiem o wielu rzeczach — rzeczywiście niewiele jest rzeczy w tym domu, o których nie wiem. Może jestem głupia, ale potrafię zliczyć do stu. Może widzę więcej niż tacy sprytni ludzie jak Hori. Gdziekolwiek mnie spotyka, zawsze patrzy na mnie tak, jakbym nie istniała, jakby widział coś za moimi plecami, coś, czego tam nie ma. Lepiej dla niego, żeby patrzył na mnie, oto co myślę. Może uważać mnie za głupią i bez znaczenia, ale to nie zawsze ci bystrzy wszystko wiedzą. Satipy myślała, że jest sprytna, i gdzie jest teraz, chciałabym to wiedzieć?

Henet zakończyła z nutą triumfu w głosie, ale nagle zaniepokoiła się, skuliła i spojrzała nerwowo na Esę. Ta jednak wydawała się pogrążona we własnych myślach. Jej twarz przybrała zszokowany, prawie przerażony wyraz. Odezwała się powoli:

— Satipy...

— Przepraszam, Eso, chyba straciłam panowanie nad sobą — jak zwykle jękliwie rzekła Henet. — Naprawdę, nie wiem, co mnie napadło. Nie myślałam tego wszystkiego, co mówiłam...

Spoglądając na nią, Esa odparła:

— Odejdź, Henet. Nie ma znaczenia, czy myślałaś, czy nie myślałaś. Ale powiedziałaś jedno zdanie, które obudziło nowe myśli w mojej głowie... Idź, Henet, i ostrzegam cię, uważaj na to, co robisz i mówisz. Nie chcemy więcej śmierci w tym domu. Mam nadzieję, że rozumiesz.

II

„Wszystko jest strachem”...

Renisenb wypowiedziała te słowa automatycznie podczas narady nad jeziorem. Dopiero potem zdała sobie sprawę z ich prawdziwości. Szła, aby przyłączyć się do Kait i dzieci zebranych obok małego pawilonu, ale jej nogi sprzeciwiały się, jakby miały wolną wolę.

Stwierdziła, że boi się dołączyć do Kait, spojrzeć w to nieładne, spokojne oblicze, boi się, że może ujrzeć twarz trucicielki. Obserwowała Henet wybiegającą i wbiegającą na ganek i odkryła, że zwykłe uczucie niechęci do niej jeszcze się wzmogło.

Zdesperowana zwróciła się w stronę wejścia na dziedziniec i chwilę później spotkała Ipy kroczącego dumnie, z wysoko podniesioną głową i wesołym uśmiechem na bezczelnej twarzy.

Renisenb uświadomiła sobie, że mu się przygląda. Ipy, zepsute dziecko, przystojny, samowolny chłopczyk — takim go zapamiętała z czasów, gdy wyjechała z Khayem...

— O co chodzi, Renisenb? Dlaczego tak dziwnie na mnie patrzysz?

— Doprawdy?

Ipy roześmiał się.

— Wyglądasz równie głupkowato jak Henet.

Renisenb potrząsnęła głową.

— Henet nie jest głupkowata. Jest bardzo przebiegła.

— Jest złośliwa, wiem o tym. Jest plagą tego domu. Mam zamiar się jej pozbyć.

Renisenb otworzyła i zamknęła usta. Szepnęła:

— Pozbyć się jej?

— Moja droga siostrze, co to cię obchodzi? Czy ty także widziałas złe duchy jak to biedne, głupkowane czarne dziecko?

— Dla ciebie każdy jest głupkowaty!

— To dziecko z pewnością było. Cóż, to prawda, że głupota mnie denerwuje. Za dużo jej dokoła. Wcale nie jest zabawne, mówię ci być szykanowanym przez ślamazarnych starszych braci, którzy nie widzą nic oprócz własnego nosa! Teraz, gdy zostali usunięci z drogi i wszystko załatwia się tylko z ojcem, zobaczysz, jaka będzie różnica. Ojciec zrobi to, co ja powiem.

Renisenb spojrzała na niego uważnie. Wyglądał niezwykle pięknie, ale i arogancko. Przepęłniała go niezwykła energia. Triumfował.

Renisenb powiedziała ostro:

— Obydwoj nie zostali usunięci z drogi, jak to ująłeś. Jahmose żyje.

Ipy spojrzał na nią z wyrazem pogardliwej kpiny.

— I przypuszczam, że spodziewasz się, iż już wkrótce będzie znów czuł się znakomicie?

— Dlaczego nie?

Ipy roześmiał się.

— Dlaczego nie? Powiedzmy po prostu, że nie zgadzam się z tobą. Jahmose jest skończony, będzie się snuł tu i tam, siedział w słońcu i jęczał. Ale nie jest już mężczyzną. Pierwsze działanie trucizny minęło, ale jak sama widzisz, jego stan wcale się nie poprawia.

— Dlaczego? — spytała Renisenb. — Lekarz powiedział, że to nie potrwa długo, że znów będzie silny i zdrowy.

Ipy wzruszył ramionami.

— Lekarze nie wiedzą wszystkiego. Mówią uczenie i używają długich słów. Wiń za to podłą Nofret, jeśli chcesz, ale Jahmose, mój drogi brat Jahmose jest zgubiony.

— A ty sam się nie boisz, Ipy?

— Bać się? Ja? — chłopak roześmiał się, odrzuciwszy piękną głowę.

— Nofret i ciebie bynajmniej nie kochała, Ipy.

— Nic mi się nie może stać, Renisenb, póki sam na to nie pozwolę! Jestem jeszcze młody, ale należą do tych, którzy urodzili się, aby osiągnąć sukces. A co do ciebie, Renisenb, dobrze zrobisz, jeśli będziesz po mojej stronie, słyszysz? Często traktujesz mnie jak nieodpowiedzialnego chłopca. A ja już taki nie jestem. Najbliższe dni pokażą zmianę. Wkrótce tylko moja wola będzie się tu liczyć. Ojciec może wydawać rozkazy, ale chociaż wypowiada je jego głos, obmyśla je mój rozum!

Zrobił kilka kroków, ale wkrótce zatrzymał się i rzucił przez ramię:

— Dbaj więc, Renisenb, żebym nie był z ciebie niezadowolony.

Gdy Renisenb stała wpatrując się osłupiała w oddalającego się brata, z tyłu podeszła do niej Kait.

— Co mówił Ipy, Renisenb?

— Mówił, że wkrótce będzie tu panem — odparła powoli Renisenb.

— Doprawdy? — powiedziała Kait. — Ja tak nie myślę.

III

Ipy wbiegł lekko po schodach na ganek, a potem do domu.

Widok Jahmosego leżącego na sofie wydawał się go cieszyć. Powiedział wesoło:

— No, jak leci, bracie? Czy nigdy nie zobaczymy cię na plantacji? Nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że wszystko nie rozsypało się bez ciebie na kawałki!

Jahmose odparł strapiiony, słabym głosem:

— Nic nie rozumiem. Truczna została usunięta. Dlaczego nie wracam do sił? Próbowałem chodzić dziś rano, ale nie mogę utrzymać się na nogach. Jestem słaby, bardzo słaby, a co najgorsze, chyba z każdym dniem bardziej słabnę.

Ipy pokręcił głową z politowaniem.

— To fatalnie. A lekarz nie może nic poradzić?

— Codziennie przychodzi pomocnik Mersu. Nie rozumie, co się dzieje. Piję mocne wywary z ziół. Codziennie odprawiane są modły do bogini. Przygotowują dla mnie specjalne, pożywne jedzenie. Nie ma żadnego powodu, jak zapewnia lekarz, dla którego nie miałbym szybko odzyskać siły. Ale w rzeczywistości kończę się.

— To okropne — powiedział Ipy.

Poszedł dalej, śpiewając cichutko, aż natknął się na ojca i Horiego, którzy byli zajęci rachunkami. Twarz Imhotepa, zmartwiona i pełna niepokoju, rozjaśniła się na widok ukochanego najmłodszego syna.

— Oto i mój Ipy. Co masz do powiedzenia?

— Wszystko idzie dobrze, ojcze. Zbieramy jęczmień. Dobre zbiory.

— Tak, dzięki Ra, na polach wszystko idzie dobrze. Gdyby równie dobrze układało się w domu. Trzeba mieć ufność w Ashayet, ona nie odmówi pomocy w naszym nieszczęściu. Martwię się o Jahmosego. Nie mogę zrozumieć jego pogorszenia.

Ipy uśmiechnął się pogardliwie.

— Jahmose zawsze był cherlakiem.

— Wcale nie — odparł Hori łagodnie. — Zawsze był dobrego zdrowia.

— Zdrowie zależy od ducha — powiedział stanowczo Ipy. — Jahmose nigdy nie miał ducha. Zawsze bał się wydawać rozkazy.

— Ostatnio tak nie było — sprzeciwił się Imhotep. — W ostatnich miesiącach Jahmose pokazał, że ma autorytet. Byłem tym zdziwiony. Ale ta słabość mnie martwi. Mersu zapewniał mnie, że działanie trucizny minęło i powinna nastąpić szybka poprawa.

Hori odsunął na bok kilka papirusów.

— Są inne trucizny — powiedział spokojnie.

— Co masz na myśli? — Imhotep odwrócił się gwałtownie.

— Są trucizny, które nie działają natychmiast, gwałtownie — snuł przypuszczenia Hori. — Odrobina podawana codziennie gromadzi się w organizmie. Dopiero po wielu miesiącach przychodzi śmierć... Kobiety wiedzą o takich rzeczach. Czasami stosują je, aby usunąć męża i wywołać wrażenie naturalnej śmierci.

Imhotep pobladł.

— Czy sugerujesz, że, to właśnie dzieje się z Jahmosem?

— Sugeruję, że to możliwe. Chociaż jego jedzenie jest sprawdzane przez niewolnika,

jest to ostrożność bez znaczenia, ponieważ minimalna ilość trucizny w każdym posiłku nie wywoła choroby.

— Bzdura — zawołał Ipy — absolutna bzdura! Nie wierzę, że istnieją takie trucizny. Ja nigdy o nich nie słyszałem.

Hori podniósł wzrok.

— Jesteś bardzo młody, Ipy. Jest wiele rzeczy, o których nie słyszałeś.

— Ale co my możemy zrobić? — zawołał Imhotep. — Napisaaliśmy do Ashayet. Złożyliśmy dary w świątyni, chociaż nie mam zbyt wielkiej wiary w świątynie. To kobiety wierzą w takie rzeczy. Co jeszcze można zrobić?

Hori powiedział zamyślony.

— Niech jedzenie Jahmosego przygotowuje jeden godny zaufania niewolnik i niech będzie przez cały czas obserwowany.

— Ale to znaczy... że tutaj w domu...

— Bzdura — krzyknął znowu Ipy — absolutna bzdura.

Hori uniósł brwi.

— Można spróbować — powiedział. — Wkrótce zobaczymy, czy to bzdura.

Ipy wyszedł wściekły z pokoju. Hori patrzył za nim w zamyśleniu, z niepokojem marszcząc brwi.

IV

Ipy wyszedł z domu tak wzburzony, że prawie przewrócił Henet.

— Zejdź z drogi, Henet. Zawsze się skradasz i wchodzisz w drogę.

— Ależ jesteś grubiański Ipy, mam sińca na ramieniu.

— I dobrze. Mam dość ciebie i twojego biadolenia. Im prędzej wyniesiesz się z tego domu, tym lepiej. Dopilnuję, żebyś sobie poszła.

Oczy Henet zaświeciły złośliwie.

— Więc wyrzuciłbyś mnie, tak? Nie bacząc na moją troskę i miłość do was wszystkich. Zawsze byłam oddana całej rodzinie. Twój ojciec dobrze o tym wie.

— Już dość o tym słyszał! Tak jak my wszyscy! Moim zdaniem jesteś po prostu starą intrygantką. Ty pomogłaś Nofret w jej planach — dobrze o tym wiem. Potem ona umarła, a ty znowu przysłałaś się płaszczyć. Ale zobaczysz, w końcu ojciec posłucha mnie, a nie twoich kłamstw.

— Jesteś bardzo zły, Ipy, co cię tak rozzłościło?

— Nieważne.

— Chyba nie boisz się niczego, prawda, Ipy? Dziwne rzeczy się tutaj dzieją.

— Nie przestraszysz mnie, stara kocico.

Minął ją i wyszedł z domu.

Henet powoli weszła do środka. Jej uwagę przyciągnęły jęki Jahmosego, który podniósł się z łoża i próbował chodzić. Ale nie mógł się utrzymać na nogach i gdyby nie szybka pomoc Henet, upadłby na ziemię.

— No, Jahmose. Połóż się z powrotem.

— Ale jesteś silna, Henet. Trudno uwierzyć, patrząc na ciebie — ułożył się znowu z głową wspartą na zagłówku. — Dziękuję. Co się ze mną dzieje? Skąd to uczucie, jakbym miał nogi z waty?

— To dlatego, że ten dom jest przeklęty. Robota tej diablicy z Północy. Nic dobrego jeszcze stamtąd nie przyszło.

Jahmose mruknął z nagłym przygnębieniem:

— Umieram. Tak, umieram...

— Przed tobą umrą inni — powiedziała ponuro Henet.

— Co? Co masz na myśli? — podniósł się na łokciu i spojrzał na nią badawczo.

— Wiem, co mówię. — Henet pokiwała głową kilką razy. — To nie ty umrzesz następnym. Poczekaj, to zobaczysz.

V

— Dlaczego mnie unikasz, Renisenb?

Kameni zagroził jej drogę. Zarumieniła się. Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. To prawda, że specjalnie odwróciła się, gdy zobaczyła, że nadchodzi.

— Dlaczego, Renisenb, powiedz mi!

Nie miała jednak gotowej odpowiedzi, potrząsnęła tylko w milczeniu głową.

Potem spojrzała na niego. Trochę bała się, że twarz Kameni mogłaby także okazać się inna. Z dziwnym zadowoleniem zobaczyła, że pozostała nie zmieniona, jego oczy patrzyły na nią poważnie, a na jego ustach nie było uśmiechu.

Pod wpływem jego spojrzenia spuściła oczy. Kameni zawsze ją niepokoił. Przyjemnie odczuwała jego bliskość. Serce biło jej mocniej.

— Wiem, dlaczego mnie unikasz, Renisenb.

W końcu zdobyła się na odpowiedź.

— Ja... nie unikałam ciebie. Nie widziałam, że nadchodzisz.

— To kłamstwo. — Uśmiechał się teraz, poznała to po jego głosie. — Renisenb, piękna Renisenb.

Poczuła jego ciepłą, mocną rękę na ramieniu i natychmiast się uwolniła.

— Nie dotykaj mnie! Nie lubię być dotykana.

— Dlaczego ze mną walczysz, Renisenb? Sama wiesz, co jest między nami. Jesteś młoda, silna i piękna. To wbrew naturze oplakiwać męża przez całe życie. Zabiorę cię z tego domu. Jest pełen śmierci i złych uroków. Pojedziesz ze mną i będziesz bezpieczna.

— A jeśli nie chcę pojechać z tobą? — odparła Renisenb dumnie.

Kameni roześmiał się. W uśmiechu zalśniły jego białe, silne zęby.

— Ale ty chcesz pojechać, nie chcesz się tylko do tego przyznać! Życie jest dobre, Renisenb, gdy brat i siostra są razem. Będę cię kochał i uczynię cię szczęśliwą, a ty uszczęśliwisz mnie, swego pana. Widzisz, nie będę już musiał śpiewać do Ptaha: „Daj mi moją siostrę dziś w nocy”, ale pójdę do Imhotepa i powiem: „Daj mi moją siostrę Renisenb”. Myślę, że nie jesteś tu bezpieczna, więc zabiorę cię stąd. Jestem dobrym pisarzem i mogę pracować w domu jakiegoś wielkiego dostojnika w Tebach, jeśli zechcesz, chociaż właściwie lubię tutejsze życie, plantację i bydło, i pieśni żeńców, i rzekę. Chciałbym żeglować z tobą po rzece, Renisenb. I zabierzemy Teti. Jest śliczna, silna i będę ją kochał, i będę dla niej dobrym ojcem. No, Renisenb, co powiesz?

Renisenb milczała. Czuła, że serce bije jej szybko, dziwne omdlenie ogarniało jej zmysły. Jednak razem z tym uczuciem słabości, tęsknoty, przyszło inne — uczucie sprzeciwu.

„Tylko mnie dotknął i już cała słabnę... — pomyślała — to przez to, że jest taki silny... przez jego mocne ramiona... jego uśmiechnięte usta... Ale nie wiem nic o jego myślach, o jego sercu. Nie ma między nami spokoju, nie ma słodyczy... Czego ja chcę? Nie wiem... Ale nie tego... Nie, nie tego...”

Usłyszała swój głos, który nawet dla niej samej brzmiał słabo i niepewnie:

— Nie chcę mieć drugiego męża... Chcę być sama... sama...

— Nie, Renisenb, mylisz się. Nie urodziłaś się, żeby żyć samotnie. Twoja ręka mi to mówi, gdy drży w mojej... Widzisz...

Renisenb z wysiłkiem cofnęła rękę.

— Nie kocham cię, Kameni, myślę, że cię nienawidzę.

Uśmiechnął się.

— Nie przeszkadza mi, że mnie nienawidzisz, Renisenb. Twoja nienawiść bardzo bliska jest miłości. Porozmawiamy o tym znowu.

Odszedł, poruszając się miękko i zwinnie, jak młoda gazela. Renisenb poszła wolno tam, gdzie Kait bawiła się z dziećmi nad jeziorem.

Kait mówiła do niej, ale Renisenb odpowiadała na chybił trafił.

Jednak bratowa wydawała się tego nie zauważać lub raczej, jak zwykle, jej myśli zbyt zajęte były dziećmi, aby mogła zwrócić uwagę na cokolwiek innego.

Nagle Renisenb powiedziała:

— Czy mam znowu wyjść za męża? Jak sądzisz?

Kait odpowiedziała spokojnie i bez większego zainteresowania:

— Myślę, że nie zaszkodziłoby. Jesteś młoda i silna, Renisenb, możesz mieć jeszcze dużo dzieci.

— Czy tylko na tym polega życie kobiety, Kait? Krzątać się na tyłach domu, mieć dzieci, spędzać z nimi popołudnia nad jeziorem pod figowcem?

— To wszystko, co liczy się dla kobiety. Na pewno o tym wiesz. Nie mów, jakbyś była niewolnicą. Kobiety mają władzę w Egipcie — przez nie dziedzictwo przechodzi na dzieci. Kobiety są życiodajną krwią Egiptu.

Renisenb spojrzała zamysłona na Teti zajętą splataniem wianka dla lalki. Teti marszczyła się lekko, pochłonięta swoim zajęciem. Był czas, kiedy Teti podobna była do Khaya, wysuwała górną wargę, przechylała głowę trochę na bok, a serce Renisenb ścisnęło się i bólu i miłości. Ale teraz nie tylko twarz Khaya zatarła się w jej pamięci, ale i Teti nie przekrzywiła już głowy i nie wysuwała wargi. Były i inne momenty, w których Renisenb przyciskała Teti mocno, z gorącym poczuciem własności, czując, że to dziecko ciągle jest częścią jej własnego ciała. „Jest moja, tylko moja” powtarzała w myślach.

Obserwując ją teraz, Renisenb pomyślała:

„Jest mną — i jest Khayem...”

Właśnie wtedy Teti podniosła oczy i uśmiechnęła się, ujrawszy matkę. To był poważny, przyjacielski uśmiech, miły i pełen ufności.

„Nie, ona nie jest mną i nie jest Khayem — powiedziała do siebie Renisenb. — Ona jest sobą. Jest Teti. Jeśli będziemy się kochać, przez całe życie będziemy przyjaciółkami, ale jeśli nie, ona dorośnie i staniemy się sobie obce. Ona jest Teti, a ja jestem Renisenb.”

Kait patrzyła na nią ciekawie.

— Czego ty chcesz, Renisenb? Nie rozumiem.

Renisenb nie odpowiedziała. Jak wytłumaczyć Kait rzeczy, które ona sama ledwie rozumiała? Spojrzała wokoło, na mury dziedzińca, na wesoły, kolorowy ganek, na gładkie wody jeziora i wdzięczny pawilonik, na równiutkie klomby z kwiatami i kępy papirusu. Wszystko bezpieczne, zamknięte, nie ma powodów do strachu, wokoło znajome domowe odgłosy, dziecięca paplanina, ochryply, piskliwy kobiecy jazgot w domu, porykiwanie bydła w oddali.

— Nie widać stąd rzeki... — powiedziała w końcu.

Kait zdziwiła się:

— Dlaczego miałyby ją być widać?

— Jestem głupia. Nie wiem...

Przed jej oczami rozciągała się, panorama zielonych pól, bogatych i bujnych, nabierających ku horyzontowi czarownej barwy blad różowej i ametystowej i przeciętych srebrzystoniebieskim Nilem...

Wstrzymała oddech — widok, który ujrzała oczami wyobraźni spowodował, że

wszystko dookoła bladło. Doświadczyla spokoju, pełni, nieskończonego zadowolenia... Powiedziała do siebie: „Jeśli odwrócę głowę, zobaczę Horięgo. Spojrzy na mnie znad swojego papierusa i uśmiechnie się... zaraz zajdzie słońce i będzie ciemno, a potem pójdę spać... Potem będzie śmierć”.

— Co mówiłaś, Renisenb?

Renisenb drgnęła. Nie zdawała sobie sprawy, że mówiła głośno. Powróciła do rzeczywistości. Kait patrzyła na nią zdziwiona.

— Powiedziałaś „śmierć”, Renisenb. O czym myślałaś?

Renisenb potrząsnęła głową.

— Nie wiem. Nie myślałam. — Znowu spojrzała dokoła. Jakże przyjemna była ta rodzinna scenka, bawiące się dzieci, rozpryskująca się woda. Odetchnęła głęboko. — Jak tu pięknie. Trudno sobie wyobrazić, że może się tu wydarzyć coś strasznego.

A tymczasem właśnie nad jeziorem znaleziono Ipy następnego ranka. Leżał z twarzą zanurzoną w wodzie. Czyjaś ręka przytrzymała go, aby utonął.

Rozdział osiemnasty

Drugi miesiąc lata — dzień dziesiąty

I

Imhotep siedział skulony. Wyglądał znacznie starzej, jak złamany, skurczony starzec. Na jego twarzy malowało się żalosne oszołomienie.

Henet przyniosła mu posiłek i zachęcała przymilnie do zjedzenia.

— Tak, Imhotepie, musisz zachować siłę.

— Po co? Czym jest siła? Ipy był silny — silny młodością i urodą — a teraz leży w solance... Mój syn, mój kochany syn. Ostatni z moich synów.

— Nie, nie, Imhotepie. Masz Jahmosego, twojego dobrego Jahmosego.

— Jak długo jeszcze? Nie, on także jest stracony. Wszyscy jesteśmy straceni. Dlaczego to zło spadło na nas? Czy mogłem wiedzieć, że sprowadzenie do domu konkubiny będzie miało takie skutki? To jest przyjęte... zgodne z prawem ludzkim i boskim. Traktowałem ją z szacunkiem. Dlaczego więc spotyka mnie to wszystko? A może to Ashayet mści się na mnie? Czy to ona nie chce wybaczyć? Nie odpowiedziała na petycję. Nadal spotykają nas nieszczęścia.

— Nie, nie, Imhotepie. Nie wolno ci tak mówić. Niewiele czasu minęło od złożenia czary w komnacie ofiarnej. Czyż nie wiesz, jak długo trzeba czekać, aby dopełniło się prawo i sprawiedliwość na tym świecie, jak duże są opóźnienia w sądzie nomarchy, a jeszcze większe, gdy sprawa trafia do wezyra? Sprawiedliwość to sprawiedliwość, tak samo na tym, jak i na tamtym świecie. Trwa bardzo długo, ale w końcu załatwione zostaje zgodnie z prawem.

Imhotep pokręcił z powątpiewaniem głową. Henet mówiła dalej.

— Poza tym musisz pamiętać, że Ipy nie był synem Ashayet, lecz twojej siostry Ankh. Dlaczego więc Ashayet miałaby się nim zajmować? Ale z Jahmosem to inna sprawa — Jahmose wyzdrowieje, ponieważ Ashayet dopilnuje, żeby tak było.

— Muszę przyznać, Henet, że twoje słowa są pocieszające... W tym, co mówisz, coś jest. Jahmose, to prawda, z każdym dniem powraca do sił. Jest dobrym, lojalnym synem — ale mój Ipy! Jakiego miał ducha! I jaki był piękny! — Imhotep znowu jęknął.

— Niestety! Niestety! — Henet lamentowała ze współczuciem.

— Niech będzie przeklęta ta dziewczyna i jej uroda! Obym był nigdy jej nie ujrzał.

— Tak, panie, w rzeczy samej. Córnka Seta, słowo daję. Znała się na magii i zaklęciach, nie ma co do tego wątpliwości.

Rozległ się stukot laski o podłogę i weszła, utykając, Esa. Prychnęła szyderczo:

— Czy nikt w tym domu nie ma rozumu? Nie masz nic lepszego do roboty, tylko obzierać przekleństwami nieszczęsną dziewczynę, która ci się podobała i która pozwoliła sobie na odrobinę kobiecej złośliwości, sprowokowana głupim zachowaniem głupich żon twoich głupich synów?

— „Odrobina złośliwości” — czy tak to nazywasz, Eso? Kiedy dwóch spośród trzech moich synów nie żyje, a jeden jest umierający! Och! żeby własna matka mówiła mi takie rzeczy!

— Ktoś musi ci je powiedzieć, skoro sam nie potrafisz dostrzegać faktów. Oczyść swój umysł z niemądrej przesądnej wiary w to, że duch zmarłej dziewczyny czyni zło. To żywa ręka przytrzymała Ipy w jeziorze, aby utonął, i żywa ręka wlała truciznę do wina Jahmosego i Sobka. Masz wroga, to prawda, ale wroga tu, w tym domu. A dowodem jest to, że od kiedy posłuchano rady Horiego i Renisenb sama przygotowuje jedzenie Jahmosego, lub robi to niewolnik, a ona go pilnuje i sama zanoszą posiłki, od tego czasu, powiadam, Jahmose z każdym dniem odzyskuje zdrowie i siły. Przestań być głupcem, Imhotepie, przestań jęczeć i tłuc głową... w czym niezwykle pomocna okazuje się Henet...

— Och, Eso, jakże źle mnie oceniasz!

— W czym, powiadam, towarzyszy ci Henet — albo dlatego, że sama jest głupia, albo z jakiegoś innego powodu...

— Niech Ra ci wybaczy, Eso, twoją nieuprzejmość dla biednej, samotnej kobiety!

Esa ciągnęła, potrząsając laską w znaczącym geście.

— Weź się w garść, Imhotepie, i pomyśl. Twoja zmarła żona Ashayet, która była wspaniałą kobietą i wcale nie głupią, może użyć swoich wpływów na tamtym świecie, ale trudno oczekiwać, aby myślała za ciebie na tym! Musimy działać, bo jeśli nie, będą następne zgony.

— Żywy wróg? Wróg w domu? Naprawdę w to wierzysz, Eso?

— Oczywiście, że w to wierzę, ponieważ to jedyna rzecz, która ma sens.

— Ale w takim razie wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie?

— Oczywiście. I nie grożą nam czary czy złe duchy, ale ludzkie działanie: żywe palce, wrzucające truciznę do jedzenia i picia, żywa postać skradająca się za chłopcem wracającym późno w nocy z wioski i wpychająca mu głowę pod wodę!

— Do tego potrzeba siły — powiedział zamyślonym tonem Imhotep.

— Pozornie, ale nie jestem pewna. Ipy wypił dużo piwa w wiosce. Był w chełpliwym nastroju. Może wracał do domu na chwiejnych nogach i nie bojąc się osoby, którą spotkał po drodze, pochylał się, aby obmyć twarz w jeziorze? Wtedy nie trzeba by było wiele siły.

— Co chcesz powiedzieć, Eso? Że mogła to zrobić kobieta? Ale to niemożliwe. Cała rzecz jest niemożliwa, nie może być wroga w naszym domu, wiedzielibyśmy o tym — ja bym o tym wiedział!

— Bywa, że istnieje w sercu zło, którego nie widać na zewnątrz, Imhotepie.

— Sądzisz, że ktoś ze służby lub niewolnik...

— Nie służący i nie niewolnik, Imhotepie.

— Ktoś z nas? Czy też może Hori albo Kameni? Ale Hori należy do, rodziny, dowiódł, że jest wiemy i godny zaufania. A Kameni — jest obcy, to prawda, ale jest z naszej krwi i udowodnił swoje oddanie gorliwą służbą dla mnie. Co więcej, przyszedł do mnie dziś rano i prosił o zgodę na małżeństwo z Renisenb.

— Och, doprawdy? — zainteresowała się Esa. — I co odpowiedziałeś?

— Co mogłem odpowiedzieć? — odparł Imhotep z irytacją. — Czy to odpowiedni czas na rozmowę o małżeństwie? Tyle właśnie mu powiedziałem.

— A co on na to?

— Powiedział, że według niego to właśnie jest odpowiedni czas na rozmowę o małżeństwie. Powiedział, że Renisenb nie jest tu bezpieczna.

— Zastanawiam się — rzekła Esa — głęboko się zastanawiam... Czy naprawdę? Myślałam, że jest bezpieczna. I Hori też tak myślał, ale teraz...

— Czy można organizować równocześnie śluby i pogrzeby? — ciągnął Imhotep.

— To nieprzyzwoite. Cały nom mówiłby o tym.

— To nie czas na konwenanse — odparła Esa. — Szczególnie w sytuacji, gdy kapłani nie wychodzą z tego domu. To błogosławieństwo dla Ipiego i Montu. Ich firma wspaniale prosperuje.

— Podnieśli swoje ceny o dziesięć procent! — Imhotep zajął się przez moment czym innym. — Nikczemni! Mówią, że robocizna podróżowała.

— Powinni dać nam rabat za ilość zleceń! — Esa uśmiechnęła się ponuro.

— Moja droga matko — Imhotep spojrzał na nią z przerażeniem — to nie są żarty.

— Całe życie to żart, Imhotepie — a śmierć śmieje się ostatnia. Czy nie słyszysz tego na każdej uczcie? Jedz, pij i ciesz się, bo jutro umrzesz? To bardzo prawdziwe, gdy chodzi o nas. Pytanie tylko, czyja śmierć nadejdzie jutro.

— To co mówisz, jest straszne, okropne! Co można zrobić?

— Nie ufaj nikomu — poradziła Esa. — To pierwsza, najważniejsza rzecz. Nie ufaj nikomu — powtórzyła z naciskiem.

Henet zaczęła łkać.

— Dlaczego patrzysz na mnie... jestem pewna, że jeśli ktokolwiek jest godny zaufania, to właśnie ja. Udowodniłam to przez te lata. Nie słuchaj jej, Imhotepie.

— No, no, moja dobra Henet, naturalnie tobie ufam. Znam przecież dobrze twoje oddanie i szczere serce.

— Nic nie wiesz — powiedziała Esa. — Nikt z nas nic nie wie. To jest największe niebezpieczeństwo.

— Oskarżyłaś mnie — zawodziła Henet.

— Nie mogę oskarżać. Nie mam wiedzy ani dowodów, tylko podejrzenia.

— Masz podejrzenia... kogo podejrzewasz? — Imhotep spojrział na nią badawczo.

Esa odparła powoli:

— Podejrzewałam raz, potem drugi i trzeci. Będę uczciwa, przyznam, że najpierw podejrzewałam Ipy... ale Ipy nie żyje, więc moje podejrzenie było fałszywe. Potem podejrzewałam inną osobę, ale w dniu śmierci Ipy jeszcze inny pomysł przyszedł mi do głowy... — urwała. — Czy Hori i Kameni są w domu? Poślij po nich... tak, i niech Renisenb także przyjdzie z kuchni. I Kait, i Jahmose. Mam coś do powiedzenia i wszyscy powinni to usłyszeć.

II

Esa spojrzała na zgromadzoną rodzinę. Napotkała poważne i łagodne spojrzenie Jahmosego, uśmiech Kameniego, przestraszony, pytający wzrok Renisenb, spokojny i obojętny Kait, tajemnicze, zamyślane spojrzenie Horiiego, nerwowość i strach w drgającej twarzy Imhotepa i chciwą ciekawość i — tak — zadowolenie w oczach Henet.

Pomyślała: „Ich twarze nic mi nie mówią. Pokazują tylko emocje. Ale jeśli się nie mylę, ktoś musi się zdradzić”. Głośno zaś powiedziała:

— Mam wam coś do powiedzenia, ale najpierw pomówię tylko z Henet. Tutaj, przy wszystkich.

Wyraz twarzy Henet zmienił się. Zniknęły ciekawość i zadowolenie. Była przestraszona. Zaprotestowała piskliwie.

— Podejrzewasz mnie, Eso. Wiem o tym! Wytoczysz mi sprawę i jak ja, biedna kobieta bez wielkiego rozumu, mam się bronić? Zostanę skazana — skazana bez wysłuchania.

— Nie bez wysłuchania — odparła Esa ironicznie i spostrzegła uśmiech Horiiego.

— Nic nie zrobiłam — ciągnęła Henet coraz bardziej histerycznym głosem — jestem niewinna... Imhotepie, mój najdroższy panie, ratuj mnie... — Rzuciła się i objęła go za kolana. Imhotep zaczął bełkotać oburzony, poklepując głowę Henet.

— Doprawdy Eso, protestuję... to haniebne...

— Nie rzuciłam żadnego oskarżenia — przerwała mu — nie oskarżam bez dowodów. Proszę tylko, żeby Henet wytłumaczyła nam tutaj znaczenie pewnych słów, które sama powiedziała.

— Nic nie powiedziałam, zupełnie nic...

— O tak, powiedziałaś — stwierdziła Esa. — Są to słowa, które słyszałam na własne uszy... a uszy mam dobre, chociaż oczy słabe. Powiedziałaś, że wiesz coś o Horim. A więc co takiego wiesz o Horim?

Hori był lekko zdumiony.

— Tak, Henet — wtrącił. — Co wiesz o mnie? Posłuchajmy.

Henet usiadła na piętach i otarła oczy. Była nadęta i oporna.

— Nic nie wiem. Co miałabym wiedzieć?

— Właśnie czekamy, żebyś nam to zdradziła — odparł Hori.

Henet wzruszyła ramionami.

— Tak tylko mówiłam. Nie miałam niczego na myśli.

— Powtórzę ci twoje własne słowa. Powiedziałaś, że my wszyscy tobą pogardzamy, ale ty wiesz wiele o tym, co się dzieje w domu — i że widzisz więcej niż wielu mądrych ludzi — przypomniała Esa. — A potem powiedziałaś, że gdy Hori cię spotyka, patrzy na ciebie, jakbyś nie istniała, jakby zobaczył coś za tobą — coś, czego tam nie ma.

— Zawsze tak patrzy — rzekła Henet pośepnie. — Mogłabym być owadem, patrzy na mnie jak na coś, co się zupełnie nie liczy.

— Zapamiętałam to zdanie — powtórzyła powoli Esa. — Coś z tyłu, coś, czego tam nie było. Henet powiedziała: „Powinien był patrzeć na mnie”. A potem mówiła o Satipy — tak, o Satipy — że była sprytna, a gdzie jest teraz...

Esa rozejrzała się.

— Czy to wam coś mówi? Pomyślcie o Satipy — o Satipy, która nie żyje... I pamiętajcie, że należy patrzeć na osobę, a nie na coś, czego nie ma...

Zapanowała śmiertelna cisza, a potem Henet krzyknęła. To był wysoki, cienki krzyk czystego przerażenia. Darła się niezrozumiale:

— Ja nie... ratuj mnie, panie, nie pozwól jej... Nic nie powiedziałam, nic.

Imhotep wybuchnął gniewem.

— To niewybaczalne! — wrzeszczał. — Nie pozwolę straszyć i oskarżać tej biednej kobiety. Co masz przeciw niej? Sama mówisz, że zupełnie nic.

Jahmose przyłączył się bez swojej zwykłej nieśmiałości.

— Ojciec ma rację. Jeśli masz konkretne oskarżenie przeciw Henet, przedstaw je.

— Nie oskarżam jej — powiedziała Esa.

Oparła się na lasce. Jej postać jakby się skurczyła. Mówiła wolno i ciężko.

Jahmose odwrócił się z powagą do Henet.

— Esa nie oskarża cię o złe rzeczy, które się wydarzyły, ale jak ją rozumiem, myśli, że wiesz coś, co próbujesz ukryć. Dlatego, Henet, jeśli wiesz cokolwiek o Horim czy o kimś innym, nadszedł czas, abys powiedziała. Tutaj wobec nas wszystkich. Co wiesz?

Henet potrząsnęła głową.

— Nic.

— Czy jesteś tego zupełnie pewna? Niebezpiecznie jest wiedzieć.

— Nic nie wiem. Przysięgam. Przysięgam na dziewięciu bogów Enneady, na boginię Maat, na samego Ra. — Henet trzęsła się. Jej głos nie był już zwykłym lamentem. Brzmiał szczerze i było w nim przerażenie.

Esa westchnęła głęboko, pochyliła się i mruknęła:

— Pomóżcie mi wrócić do domu.

Hori i Renisenb podeszli do niej szybko.

— Nie ty. Renisenb. Niech idzie Hori — zażyczyła sobie babcia.

Wsparła się na nim i poprowadził ją do jej pokojów. Widziała, że był napięty i smutny.

— W porządku, Hori? — mruknęła.

— Byłaś niemądra, Eso, bardzo niemądra.

— Musiałam wiedzieć.

— Ale bardzo ryzykujesz.

— Wiem. Więc myślisz tak samo?

— Myślałem o tym od jakiegoś czasu, ale nie miałem dowodu, ani cienia dowodu.

I nawet teraz, Eso, nie masz dowodu. To tylko domysły.

— Wystarczy, że wiem.

— To może być zbyt wiele.

— Co masz na myśli? Och, tak, oczywiście.

— Strzeż się, Eso. Od tej chwili jesteś w niebezpieczeństwie.

— Musimy spróbować i działać szybko.

— Tak, ale co możemy zrobić? Musimy mieć dowód.

— Wiem.

Nic więcej nie zdążyli powiedzieć, ponieważ przybiegła niewolnica Esy. Hori pozostawił ją pod opieką dziewczynki i wyszedł. Był poważnie zmartwiony.

Mała niewolnica trajkotała i krzątała się wokół Esy, ale Esa ledwie ją zauważała. Czowała się stara, chora, było jej zimno... Raz jeszcze zobaczyła krąg twarzy patrzących na nią, gdy mówiła.

I jedno spojrzenie, chwilowy błysk strachu i zrozumienia. Czy mogła się mylić? Czy była tak pewna tego, co widziała? W końcu jej oczy są słabe...

Tak, była pewna. To było mniej niż wyraz twarzy, raczej nagłe napięcie całego ciała. Jej słowa bez związku tylko dla jednej osoby miały sens. Ten śmiertelny, nieomylny sens prawdy...

Rozdział dziewiętnasty

Drugi miesiąc lata — dzień piętnasty

I

— Co więc teraz powiesz, Renisenb, gdy sprawa została ci przedstawiona?

Renisenb patrzyła niepewnie to na ojca, to na Jahmosego. Czuła się otępiąła i zamroczona.

— Nie wiem — powiedziała drętwą.

— W normalnych warunkach — ciągnął Imhotep — byłoby wiele czasu na dyskusję. Mam innych krewnych, moglibyśmy wybierać i odrzucać kandydatów, aż znaleźlibyśmy dla ciebie najodpowiedniejszego męża. Ale tak... życie jest niepewne. — Głos mu zadrżał, ale mówił dalej: — Tak się sprawy mają, Renisenb. Dzisiaj wszystkim nam trojgu śmierć zagląda w oczy. Jahmosemu, tobie, mnie. Kto z nas będzie następny? Dlatego też wypada mi uporządkować moje sprawy. Gdyby cokolwiek stało się Jahmosemu, ty, moja jedyna córka, będziesz potrzebowała mężczyzny, aby stanął przy tobie, dzielił twoje dziedzictwo i spełniał te obowiązki, których kobieta wypełniać nie może. Kto wie, kiedy i mnie zabraknie? Zarząd nad majątkiem i opiekę nad dziećmi Sobka pozostawiam w moim testamencie w rękach Horiego. Naturalnie jeśli Jahmose umrze. Również opiekę nad dziećmi Jahmosego, ponieważ taka jest jego wola. Czy tak, Jahmose?

Jahmose skinął głową.

— Hori zawsze był mi bardzo bliski. Jest jak członek rodziny.

— To prawda — powiedział Imhotep. — Ale pozostaje faktem, że nie jest członkiem rodziny. A Kameni tak. Dlatego też, biorąc wszystko pod uwagę, w tym momencie jest najlepszym mężem dla Renisenb. Co więc powiesz, Renisenb?

— Nie wiem — powtórzyła znowu Renisenb.

Czuła okropne znużenie.

— Jest przystojny i miły, zgadzasz się?

— O, tak.

— Ale nie chcesz go poślubić? — spytał Jahmose łagodnie.

Renisenb posłała bratu pełne wdzięczności spojrzenie. Zdecydowanie obstawał, aby jej nie przynaglać czy zadrećcać i zmuszać do zrobienia czegokolwiek wbrew jej woli.

— Naprawdę nic wiem, czego chcę — powiedziała spieszenie. — To głupie, wiem, ale dzisiaj jestem głupia. To przez... przez napięcie, w którym żyjemy.

— Z Kamenim u boku będziesz się czuła bezpiecznie — zauważył Imhotep.

— Czy myślałeś o Horim jako ewentualnym mężu dla Renisenb? — spytał ojca Jahmose.

— Cóż, tak, jest taka możliwość...

— Jego żona umarła, kiedy był jeszcze młodym człowiekiem. Renisenb zna go dobrze i lubi go.

Renisenb siedziała jak we śnie, gdy obaj mężczyźni dyskutowali. Omawiali jej małżeństwo, a Jahmose próbował pomóc wybrać to, czego ona chciała, ale czuła się tak pozabawiona życia, jak drewniana lalka Teti.

W końcu odezwała się nagle, przerywając ich rozmowę, nie słuchając nawet, co mają do powiedzenia:

— Poślubię Kameniego, jeśli uważacie, że tak jest dobrze.

Imhotep wydał okrzyk zadowolenia i pobiegł do domu. Jahmose podszedł do siostry. Położył jej rękę na ramieniu.

— Czy chcesz tego małżeństwa, Renisenb? Czy będziesz szczęśliwa?

— Czemu nie miałabym być szczęśliwa? Kameni jest przystojny, wesoły i dobry.

— Wiem. — Jahmose nadal był niezadowolony i patrzył na nią z niepewnością.

— Ale ważne jest twoje szczęście, Renisenb. Nie możesz pozwolić, aby ojciec popchnął cię do czegoś, czego sama nie chcesz. Wiesz, jaki on jest.

— Tak, tak, kiedy coś sobie wbije do głowy, wszyscy musimy się podporządkować.

— Niekoniecznie. — Jahmose mówił stanowczo. — Ja nie ustąpię w tym wypadku, chyba że ty będziesz chciała.

— Och, Jahmose, nigdy nie sprzeciwiasz się ojcu.

— Ale teraz to zrobię. Nie może mnie zmusić, abym się z nim zgadzał, a ja tego nie zrobię.

Renisenb spojrzała na niego. Jak śmiało i zdecydowanie wyglądała jego zwykle tak niezdecydowana twarz!

— Jesteś dla mnie dobry, Jahmose — powiedziała z wdzięcznością. — Ale ja nie ustępuję pod przymusem. Życie tutaj, życie do którego z radością wróciłam, już odeszło. Kameni i ja stworzymy razem nowe życie i będziemy żyli tak jak powinni żyć brat i siostra.

— Jeśli jesteś pewna...

— Jestem pewna — odparła Renisenb i uśmiechnęła się do niego z sympatią.

Wyszła na dziedziniec. Na brzegu jeziora Kameni bawił się z Teti. Renisenb zbliżyła się bardzo cicho i obserwowała ich, podczas gdy oni byli nieświadomi jej obecności. Wydawało się, że Kameni, wesoły jak zawsze, znajdował taką samą przyjemność w zabawie jak dziecko. Serce Renisenb poczuło do niego sympatię. Pomyślała: „Będzie dobrym ojcem dla Teti”.

Kameni odwrócił głowę, ujrzał ją i podniósł się ze śmiechem.

— Zrobiliśmy lalkę Teti kapłanem ka — powiedział. — Składa ofiary i odprawia ceremonie przy grobowcu.

— Ma na imię Meripta — dodała Teti. Była bardzo poważna. — Ma dwoje dzieci i pisarza jak Hori.

Kameni roześmiał się.

— Teti jest bardzo inteligentna — powiedział. — Jest też silna i śliczna.

Przeniósł oczy z dziecka na Renisenb i w ich czułym spojrzeniu Renisenb wyczytała jego myśli — o dzieciach, które ona mu pewnego dnia urodzi.

Wywołało to lekki dreszcz... ale równocześnie nagły, przenikliwy żal. Wolałaby w tej chwili zobaczyć w jego oczach swój własny; wizerunek. Pomyślała: „Dlaczego on nie może widzieć tylko mnie?”

Zaraz jednak uczucie to przeminęło i uśmiechnęła się do niego łagodnie.

— Ojciec rozmawiał ze mną — rzekła.

— I zgadzasz się?

— Zgadzam się.

Powiedziane zostało ostatnie słowo, to był koniec. Wszystko było postanowione. Chciałaby nie czuć się taka zmęczona i odrętwiała.

— Renisenb?

— Tak, Kameni.

— Czy popływasz za mną po rzece dla przyjemności? To właśnie zawsze chciałem z tobą zrobić.

Dziwne, że to powiedział. W pierwszej chwili, gdy tylko go ujrzała, pomyślała o szerokich ramionach Khaya i jego uśmiechniętej twarzy. A teraz zapomniała twarz Khaya i zamiast tego zobaczy pod żaglem na rzece Kameniego, który uśmiecha się do niej.

To przez śmierć. To zrobiła z nią śmierć. Mówi się: „czuję to, czuję tamto” — ale tak się tylko mówi, naprawdę nie czuje się nic. Umarli to umarli. Nie ma czegoś takiego jak pamięć...

Tak, ale jest Teti. Jest życie i ono się odradza, tak jak woda w czasie wylewu porywa stare zboża i przygotowuje glebę dla nowych.

Co to Kait kiedyś powiedziała? „Kobiety w rodzinie muszą trzymać się razem”. Czym ona w końcu była jak nie kobietą w rodzinie — czy była Renisenb czy nie, nie miało znaczenia...

Wtem usłyszała głos Kameniego — nagłący, trochę zmartwiony.

— O czym myślisz, Renisenb? Oddalasz się czasem tak daleko... Czy popływasz ze mną po rzece?

— Tak, Kameni pójdę z tobą.

— Weźmiemy także Teti.

II

To było jak sen, pomyślała Renisenb: łódź i żagiel, i Kameni, ona i Teti. Umknęli śmierci i strachowi przed śmiercią. To był początek nowego życia.

Kameni mówił, a ona odpowiadała jak w transie... „To moje życie — myślała — nie ma ucieczki...” Zaniepokoiła się: „Dlaczego mówię: ucieczka? Dokąd mogłabym uciec?” I znów przed jej oczami wyrosła mała skalna komnata obok grobowca i ona sama siedząca tam z kolanem pod brodą...

„To było to coś poza życiem — pomyślała. — Tu jest życie i nie ma od tego ucieczki aż do śmierci...”

Kameni przycumował łódź i wyszła na brzeg, a on wyniósł Teti. Dziecko przyłgnęło do niego, a jej rączka rozerwała sznureczek, na którym nosił swój amulet. Upadł na ziemię pod nogi Renisenb. Podniosła go. Był to znak Ankh zrobiony z elektrum i złota.

— Zgiął się! Tak mi przykro — zawołała z żalem. — Uważaj — dodała, gdy Kameni brał od niej amulet — może się złamać.

Ale on mocnymi palcami zgiął amulet jeszcze bardziej i przełamał na pół.

— Och, co zrobiłeś?

— Weź połowę, Renisenb, a ja wezmę drugą. To będzie nasz znak — znak, że jesteśmy połowami jednej całości.

Podał go jej i w chwili, gdy wyciągnęła rękę, aby go wziąć, skojarzyła coś i wstrzymała oddech.

— O co chodzi, Renisenb?

— Nofret.

— Co to znaczy „Nofret?”

Renisenb mówiła gładko i pewnie.

— Złamany amulet w kasetce Nofret. To ty jej go dałeś... Ty i Nofret... teraz wszystko rozumiem. Dlaczego była taka nieszczęśliwa. I wiem, kto położył kasetkę z klejnotami w moim pokoju. Wiem wszystko... Nie okłamuj mnie, Kameni. Mówię ci, że wiem.

Kameni nie protestował. Patrzył na nią spokojnie, jego spojrzenie nie drgnęło. Odezwał się poważnym głosem, tym razem bez uśmiechu.

— Nie będę cię okłamywał, Renisenb.

Przerwał na chwilę, marszcząc brwi, jakby próbował ułożyć myśli.

— W pewnym sensie cieszę się, że wiesz. Chociaż to nie jest całkiem tak, jak myślisz.

— Dałeś jej złamany amulet, tak jak dałeś go mnie. Jako znak, że jesteście połowami jednej całości. Takie były twoje słowa.

— Jesteś zła, Renisenb. Cieszę się, bo to znaczy, że mnie kochasz. Ale tak czy inaczej muszę ci wytłumaczyć, abyś zrozumiała. Nie dałem Nofret amuletu. To ona mi go dała... Może mi nie uwierzysz, ale to prawda. Przysięgam, że to prawda.

— Nie mówię, że ci nie wierzę... To może być prawda. Przed jej oczami wyrosła ciemna, nieszczęśliwa twarz Nofret.

Kameni mówił dalej, gorliwie, z chłopięcym zapałem...

— Spróbuj zrozumieć, Renisenb. Nofret była bardzo piękna. Schlebiało mi to i sprawiało przyjemność — komu by nie sprawiało? Ale nigdy naprawdę jej nie kochałem...

Renisenb poczuła dziwne ukłucie litości. Nie, Kameni nie kochał Nofret, ale ona go kochała. Kochała go rozpaczliwie i gorzko. W tym samym miejscu na brzegu Nilu rozmawiała z nią tamtego ranka, ofiarowując jej swoją przyjaźń i sympatię. Pamiętała aż nazbyt dobrze ciemną falę nienawiści i rozpacz na twarzy dziewczyny. Teraz знаła już przyczynę. Biedna Nofret — konkubina zrzędlivego starca zżerana miłością do wesołego, lekkomyślnego, przystojnego młodego mężczyzny, który dbał o nią mało albo wcale.

Kameni ciągnął dalej.

— Czy nie rozumiesz, Renisenb, że gdy tylko tu przyjechałem, zobaczyłem cię i pokochałem? Że od tej chwili nie myślałem o nikim innym? Nofret widziała to wystarczająco wyraźnie.

„Tak — pomyślała Renisenb — Nofret to widziała. Nofret nienawidziła mnie od tej chwili.” Renisenb nie była skłonna winić jej za to.

— Nie chciałem nawet napisać listu do twego ojca. Nie chciałem mieć nic wspólnego z planami Nofret. Ale to było trudne. Musisz spróbować zrozumieć, że to było trudne.

— Tak, tak — odparła niecierpliwie. — To wszystko nie ma znaczenia. Tylko Nofret ma znaczenie. Ona była bardzo nieszczęśliwa. Myślę, że bardzo cię kochała.

— Cóż, ja jej nie kochałem — powiedział Kameni zniecierpliwiony.

— Jesteś okrutny — odparła Renisenb.

— Nie, jestem mężczyzną, to wszystko. Jeśli kobieta sama chce się unieszczęśliwić z mojego powodu, denerwuje mnie to, taka jest prawda. Chciałem ciebie. Och, Renisenb, nie możesz być na mnie o to zła?

Uśmiechnęła się wbrew sobie.

— Nie pozwól, aby Nofret, która przecież nie żyje, siała niezgodę między nami, żyjącymi. Kocham cię, Renisenb. i ty mnie kochasz, i tylko to się liczy.

„Tak — pomyślała znowu Renisenb — tylko to się liczy...”

Patrzyła na Kameniego, stojącego z lekko przechyloną na bok głową i błagalnym wyrazem na wesołej, ufnej twarzy. Był bardzo młody.

Renisenb pomyślała: „On ma rację. Nofret nic żyje, a my żyjemy. Rozumiem jej nieważność do mnie i jest mi przykro, że cierpiała, ale to nie moja wina. I także nie wina Kameniego, że kochał mnie, a nie ją. Takie rzeczy się zdarzają.”

Teti, która przez cały czas bawiła się na brzegu rzeki, podeszła i pociągnęła matkę za rękę.

— Chodźmy do domu, mamó, chodźmy do domu.

Renisenb westchnęła głęboko.

— Tak — powiedziała — idziemy do domu.

Poszli w stronę domu, Teti biegła kilka kroków przed nimi. Kameni westchnął z zadowoleniem.

— Jesteś równie wspaniałomyślna, jak piękna. Czy wszystko między nami jest tak, jak było?

— Tak, Kameni. Wszystko jest tak, jak było.

— Tam, na rzece, byłem bardzo szczęśliwy — szepnął. — Czy ty także byłaś szczęśliwa, Renisenb?

— Tak, byłem szczęśliwa.

— Wyglądałaś na szczęśliwą. Ale też wyglądałaś, jakby twoje myśli odbiegły gdzieś bardzo daleko. Chcę, żebyś myślała o mnie.

— Myślałam o tobie.

Wziął ją za rękę, a ona nie wrywała się. Zaśpiewał bardzo cichutko:

— *Moja siostra jest jak drzewo persei...*

Poczuł, że jej dłoń drży, usłyszał jej przyspieszony oddech i w końcu był zadowolony...

III

Renisenb zawołała Henet do swojego pokoju.

Henet weszła spiesznie i zatrzymała się nagle, gdy ujrzała Renisenb stojącą nad otwartym pudełkiem z klejnotami, ze złamanym amuletem w ręce. Twarz Renisenb była surowa i gniewna.

— To ty położyłaś to pudełko w moim pokoju, prawda Henet? Chciałaś, żebym znalazła amulet. Chciałaś, żebym pewnego dnia... odkryła, kto ma drugą połowę?

— Widzę, że już odkryłaś. Cóż, zawsze dobrze jest wiedzieć, prawda Renisenb?

Henet roześmiała się złośliwie.

— Chciałabyś, żeby ta wiadomość mnie zraniła — powiedziała Renisenb z wściekłością. — Lubisz ranić ludzi, prawda, Henet? Czekasz, aż nadejdzie najlepszy moment. Nienawidzisz nas wszystkich, prawda? Zawsze nienawidziłaś.

— Cóż ty za rzeczy opowiadasz, Renisenb! Jestem pewna, że tak nie myślisz.

Ale nie było teraz skomlenia w jej głosie tylko szelmowski triumf.

— Chciałaś skłócić mnie z Kamenim. Cóż, nie ma żadnej kłótni.

— To bardzo ładnie i wspaniałomyślnie z twojej strony. Jesteś zupełnie inna niż Nofret, prawda?

— Nie rozmawiajmy o Nofret.

— Nie. Może lepiej nie. Kameni ma tyle szczęścia, co urody. Mam na myśli to, że miał szczęście, że Nofret umarła wtedy, kiedy umarła. Mogła mu narobić mnóstwo kłopotów. Z twoim ojcem. Nie podobałoby jej się twoje małżeństwo z nim — nie, wcale by jej się nie podobało. Sądzę, że znalazłaby jakiś sposób, żeby temu przeszkodzić. Jestem zupełnie pewna, że tak by było.

Renisenb spojrzała na nią z zimną niechęcią.

— Zawsze masz truciznę na języku, Henet. Żądliś jak skorpion. Ale nie unieszczęśliwisz mnie.

— Och, to wspaniale, prawda? Musisz być bardzo zakochana. O, Kameni jest przystojnym młodym mężczyzną... i wie, jak śpiewać śliczne pieśni miłosne. Nie bój się, zawsze dostanie to, czego chce. Podziwiam go, naprawdę. Zawsze jest taki prosty i bezpośredni.

— Co próbujesz powiedzieć, Henet?

— Mówię po prostu, że podziwiam Kameniego. Jestem całkiem pewna, że jest prosty i bezpośredni. To nie poza. Cała sprawa przypomina jedną z tych opowieści recytowanych na bazarach. Biedny, młody skryba poślubia córkę swego pana, dzieli z nią dziedzictwo i żyją długo i szczęśliwie. Zadziwiające, jakim szczęściarzem okazuje się zawsze przystojny młody człowiek.

— Mam racje — powiedziała Renisenb. — Ty nas nienawidzisz.

— Jak możesz tak mówić, Renisenb, skoro wiesz, jak służyłam wam od śmierci waszej matki?

W jej głosie nadal brzmiał złowrogi triumf zamiast zwykłego jęku.

Renisenb spojrzała znowu na kasetkę z klejnotami i nagle kolejna myśl zamieniła się w pewność w jej umyśle.

— To ty włożyłaś naszyjnik z lwami do kasetki. Nic zaprzeczaj, Henet. Wiem, że to ty.

— Nie mogłam nic na to poradzić, Renisenb. Bałam się... — Henet przestała triumfować. Wyglądała nagle na przestraszoną.

— Co to znaczy „bałam się”?

— Ona mi go dała... to znaczy Nofret. Niedługo przed śmiercią. Dała mi jeden lub dwa... prezenty. Nofret była bardzo hojna. O tak, zawsze była bardzo hojna.

— Nie wątpię, że dobrze ci płaciła.

— Nie ujęłaś tego zbyt ładnie, Renisenb. Ale mówię ci, jak było. Dała mi naszyjnik z lwami i ametystową spinkę i jedną czy dwie inne rzeczy. A potem, gdy ten chłopiec opowiedział, że widział kobietę w takim naszyjniku, przestraszyłam się. Pomyślałam, że będziecie pewnie sądzić, że to ja zatrułam wino Jahmosego. Więc włożyłam naszyjnik do pudełka.

— Czy taka jest prawda, Henet? Czy ty kiedykolwiek mówisz prawdę?

— Przysięgam, że to prawda, Renisenb. Bałam się...

Renisenb spojrzała na nią zdziwiona.

— Trzęsiesz się, Henet. Wyglądasz, jakbyś naprawdę się bała.

— Tak, boję się... Mam powód.

— Jaki? Powiedz mi.

Henet oblizwała wargi. Spojrzała na boki i za siebie. Jej oczy przypominały oczy zaszutego zwierzęcia.

— Powiedz mi — powtórzyła Renisenb.

Henet pokręciła głową.

— Nie mam nic do powiedzenia — rzekła niepewnie.

— Za dużo wiesz, Henet. Zawsze za dużo wiedziałaś. Podobało ci się to, ale teraz to niebezpieczne. O to chodzi, prawda?

Henet raz jeszcze pokręciła głową i roześmiała się złośliwie.

— Poczekaj, Renisenb. Pewnego dnia ja będę rządzić w tym domu. Zobaczysz.

Renisenb cofnęła się.

— Mnie nie skrzywdzisz. Moja matka nie pozwoliłaby ci na to.

Twarz Henet zmieniła się. Jej oczy płonęły.

— Nienawidziłam twojej matki. Zawsze jej nienawidziłam... A ty masz jej oczy i jej głos, jej urodę i jej arogancję. Nienawidzę ciebie, Renisenb.

Renisenb roześmiała się.

— Nareszcie! Zmusiłam cię, żebyś to powiedziała.

Rozdział dwudziesty

Drugi miesiąc lata — dzień piętnasty (c.d.)

I

Stara Esa weszła do swego pokoju kuśtykając z wysiłkiem.

Była niespokojna i bardzo zmęczona. Zdawała sobie sprawę, że wiek zbiera w końcu swoje żniwo. Jak dotąd godziła się ze słabością swego ciała, ale świadoma była, że to zmęczenie nie dotyczy jej umysłu. Ale teraz musiała przyznać, że napięcie spowodowane ciągłym wysiłkiem umysłowym wyczerpało zasoby jej ciała.

Jeśli wiedziała teraz, tak jak sądziła, gdzie czai się niebezpieczeństwo, wiedza ta nie dawała jej żadnego umysłowego wytchnienia. Przeciwnie, musiała bardziej mieć się na baczności, ponieważ specjalnie skupiła na sobie uwagę. Dowód, dowód... musiała zdobyć dowód... Ale jak?

Wtedy właśnie zdała sobie sprawę, że jej wiek obrócił się przeciw niej. Była zbyt zmęczona, żeby improwizować, aby zrobić jakiś twórczy wysiłek umysłowy. Wszystko, do czego była zdolna, to obrona — pozostać czujną, mieć się na baczności. Ponieważ zabójca — nie miała co do tego żadnych wątpliwości — jest gotowy zabić znowu.

Cóż, nie miała ochoty być następną ofiarą. Była pewna, że zostanie użyta trucizna. Użycie siły nie wchodziło w grę, ponieważ nigdy nie była sama, zawsze otaczała ją służba. Więc mogłaby to być tylko trucizna. Postara się temu zaradzić. Renisenb będzie gotowała jej posiłki i przynosiła do pokoju. Miała w pokoju stojak na wino i dzban, a kiedy niewolnik je kosztował, zawsze czekała dwadzieścia cztery godziny, aby mieć pewność, że nie spowodowało żadnych złych skutków. Uprosiła Renisenb, aby wspólnie jadły i piły, chociaż właściwie nie obawiała się o nią... jeszcze. Możliwe, że życie Renisenb nigdy nie będzie zagrożone. Ale tego nie mogła być pewna.

Chwilami siedziała bez ruchu, skupiając umysł na obmyślaniu sposobów na udowodnienie prawdy lub obserwując swoją małą pokojówkę, gdy ta krochmaliała i układała lniane suknie lub nawlekała naszyjniki i bransolety. Tego wieczoru była bardzo zmę-

czona. Na prośbę Imhotepa omawiała z nim problem małżeństwa Renisenb, zanim on zdecyduje się porozmawiać z córką.

Imhotep, skurczony i rozdrażniony, był cieniem samego siebie. Nie był już zarozumiałym i wyniosłym. Poddał się nieugiętej woli i zdecydowaniu matki. Esa natomiast bała się, bardzo się bała powiedzieć coś złego. Jej nieroztropne słowa mogły zaważyć na życiu ludzi.

W końcu jednakże powiedziała, że pomysł małżeństwa był dobry. I nie było czasu na szukanie męża pośród ważniejszych członków klanu rodzinnego. Ostatecznie ważna była linia żeńska. Mąż będzie tylko administratorem dziedzictwa, które przypadało Renisenb i jej dzieciom.

Tak więc pojawiło się pytanie: czy wybrać Horiego — człowieka prawego, starego i sprawdzonego przyjaciela, syna drobnego właściciela ziemskiego, którego majątek przylegał do ich własnego, czy też Kameniego, który twierdził, że jest spokrewniony z rodziną.

Esa rozważyła sprawę gruntownie. Jedno fałszywe słowo i rezultatem mogła być katastrofa. W końcu powiedziała, że Kameni był bez wątpienia odpowiednim mężem dla Renisenb. Ich zaręczyny i uroczystości towarzyszące — znacznie skrócone z powodu żałoby — mogłyby odbyć się za tydzień. Oczywiście, jeśli Renisenb się zgodzi. Kameni jest pięknym młodzieńcem. Mogą mieć silne dzieci. Ponadto tych dwoje kochało się.

No... pomyślała Esa... kości zostały rzucone. Wszystko potoczy się teraz samo. Nie ma już na to wpływu. Zrobiła to, co uważała za stosowne. Jeśli było to ryzykowne — cóż, Esa lubiła grę podobnie jak kiedyś Ipy. Życie nie jest bezpieczną zabawą; żeby wygrać, trzeba ryzykować.

Rozejrzała się podejrzliwie po pokoju. Szczególnie uważnie zbadła dzban z winem. Był przykryty i zaplombowany, tak jak go zostawiła. Zawsze plombowała go wychodząc z pokoju i plomba wisiała nietknięta wokół jego szyjki.

Tak — w tych sprawach nie mogła ryzykować. Zachichotała ze złośliwą satysfakcją. Nie tak łatwo zabić staruszkę. Staruszki znają cenę życia — a także większość sztuczek. Zawołała małą niewolnicę.

— Wiesz, gdzie jest Hori?

Dziewczynka odparła, że Hori prawdopodobnie był na górze, w kamiennej komnacie grobowca. Esa skinęła z zadowoleniem.

— Idź tam do niego. Powiedz mu, że ma do mnie przyjść jutro rano, kiedy Imhotep i Jahmose pójdą na plantację biorąc z sobą Kameniego i kiedy Kait będzie z dziećmi nad jeziorem. Zrozumiałaś? Powtórz.

Dziewczynka powtórzyła i Esa wysłała ją w drogę.

Tak, jej plan jest dobry. Narada z Horim będzie zupełnie prywatna, ponieważ odeśle Henet do tkalni.

Ostrzeże Horiego przed tym, co miało się stać i porozmawiają swobodnie.

Kiedy już wszystko ustaliła, zmęczenie rozlało się po jej ciele jak powódź. Kazała dziewczynie przynieść naczynie ze słodko pachnącą maścią i wymasować ciało.

Masaż uspokoił ją, a maść rozgrzała bolące kości.

W końcu wyciągnęła się, oparła głowę na drewnianym podgłówku i zasnęła. Jej obawy na chwilę ucichły.

Obudziła się z dziwnym uczuciem zimna. Jej stopy i ręce były zdrętwiałe i martwe... To było jak skurcz ogarniający całe ciało. Czuła, jak drętwiał jej mózg, paralizując wolę, zwalniając bicie serca.

„To śmierć” — pomyślała.

Dziwna śmierć — nie zapowiedziana, bez ostrzeżenia.

„Tak — pomyślała — umierają starcy...”

A potem nabrała pewności. To nie była naturalna śmierć! To był wróg uderzający z ukrycia.

Trucizna...

Ale jak? Kiedy? Wszystko, co jadła, wszystko, co piła, było sprawdzone, pewne. Więc jak? Kiedy?

Ostatnim przebłyskiem inteligencji Esa próbowała wyjaśnić tajemnicę. Musi wiedzieć przed śmiercią.

Czuła wzrastający ucisk w sercu... śmiertelny chłód... powolne, bolesne wdechy.

Jak wróg to zrobił?

I nagle pamięć przysła jej z pomocą. Ogolona skóra jagnięcia... grudka cuchnącego tłuszczu... Doświadczenie jej ojca pokazujące, że pewne trucizny mogą być wchłaniane przez skórę. Maści uzyskiwane z tłuszczów zawartych w wełnie. Tak właśnie wróg jej dosięgnął. Naczynie ze słodko pachnącą maścią, tak potrzebne egipskiej kobiecie. W tym była trucizna...

A jutro Hori nie będzie wiedział, nie powie mu... jest za późno.

Rano przestraszona niewolnica biegła przez dom krzycząc, że jej pani umarła we śnie.

II

Imhotep patrzył na ciało Esy. Był zasmucony, ale nie podejrzliwy.

Jego matka, powiedział, umarła śmiercią naturalną z powodu starości.

— Była stara — mówił. — Tak, była stara. Bez wątpienia przyszedł czas, aby odeszła do Ozyrysa i wszystkie jej kłopoty i smutki się skończyły. Ale wydaje się, że śmierć miała spokojną. Dzięki Ra za jego łaskę! Tej śmierci nie spowodowały żadne złe duchy. Nie była sprowadzona przemocą. Patrzcie, jak spokojnie wygląda.

Renisenb płakała i Jahmose pocieszał ją. Henet chodziła wzdychając i kręcąc głową, powtarzając, jaką stratą była śmierć Esy i jak ona, Henet, była jej zawsze oddana. Kameni przestał śpiewać i przybrał odpowiednio żałobny wyraz twarzy.

Nadszedł Hori i spojrzał na zmarłą. To była godzina, na którą go wezwała. Zastanawiał się, co dokładnie chciała mu powiedzieć.

To było coś konkretnego. Teraz nigdy się nie dowie. Ale pomyślał, że może mógłby zgadnąć...

Rozdział dwudziesty pierwszy

Drugi miesiąc lata — dzień szesnasty

I

— Hori, czy ona została zabita?

— Tak sądzę, Renisenb.

— Jak?

— Nie wiem.

— Ale była taka ostrożna. — Dziewczyna była zrozpaczona i oszołomiona. — Zawsze miała się na baczności. Zachowywała wszelkie środki ostrożności. Wszystko, co jadła i co piła, było sprawdzane.

— Wiem, Renisenb. Mimo wszystko uważam, że została zabita.

— I była najmądrzejsza z nas wszystkich, najsprytniejsza! Była pewna, że nic złego jej się nie stanie. Hori, to musi być magia! Czarna magia, przekleństwo złego ducha.

— Wierzysz w to, ponieważ tak jest najłatwiej. Ludzie tacy są. Ale Esa nie wierzyła. Gdyby wiedziała — gdyby nie umarła we śnie — zgodziłaby się ze mną, że to sprawka żyjącej osoby.

— I wiedziałaby czyja?

— Tak. Aż nazbyt wyraźnie wyjawiała swoje podejrzenia. Stała się niebezpieczna dla wroga. Fakt, że umarła, dowodzi, że jej podejrzenia były słuszne.

— I powiedziała ci... kto to jest?

— Nie — odparł Hori. — Nie powiedziała mi. Nigdy nie wymówiła imienia. Mimo to jestem przekonany, że jej myśli były takie same jak moje.

— Wobec tego musisz mi powiedzieć, Hori, żebym się miała na baczności.

— Nie, Renisenb, za bardzo zależy mi na twoim bezpieczeństwie, żebym to zrobił.

— Więc jestem bezpieczna?

Twarz Horiego pociemniała.

— Nie, Renisenb, nie jesteś bezpieczna. Nikt nie jest bezpieczny. Ale jesteś o wiele bezpieczniejsza, niż gdybyś знаła prawdę, ponieważ wtedy stanowiłabyś oczywiste zagrożenie, które powinno być zlikwidowane niezależnie od ryzyka.

— A ty, Hori? Ty wiesz.

Poprawił ją:

— Myślę, że wiem. Ale nic nie powiedziałem i nie dałem po sobie poznać. Esa była niemądra. Powiedziała za dużo. Pokazała, w którym kierunku podążają jej myśli. Nic powinna była tego robić. Powiedziałem jej to, ale było już za późno.

— Ale ty Hori... Jeśli cokolwiek ci się stanie... — Przerwała. Poczwała, że Hori patrzy na nią.

Poważne, skupione spojrzenie prosto w jej umysł i serce...

Wziął ją za rękę i trzymał delikatnie.

— Nie bój się o mnie, mała Renisenb... Wszystko będzie dobrze.

„Tak — pomyślała — rzeczywiście wszystko będzie dobrze. Jeśli Hori tak mówi. Dziwne, to uczucie zadowolenia, spokoju, szczęścia... Tak piękne i tak dalekie, jak odległy widok z góry, z grobowca — widok, w którym nie było wrzawy ludzkich żądań i nakazów.”

Nagle usłyszała swój niemal szorstki głos:

— Mam poślubić Kameniego.

Hori puścił jej rękę — spokojnie i całkiem naturalnie.

— Wiem, Renisenb.

— Oni... mój ojciec... oni myślą, że tak jest najlepiej.

— Wiem.

Odsunął się.

Ściany dziedzińca jakby się przybliżyły, głosy w domu i ze spichlerza brzmiały głośniejsz i hałaśliwiej. Renisenb myślała tylko o jednym: „Hori odchodzi...” Zawołała do niego nieśmiało:

— Hori, gdzie idziesz?

— W pole z Jahmosem. Mam mnóstwo pracy. Zbiory prawie zakończone.

— A Kameni?

— Kameni idzie z nami.

— Boję się być tutaj — zawołała Renisenb. — Tak, nawet w ciągu dnia, gdy służba jest wokoło i Ra żeglkuje przez niebiosy, boję się.

Szybko zawrócił.

— Nie bój się, Renisenb. Przysięgam, że nie musisz się bać. Nie dzisiaj.

— A gdy minie dzisiaj?

— Dzisiaj wystarczy, żeby żyć, a przysięgam ci, że dzisiaj nic ci nie grozi.

Renisenb spojrzała na niego i zmarszczyła czoło.

— Ale jesteśmy w niebezpieczeństwie? Jahmose, ojciec, ja? To nie mnie pierwszej grozi niebezpieczeństwo... czy to właśnie masz na myśli?

— Próbuj o tym nie myśleć, Renisenb. Robię, co mogę, chociaż może ci się wydawać, że nic nie robię.

— Rozumiem — Renisenb spojrzała na niego w zamyśleniu. — Tak, rozumiem. To Jahmose ma być pierwszy. Wróg dwa razy próbował trucizny i nie udało mu się. Będzie trzecia próba. Dlatego chcesz być blisko niego — aby go ochraniać. A potem przyjdzie kolej na ojca i na mnie. Kto nienawidzi naszej rodziny aż tak bardzo, że...

— Cicho. Nie powinnaś mówić o tych sprawach. Zaufaj mi, Renisenb. Spróbuj wyrzucić strach ze swoich myśli.

Renisenb odrzuciła w tył głowę. Patrzyła na niego dumnie.

— Ufam ci, Hori. Nie pozwolisz, żebym umarła... Bardzo kocham życie i nie chcę go stracić.

— Nie stracisz go, Renisenb.

— Ani ty, Hori.

— Ani ja.

Uśmiechnęli się do siebie i Hori poszedł odszukać Jahmosego.

II

Renisenb przysiadła na piętach i obserwowała Kait.

Kait pomagała dzieciom lepić zabawki z gliny i wody z jeziora. Ugniatała i formowała glinę zachęcając dwóch poważnych małych chłopców do tego zajęcia. Jej twarz była taka jak zwykle, czuła, brzydka, bez wyrazu. Panująca wkoło atmosfera śmierci i strachu zdawała się nie mieć na nią żadnego wpływu...

Hori błagał Renisenb, aby nie myślała, ale nie mogła go posłuchać. Jeśli Hori znał wroga, jeśli Esa go znała, nie było żadnego powodu, żeby ona nie miała znać go także. Może byłaby bezpieczniejsza nie wiedząc, ale żadna ludzka istota nie byłaby z tego zadowolona. Chciała wiedzieć.

To musiało być bardzo proste, naprawdę bardzo proste. To jasne, że jej ojciec nie mógł chcieć śmierci własnych dzieci. Został tylko, kto został? Zostały tylko dwie osoby: Kait i Henet.

Kobiety...

I z pewnością nie miały powodu, by zabijać...

A jednak Henet nienawidziła ich wszystkich... Tak, bez wątpienia Henet nienawidziła ich. Przyznała, że nienawidzi Renisenb. Dlaczego więc nie miałyby równie mocno nienawidzić pozostałych?

Renisenb próbowała zgłębić mroczne zakamarki udręczonego mózgu Henet. Żyła tutaj wszystkie te lata, pracując, obnosząc swoje poświęcenie, kłamiąc, szpiegując, siejąc niezgodę... Przybyła dawno temu, jako uboga krewna pięknej i wielkiej damy. Patrzyła, jak piękna dama żyje szczęśliwie z mężem i dziećmi. A ją porzucił mąż, jedyne dziecko umarło... Tak, tak to musiało być. Jak rana od ukłucia dzidy, którą Renisenb kiedyś widziała. Zagoiła się szybko na powierzchni, ale wewnątrz ropiała, a ramię spuchło i stwardniało. A potem przyszedł lekarz i wymawiając odpowiednie zaklęcia, wbił mały nóż w twardą, spuchniętą, zniekształconą kończynę. To było jak przerwanie tamy irygacyjnej. Wylała się wielka fala wstrętnej cuchnącej cieczy...

To samo, być może, działo się z umysłem Henet. Smutek i krzywda zbyt szybko złągodniały, a wewnątrz pozostała trucizna, wzbierająca wielką falą nienawiści i jadu.

Ale czy Henet nienawidziła Imhotepa? Na pewno nie. Przez lata schlebiała mu i płaszczyła się przed nim... Wierzył jej bez zastrzeżeń. Z pewnością to poświęcenie nie mogło być całkowicie udawane.

A jeśli była mu oddana, czy mogła z premedytacją zadawać mu smutek i cierpienie?

Przypuśćmy jednak, że i jego nienawidziła, że zawsze go nienawidziła. Specjalnie mu schlebiała, chcąc wykazać jego słabość? Przypuśćmy, że Imhotepa nienawidziła najbardziej? Wówczas w czymże ten wykoślawiony, przeżarty złem umysł znalazłby większą przyjemność jak nie w tym właśnie: pozwolić mu patrzeć, jak jedno po drugim umierają jego dzieci...?

— Co się stało, Renisenb? — Kait wpatrywała się w nią. — Dziwnie wyglądasz.

Renisenb wstała.

— Czuję się, jakbym miała zwymiotować — powiedziała.

W pewnym sensie była to prawda. Obraz, który podsunęła jej wyobraźnia, przyprawił ją o mdłości. Kait zadowolona się tym wyjaśnieniem.

— Zjadłś za dużo zielonych daktyli... albo może nieświeżą rybę.

— Nie, nie, to nie od jedzenia. To ten koszmar, który przeżywamy.

— Och, to — głos Kait zabrzmiał tak nonszalancko i obojętnie, że Renisenb spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami.

— Czy ty się nie boisz, Kait?

— Nie, nie sądzę — odparła Kait po zastanowieniu. — Jeśli cokolwiek stanie się Imhotepowi, dzieci będą pod opieką Horiego. Hori jest uczciwy. Będzie strzegł ich dziedzictwa.

— To raczej Jahmose.

— Jahmose także umrze.

— Kait, mówisz to tak spokojnie. Czy cię to wcale nie obchodzi? To znaczy, że mój ojciec i Jahmose umrą?

Kait zastanowiła się i wzruszyła ramionami.

— Obie jesteśmy kobietami, bądźmy więc szczerze. Imhotepa uważałam zawsze za niesprawiedliwego tyrana. Zachował się ohydnie w całej tej historii ze swoją konkubina. Za jej namową chciał wydziedziczyć swoje własne potomstwo. Nigdy nic lubiłam Imhotepa. Co do Jahmosego, jest niczym. Satipy nim rządziła. Ostatnio, od kiedy odeszła, zrobił się ważny, wydaje rozkazy. Zawsze będzie wolał swoje dzieci niż moje — to naturalne. Więc jeśli ma umrzeć, moje dzieci na tym skorzystają. Tak to widzę. Hori nie ma dzieci i jest sprawiedliwy. Wszystkie te wydarzenia są niepokojące, ale pomyślałam niedawno, że w rezultacie bardzo możliwe, że wyjdą nam na dobre.

— Możesz tak o tym mówić, Kait? Tak spokojnie, tak zimno? Kiedy twój własny mąż, którego kochałaś, pierwszy został zabity?

Kait spojrzała na Renisenb wzrokiem, który zdawał się wyrażać pogardliwą ironię.

— Czasami jesteś jak Teti, Renisenb. Naprawdę, można by przysiąc, że nie starsza.

— Nie opłakujesz Sobka — Renisenb wypowiedziała te słowa powoli — zauważyłam to.

— Ależ Renisenb, wypełniłam wszystkie obowiązki. Wiem, jak powinna się zachowywać młoda wdowa.

— Tak... i nic więcej... to znaczy, że nie kochałaś Sobka?

Kait wzruszyła ramionami.

— Dlaczego miałabym go kochać?

— Kait! Był twoim mężem... dał ci dzieci.

Twarz Kait złagodniała. Spojrzała na dwóch małych chłopców zaabsorbowanych lepieniem z gliny, a potem na Ankh, która turlała się po trawie gaworząc i wymachując małymi nóżkami.

— Tak, dał mi dzieci. Dziękuję mu za to. Ale, w końcu, czym on był? Przystojnym samochwałą, mężczyzną, który zawsze chodził do innych kobiet. Nie wziął sobie siostry do domu, przyzwoicie, jakiejś skromnej osoby, z której mielibyśmy pożytek. Nie, chodził do domów o złej sławie, przepuszczał tam mnóstwo miedzi i złota, pił za dużo i żądał najdroższych dziewcząt. To szczęście, że Imhotep trzymał go tak krótko i że musiał tak dokładnie rozliczać się z wydatków w majątku. Jakaż miłość i szacunek mogłabym mieć do takiego mężczyzny? A poza tym, czymże są mężczyźni? Są potrzebni, by płodzić dzieci, to wszystko. Ale siła rasy tkwi w kobietach. To my, Renisenb, przekazujemy naszym dzieciom wszystko, co do nas należy. Co do mężczyzn, pozwólmy im płodzić i umierać młodo...

Pogarda i lekceważenie w głosie Kait przybrały na sile. Jej brzydka twarz była zmieniona.

Renisenb pomyślała z przerażeniem:

„Kait jest silna. Jeśli jest głupia, to jest to głupota zadowolona z samej siebie. Nienawidzi i gardzi mężczyznami. Powinna była wiedzieć. Kiedyś już zauważyłam mgnienie tej groźnej cechy. Tak. Kait jest silna...”

Wzrok Renisenb spoczął bezwiednie na dłoniach Kait. Ścisnęły i ugniały glinę — mocne, muskularne ręce. Patrząc, jak ugniały glinę, pomyślała o Ipy i mocnych rękach, które wepchnęły jego głowę pod wodę i przytrzymały ją bez trudu. Tak, ręce Kait mogły to zrobić...

Dziewczynka, Ankh, ukłula się cierniem i podniosła lament. Kait pobiegła do niej. Podniosła ją i trzymając blisko przy piersi śpiewała jękliwie. Jej twarz była teraz miłością i czułością. Henet zbiegła z ganku.

— Czy coś się stało? Dziecko tak głośno płakało. Myślałam, że może...

Na jej gorliwej, podłej, złośliwej twarzy, pełnej nadziei na katastrofę, odmalowało się rozczarowanie.

Renisenb patrzyła to na jedną, to na drugą kobietę. Nienawiść na jednej twarzy. Miłość na drugiej. Zastanawiała się, co było straszniejsze.

III

— Jahmose, uważaj, uważaj na Kait.

— Na Kait? — Jahmose był zdziwiony. — Moja droga Renisenb...

— Mówię ci, ona jest niebezpieczna.

— Nasza spokojna Kait? Zawsze była łagodna, uległa, nie bardzo bystra...

Renisenb przerwała mu.

— Nie jest ani łagodna, ani uległa. Boję się jej, Jahmose. Chcę, żebyś miał się na baczności.

— Przed Kait? — spytał z niedowierzaniem. — Nie bardzo mogę wyobrazić sobie Kait siejącą wokół śmierć. Nie starczyłoby jej na to rozumu.

— Nie sądzę, żeby rozum był tutaj ważny. Znajomość trucizn — tylko tyle trzeba. A wiesz, że taka wiedza w pewnych rodzinach przekazywana jest z matki na córkę. Same robią wywary z mocnych ziół. To rodzaj nauki, którą Kait mogłaby osiąść z łatwością. Przygotowuje lekarstwa dla dzieci, kiedy są chore, wiesz przecież.

— Tak, to prawda — odparł Jahmose zamyślony.

— Henet także jest złą kobietą — mówiła dalej Renisenb.

— Henet — tak. Nigdy jej nie lubiliśmy. Właściwie, gdyby nie opieka ojca...

— Ojciec dał się jej oszukać — powiedziała Renisenb.

— To możliwe. — Jahmose dodał rzeczowym tonem: — Schlebia mu.

Renisenb patrzyła na niego przez chwilę zdumiona. Pierwszy raz usłyszała Jahmosego wypowiadającego krytyczne słowo o Imhotepie. Ojciec zawsze go onieśmiał.

Uświadomiła sobie, że teraz Jahmose stopniowo przejmuje ster. W ciągu ostatnich tygodni Imhotep postarzał się o kilka lat. Nie był w stanie wydawać rozkazów, podejmować decyzji. Nawet jego fizyczna aktywność wydawała się osłabiona. Spędzał długie godziny patrząc przed siebie, jego oczy były zamglone i nieprzytomne. Czasami prawie nie rozumiał, co się do niego mówi.

— Czy myślisz, że ona — Renisenb przerwała. Rozejrzała się i mówiła dalej: — Czy to ona, według ciebie, czy ona to...?

Jahmose chwycił ją za ramię.

— Cicho, Renisenb, lepiej nie mówić takich rzeczy... nawet szeptem.

— Więc ty także myślisz...

Jahmose powiedział cicho i spiesznie:

— Nic więcej nie mów. Mamy pewne plany.

Rozdział dwudziesty drugi

Drugi miesiąc lata — dzień siedemnasty

I

Dzień następny był świętem nowiu księżyca. Imhotep zmuszony był pójść do grobowca i złożyć ofiary. Jahmose błagał ojca, aby tym razem zostawił to jemu, ale Imhotep był uparty.

— Jeśli sam nie dopilnuję wszystkich spraw, jak mogę być pewny, że zostały należycie wypełnione? Czy kiedykolwiek zaniedbałem moje obowiązki? Czyż nie utrzymywałem zawsze was wszystkich? — powiedział tonem, który mógłby być najwyżej parodią jego zwykłego sposobu bycia. Urwał. — Wszystkich? Ach, zapomniałem. Moi dwaj dzielni synowie — mój przystojny Sobek i bystry i ukochany Ipy odeszli ode mnie. Jahmose i Renisenb — mój drogi syn i córka — jeszcze jesteście ze mną... ale jak długo, jak długo...

— Wiele długich lat, mam nadzieję — powiedział Jahmose.

Mówił dość głośno, jakby rozmawiał z głuchym.

— E? Co? — Imhotep jak gdyby zapadł w śpiączkę.

Nagle rzekł coś dziwnego:

— Wszystko zależy od Henet, prawda? Tak, wszystko zależy od Henet.

Jahmose i Renisenb wymienili spojrzenia. Renisenb powiedziała łagodnie i wyraźnie:

— Nie rozumiem, ojcze.

Imhotep mruknął coś, czego nie dosłyszeli. Potem, podnosząc trochę głos, patrząc jednak mętnym i nieobecny wzrokiem, stwierdził:

— Henet mnie rozumie. Zawsze mnie rozumiała. Ona wie, jaka wielka jest moja odpowiedzialność, jaka wielka... tak, jaka wielka... I zawsze ta niewdzięczność... Dlatego musi być kara. Myślę, że to praktyka ogólnie przyjęta. Arogancja musi być ukarana. Henet zawsze była skromna, pokorna i oddana. Zostanie nagrodzona...

Podniósł się i rzekł pompatycznie:

— Rozumiesz, Jahmose? Henet ma dostać to, co zechce. Jej polecenia mają być wypełniane!

— Ale dlaczego, ojczy?

— Bo ja tak każe. Ponieważ, jeśli spełnione będzie to, czego chce Henet, nie będzie już więcej śmierci...

Pokiwał z rozwągą głową i odszedł pozostawiając Jahmosego i Renisenb wpatrujących się w siebie z osłupieniem i strachem.

— Co to znaczy, Jahmose?

— Nie wiem, Renisenb. Czasami myślę, że ojciec nie wie już, co robi i mówi...

— Nie... może nie. Ale myślę, Jahmose, że Henet wie bardzo dobrze, co mówi i robi. Powiedziała mi, dopiero wczoraj, że już wkrótce ona będzie trzaskać biczem w tym domu.

Spojrzeli na siebie. Potem Jahmose położył dłoń na ramieniu Renisenb.

— Nie złość jej. Zbyt wyraźnie pokazujesz swoje uczucia, Renisenb. Słyszałaś, co powiedział ojciec? Jeśli zrobi się to, co każe Henet, nie będzie więcej śmierci...

II

Henet przycupnęła na piętach w jednym ze składów i przeliczała stopy prześcieradeł. Były stare, musiała więc sprawdzać znaki w narożnikach trzymając je blisko przy oczach.

— Ashayet — mruknęła. — Prześcieradła Ashayet. Oznaczone w roku, w którym tu przyszła... ona i ja razem z nią... To dawno temu. Zastanawiam się, czy wiesz, Ashayet, do czego służą teraz twoje prześcieradła.

Nagle przestała chichotać i drgnęła. Usłyszała jakiś dźwięk i obejrzała się przez ramię. To był Jahmose.

— Co robisz, Henet?

— Kapłani potrzebują więcej prześcieradeł do mumifikacji. Zużywają ich całe stopy. Tylko wczoraj zużyli czterysta łokci. To okropne, jak zużywają się prześcieradła na pogrzeby! Będziemy musieli wziąć te stare. Są w dobrym gatunku i nie zniszczone. Prześcieradła twojej matki, Jahmose... Tak, prześcieradła twojej matki...

— Kto powiedział, że możesz je wziąć?

Henet roześmiała się.

— Imhotep zostawił wszystko do mego uznania. Nie muszę prosić o pozwolenie. On ufa starej, biednej Henet. Wie, że ona zrobi wszystko jak należy. Doglądałam większości spraw w tym domu przez długi czas. Myślę, że teraz dostanę nagrodę!

— Na to wygląda, Henet — głos Jahmosego brzmiał łagodnie — mój ojciec powiedział, że wszystko zależy od ciebie.

— Doprawdy? Miło to słyszeć — ale może ty tak nie myślisz, Jahmose?

— Cóż, nie jestem całkiem pewien. — Jahmose bacznie się jej przyglądał, chociaż jego głos nadal był łagodny.

— Sądzę, że lepiej będzie, jeśli zgodzisz się z ojcem, Jahmose. Nie chcemy już żadnych... kłopotów, prawda?

— Nie bardzo rozumiem. Masz na myśli, że nic chcemy już więcej śmierci?

— Będą jeszcze następne śmierci, Jahmose. O tak...

— Kto umrze następny, Henet?

— Dlaczego myślisz, że ja wiem?

— Ponieważ myślę, że wiesz bardzo dużo. Wiedziałaś, na przykład, że Ipy umrze... Jesteś bardzo sprytna, prawda Henet?

Henet zachnęła się.

— Więc zacznasz to wreszcie rozumieć! Nie jestem już biedną, głupią Henet. Jestem tą, która wie.

— Co wiesz, Henet?

Głos Henet zmienił się. Był niski i ostry.

— Wiem, że w końcu mogę robić to, co zechcę w tym domu. Nikt mi nie zabroni. Imhotep już zdaje się na mnie. I ty zrobisz to samo, no, Jahmose?

— A Renisenb?

Henet roześmiała się złośliwie.

— Renisenb tu nie będzie.

— Sądziś że to Renisenb umrze następna?

— A co ty myślisz, Jahmose?

— Chciałbym usłyszeć, co ty powiesz.

— Może chciałam po prostu powiedzieć, że Renisenb wyjdzie za mąż i wyjedzie stąd.

— Co masz na myśli, Henet?

Henet zachichotała.

— Esa powiedziała kiedyś, że mój język jest niebezpieczny. Może tak jest! — Roześmiała się piskliwie. — No, Jahmose, co powiesz? Czy mogę wreszcie robić, co zechcę w tym domu?

Jahmose przyglądał jej się przez chwilę zanim odpowiedział:

— Tak, Henet. Jesteś sprytna. Będziesz robić, co zechcesz.

Odwrócił się, aby przywitać Horigo, który nadchodził z głównej sali.

— Tu jesteś, Jahmose. Imhotep czeka na ciebie. Czas już iść na górę do grobowca — oznajmił nowo przybyły.

Jahmose skinął głową.

— Idę. — I zniżając głos rzekł: — Hori, myślę, że Henet oszalała. Z pewnością opętały ją diabły. Zaczynam wierzyć, że to ona jest odpowiedzialna za te wszystkie zdarzenia.

Hori przystanął na chwilę i odezwał się spokojnym, obojętnym tonem:

— To dziwna kobieta. I zła.

Jahmose jeszcze bardziej zniżył głos:

— Hori, myślę, że Renisenb grozi niebezpieczeństwo.

— Ze strony Henet?

— Tak. Właśnie napomknęła, że Renisenb może odejść następną.

Wtem doszedł ich rozdrażniony głos Imhotepa:

— Czy mam czekać cały dzień? Co to za zachowanie? Nikt się już ze mną nie liczy. Nikt nie wie, jak cierpię. Gdzie jest Henet? Tylko Henet mnie rozumie.

Ze składu dobiegł piskliwy, triumfalny chichot Henet.

— Słyszysz, Jahmose? Henet! Tylko Henet!

— Tak, Henet, rozumiem — powiedział spokojnie Jahmose. — Jesteś potężna. Ty i mój ojciec i ja — my troje razem...

Gdy Hori poszedł do Imhotepa, Jahmose powiedział kilka słów do Henet, która skinęła głową. Jej twarz tryskała złośliwym triumfem.

Potem Jahmose dołączył do Horięgo i Imhotepa, przepaszając za spóźnienie, i trzech mężczyzn poszło w górę do grobowca.

III

Dla Renisenb dzień minął powoli.

Była niespokojna, chodziła tam i z powrotem z domu na ganek, nad jezioro i znów do domu.

W południe wrócił Imhotep i po posiłku wyszedł na ganek i przyłączył się do Renisenb.

Siedziała obejmując rękami kolana, od czasu do czasu spoglądając na ojca. Nadal miał ten sam nieobecny, zakłopotany wyraz twarzy. Mówił niewiele. Raz czy dwa westchnął głęboko.

Raz podniósł się i spytał o Henet. Ale właśnie w tym czasie Henet poszła z płótnem do kapłanów.

Renisenb spytała ojca, gdzie są Hori i Jahmose.

— Hori poszedł na plantacje lnu. Trzeba tam zrobić obliczenia. Jahmose jest przy uprawach. Wszystko teraz spada na niego... O nieszczęśni Sobek i Ipy! Moi chłopcy, moi piękni chłopcy...

— Czy Kameni nie może dopilnować robotników? — spytała Renisenb próbując odwrócić jego uwagę.

— Kameni? Kim jest Kameni? Nie mam syna o tym imieniu.

— Kameni jest skrybą. Ma zostać moim mężem.

Patrzył na nią zdziwiony.

— Twoim, Renisenb? Ale ty masz poślubić Khaya.

Westchnęła, ale nie powiedziała nic więcej. Przywracanie go do rzeczywistości zdało się okrutne. Po krótkiej chwili jednakże podniósł się i nagle zawołał:

— Oczywiście, Kameni! Poszedł wydać pewne polecenia zarządcy browaru. Muszę iść do niego.

Odszedł mruczając coś pod nosem. Stał się znów sobą, co ucieszyło Renisenb. Może to zaćmienie umysłu było tylko chwilowe?

Rozejrzała się. W ciszy panującej w całym domostwie było coś złowieszczonego. Dzieci bawiły się daleko nad jeziorem. Nie było z nimi Kait i Renisenb zastanawiała się, gdzie ona się podziewa.

Niedługo potem na ganek wyszła Henet. Rozejrzała się i podeszła chyłkiem do Renisenb. Znowu przybrała swoją skamlącą, pokorną pozę.

— Czekałam, aż będziesz sama.

— Dlaczego, Henet?

— Mam dla ciebie wiadomość. Od Horigo — rzekła półgłosem.

— Co mówi? — spytała Renisenb z ożywieniem.

— Prosi, żebyś przyszła do grobowca.

— Teraz?

— Nie. Bądź tam godzinę przed zachodem. Taka jest wiadomość. Jeśli go tam nie będzie, prosi, żebyś poczekała na niego. Mówi, że to ważne. — Henet zamilkła, a potem dodała: — Miałam powiedzieć ci dopiero wtedy, gdy będziesz sama. Nikt nie miał tego słyszeć.

Henet odeszła, a Renisenb poczuła się podniesiona na duchu. Była zadowolona z perspektywy wyprawy w ciszę i spokój grobowca. Zadowolona, że zobaczy Horigo i będzie mogła z nim swobodnie porozmawiać. Jedyna rzecz, która ją trochę dziwiła, to to, że powierzył tę wiadomość Henet. Ale ta, choć złośliwa, wiadomość przekazała dokładnie.

„Dlaczego właściwie miałabym się jej obawiać? — pomyślała. — Jestem silniejsza od niej.”

Podniosła się dumnie. Czowała się młoda, pewna siebie i pełna życia...

IV

Przekazawszy wiadomość Renisenb, Henet wróciła do składu z płótnem. Śmiała się cichutko do siebie, gdy pochylała się nad rozrzuconą stertą prześcieradeł.

— Będziemy znowu was potrzebowali — powiedziała do nich wesoło. — Słyszysz Ashayet? Ja jestem teraz panią i mówię ci, że twoje płótna staną się bandażami dla następnego ciała. A czyje to ciało, jak myślisz? Ha, ha, ha! Niewiele mogłaś na to poradzić, prawda? Ty i brat twojej matki, nomarcha! Sprawiedliwość? Jaką sprawiedliwość możesz czynić na tym świecie? Odpowiedz mi!

Coś poruszyło się za belami płócien. Henet odwróciła głowę i nagle zwałił się na nią wielki stos płótna, kneblując jej usta i nos. Nieubłagana ręka owinęła materiał wokół jej ciała, bandażując ją jak nieboszczyka, aż przestała walczyć...

Rozdział dwudziesty trzeci

Drugi miesiąc lata dzień siedemnasty (c.d.)

I

Renisenb siedziała u wejścia do skalnej komnaty patrząc na Nil, zagubiona w dziwnym marzeniu.

Dzień, w którym pierwszy raz tam usiadła, po powrocie do domu ojca, wydawał jej się bardzo odległy. Był to dzień, w którym tak radośnie stwierdziła, że nic się nie zmieniło, że wszystko w domu było dokładnie takie, jak przed jej odejściem przed ośmiu laty.

Przypomniała sobie, jak Hori powiedział jej, że ona sama nie była już tą Renisenb, która odjechała z Khayem i jak odpowiedziała z ufnością, że wkrótce znów nią będzie. Potem Hori mówił o zmianach, które przychodziły od wewnątrz, o zepsuciu, które nie zostawia żadnych zewnętrznych śladów. Wiedziała teraz, co miał wówczas na myśli. Próbował ją przygotować. Była taka pewna siebie, taka ślepa, przyjmowała bez zastrzeżeń zewnętrzne wartości swojej rodziny.

Trzeba było przybycia Nofret, aby otworzyły się jej oczy...

Tak, przybycia Nofret. Wszystko się od tego zaczęło. Razem z nią przyszła śmierć... Czy była zła czy nie, z pewnością przyniosła zło... A ono wciąż było pośród nich.

Ostatni raz Renisenb pomyślała, że to duch Nofret spowodował wszystkie nieszczęścia.

Nofret, złośliwa i martwa... Albo Henet, złośliwa i żywa... Henet, lekceważona pochlebczyni, płaszcząca się Henet...

Renisenb wzdrygnęła się i powoli wstała. Nie mogła czekać dłużej na Horięgo, słońce już zachodziło. Zastanawiała się, dlaczego nie przyszedł. Rozejrzawszy się dokoła zaczęła schodzić ścieżką do doliny.

Wieczór był bardzo spokojny. Spokojny i piękny. Co zatrzymało Horięgo? Gdyby przyszedł, mieliby przynajmniej tę jedną godzinę dla siebie. Nie będzie wiele takich godzin. Niedługo, gdy zostanie żoną Kameniego...

Czy naprawdę miała poślubić Kameniego? Renisenb otrząsnęła się nagle z nastroju zubożenia, w którym żyła tak długo. Poczła się jak obudzona z gorączkowego snu. Odrętwiała ze strachu i niepewności zgodziła się na pierwszą lepszą propozycję. Ale teraz była znowu sobą i jeśli by poślubiła Kameniego, to tylko dlatego, że sama tego chciałaby, a nie dlatego, że tak ustaliła rodzina. Kameni z jego piękną roześmianą twarzą! Kochała go, to prawda. Dlatego zostaje jego żoną.

Ta wieczorna godzina, tu w górze, przyniosła prawdę i wszystko stawało się jasne. To ona, Renisenb, szła tutaj, ponad światem, spokojna i bez obaw. Wreszcie była sobą.

Czy nie powiedziała kiedyś Horiemu, że musi zejść tą ścieżką sama o tej samej porze, kiedy zginęła Nofret? Że bez względu na to, czy będzie się bała czy nie, musi pójść sama.

Teraz właśnie to robiła. Była to prawie dokładnie pora, kiedy razem z Satipy pochyliły się nad ciałem Nofret. I prawie ta sama godzina, kiedy Satipy odwróciła się schodząc tą ścieżką i ujrzała swoje przeznaczenie.

I właśnie w tym samym miejscu. Co usłyszała Satipy, co kazało jej się odwrócić i spojrzeć za siebie?

Kroki?

Kroki... Ale to Renisenb usłyszała teraz kroki podążające za nią w dół ścieżki.

Serce ze strachu podeszło jej do gardła. Zatem to była prawda! Nofret szła za nią...

Strach ją sparaliżował, ale nie zwolniła kroku. Wcale też nie biegła. Musi pokonać strach, ponieważ w jej umyśle nie było żadnego złego uczynku, którego żałowała...

Opanowała się, zebrała całą odwagę i nie przystając odwróciła głowę. Nagle poczuła ogromną ulgę. To był Jahmose. Żaden duch z krainy zmarłych, ale jej własny brat. Był pewnie zajęty w komnacie ofiarnej grobowca i wyszedł z niej właśnie wtedy, gdy przechodziła.

Zatrzymała się z radosnym okrzykiem.

— Och, Jahmose. Cieszę się, że to ty.

Szedł szybko w jej stronę. Już otworzyła usta, by opowiedzieć mu o swoich głupich lękach, gdy słowa zamarły jej na ustach.

To nie był Jahmose, jakiego znała — łagodny, dobry brat. Jego oczy płonęły, szybko przesuwając językiem po wyschniętych wargach. Ręce trzymał przed sobą, lekko zgięte, palce wyglądały jak szpony.

Patrzył na nią i było to spojrzenie łatwe do odgadnięcia. Było to spojrzenie człowieka, który zabił i zabije znowu. Na jego twarzy malowało się okrucieństwo, złe zadowolenie.

Jahmose... to Jahmose był bezlitosnym wrogiem! Za maską łagodności, dobroci, kryło się właśnie to!

Myślała, że jej brat ją kocha, ale nie było miłości w tej nieludzkiej, drapieżnej twarzy.

Renisenb krzyknęła — słabo, beznadziejnie.

Wiedziała, że nadeszła śmierć. Nie miała tyle siły, by dorównać bratu. Tu, gdzie spadła Nofret, gdzie ścieżka była wąska, ona także spadnie...

— Jahmose! — To była ostatnia prośba.

Wypowiedziała jego imię z miłością, jaką zawsze miała dla najstarszego brata. Na próżno. Jahmose roześmiał się cicho, nieludzko, radośnie.

Potem ruszył szybko naprzód, jego okrutne ręce ze szponami zdawały się tęsknić do chwili, gdy zacisną się na jej szyi...

Renisenb oparła się o skałę, wyciągnęła ręce w próżnym wysiłku odparcia ataku. Bała się panicznie.

Wtem usłyszała dźwięk, słaby jak brzdęk struny...

Coś śpiewnie przeszło powietrze. Jahmose zatrzymał się, zachwiał, a potem z głośnym krzykiem upadł do przodu na twarz u jej stóp. Patrzyła ogłupiała na pierzasty koniec strzały. Spojrzała w dół. Stał tam Hori, z łukiem na ramieniu...

II

— Jahmose... Jahmose...

Renisenb, zdrętwiała z przerażenia, powtarzała ciągle to imię. Wydawało się, że nie może uwierzyć...

Stali przed małą skalną komnatą, Hori wciąż obejmował ją ramieniem. Prawie nie pamiętała, jak przyprowadził ją na górę. Cały czas powtarzała imię brata, oszołomiona, zdziwiona i przerażona.

— Tak, Jahmose. Przez cały czas Jahmose — rzekł łagodnie Hori.

— Ale jak? Dlaczego? Jakże to mógł być on... przecież sam był otruty. Prawie umarł.

— Nie, nie ryzykował śmiercią. Był bardzo ostrożny, wiedział, ile wina może wypić. Wypił wystarczająco, aby zachorować i symulował boleści. W ten sposób odsunął od siebie podejrzenia.

— Ale on nie mógł zabić Ipy. Przecież był za słaby, żeby utrzymać się na nogach!

— Udawał. Czy nie pamiętasz, jak Mersu powiedział, że z chwilą, gdy organizm oczyści się z trucizny, szybko odzyska siły? I tak się stało.

— Ale dlaczego, Hori? Tego nie mogę pojąć — dlaczego?

Hori westchnął.

— Czy pamiętasz, Renisenb, co ci kiedyś mówiłem o zgniliznie, która przychodzi od środka?

— Pamiętam. Właśnie dziś wieczorem myślałam o tym.

— Powiedziałaś kiedyś, że przybycie Nofret było złem. To nieprawda. Zło już tu było, ukryte w sercach domowników. Wszystko, co sprawiło przybycie Nofret, to wywołanie go na światło dzienne. Jej obecność przerwała milczenie. Łagodna macierzyńskość Kait zmieniła się w bezwzględny egoizm. Sobek nie był już wesołym, czarującym mężczyzną, lecz chełpliwym, rozpustnym słabeuszem. Ipy przestał być zepsutym, ładnym dzieckiem, stał się samolubnym intrygantem. Przez udawane oddanie Henet zaczął sączyć się jad. Satipy okazała się tyranem i tchórzem. Imhotep stał się zwyrodniałym, kłótliwym, pompatycznym tyranem.

— Wiem, wiem. — Renisenb przetała oczy dłońmi. — Nie musisz mi tego mówić. Odkryłam to wszystko sama, krok za krokiem... Dlaczego tak się stało, dlaczego przyszło to zepsucie niszczące od środka?

Hori wzruszył ramionami.

— Kto to wie? Może dlatego, że zawsze musi być wzrost, rozwój. Jeśli człowiek nie staje się lepszy, mądrzejszy i większy, wzrost musi odbywać się w innym kierunku. Podsyca wtedy zło. Lub może życie, które wszyscy prowadzili, było zbyt zamknięte, zbyt ograniczone, pozbawione szerszej perspektywy. Albo może to jest zaraźliwe, jak choroba zboża, od pierwszego chorego zarażają się następni.

— Ale Jahmose... Jahmose zdawał się zawsze taki sam.

— Tak, to dlatego, Renisenb, zacząłem go podejrzewać. Inni, z powodu swoich temperamentów, odczuliby ulgę, ale Jahmose zawsze był nieśmiały, łatwo dawał sobą rządzić, nigdy nie miał odwagi, żeby walczyć, kochał Imhotepa i pracował ciężko, aby go zadowolić. Imhotep uważał, że ma najlepsze intencje, ale jest za powolny i głupi. Pogardzał nim. Satipy także traktowała Jahmosego z pogardą i tyranizowała go. Z wolna skrywana, ale odczuwana głęboko uraza stawała się coraz cięższa. Im bardziej uległy się wydawał, tym większy narastał w nim gniew. I wtedy właśnie, gdy Jahmose miał nadzieję zebrać żniwo swojej pracowitości i pilności i zostać dopuszczonym do spółki przez ojca, pojawiła się Nofret. To Nofret, a może jej uroda, roznieciła ostatnią iskierkę. Zaatakowała męskość wszystkich trzech braci. Dotknęła Sobka do żywego pogardą dla jego głupoty, rozwścieczyła Ipy traktując go jak zaczepne dziecko i pokazała Jahmosemu, że w jej oczach nie był mężczyzną. To po przybyciu Nofret język Satipy ostatecznie stał się dla Jahmosego nie do wytrzymania. Jej drwiny, jej urąganie, że jest bardziej mężczyzną niż on, ostatecznie wyczerpały jego samokontrolę. Spotkał Nofret na tej ścieżce i — doprowadzony do ostateczności — zrzucił ją na dół.

— Ale to Satipy...

— Nie, nie, Renisenb. W tym właśnie wszyscy się myliliście. Satipy widziała z dołu, co się stało. Rozumiesz teraz?

— Ale Jahmose był z tobą na plantacji.

— Tak, przez ostatnią godzinę. Czy nie pojmujesz, Renisenb, że ciało Nofret było zimne? Sama dotykałaś jej policzka. Myślałaś, że spadła kilka minut wcześniej — ale to było niemożliwe. Nie żyła już przynajmniej od dwóch godzin, w przeciwnym razie w tym gorącym słońcu jej twarz nigdy nie stałaby się taka zimna. Satipy widziała, jak to się stało. Kręciła się tutaj, przestraszona, nie wiedząc co robić; potem zobaczyła ciebie i próbowała cię zawrócić.

— Hori, kiedy się o tym dowiedziałeś?

— Dość szybko odgadłem. Powiedziało mi to zachowanie Satipy. Oczywiście było, że jest śmiertelnie przerażona, i dość szybko nabrałem przekonania, że osoba, której się bała, to Jahmose. Przestała go tyranizować i zamiast tego zaczęła pilnie go słuchać. Widzisz, to był dla niej straszny szok. Jahmose, którym gardziła jako najpotulniejszym z ludzi, był właśnie tym, który zabił Nofret. To przewróciło jej świat do góry nogami. Jak większość kobiet poniewierających słabszymi, była tchórzem. Ten nowy Jahmose przerażał ją. Ze strachu zaczęła mówić przez sen. Jahmose szybko zorientował się, że była dla niego niebezpieczna.

Teraz, Renisenb, rozumiesz, co naprawdę widziałeś tamtego dnia na własne oczy. To nie duch spowodował upadek Satipy. Zobaczyła to, co dziś zobaczyłaś ty. Zobaczyła w twarzy idącego za nią mężczyzny — jej własnego męża — zamiar zrzucenia jej na dół tak, jak zrzucił inną kobietę. I gdy konającymi wargami wymówiła słowo „Nofret”, próbowała powiedzieć, że to Jahmose zabił Nofret.

Esa odkryła prawdę dzięki zupełnie nie związanej z tematem uwadze Henet. Henet narzekała, że nie patrzę na nią, ale tak, jakbym widział coś poza nią, coś czego tam nie ma. A potem mówiła coś o Satipy. W okamgnieniu Esa zrozumiała, o ile prostsza była ta cała sprawa, niż nam się zdawało. Satipy nie patrzyła na coś za Jahmosem — patrzyła na niego. Aby sprawdzić swój pomysł, Esa mimochodem wspomniała o tym i jej słowa nie miały znaczenia dla nikogo oprócz Jahmosego — i tylko dla niego, jeśli to, co podejrzewała, było prawdą. Jej słowa zdziwiły go i zareagował na nie tylko nieznacznie, wystarczająco jednak, aby wiedziała, że podejrzzenia były prawdziwe. Ale Jahmose wiedział już, że ona go podejrzewa. A z chwilą, gdy podejrzzenia zostają obudzone, wszystko może zacząć zbyt dobrze do siebie pasować, nawet opowieść pastucha — chłopca mu oddanego, który zrobiłby wszystko dla swego pana — nawet podanie chłopakowi trucizny tamtej nocy, co gwarantowało, że już się nigdy nie obudzi...

— Och, Hori, tak trudno jest uwierzyć, że Jahmose mógł to wszystko zrobić. Nofret, tak, to mogę zrozumieć. Ale dlaczego inne zabójstwa?

— Trudno ci to wyjaśnić, Renisenb, ale gdy serce otworzy się na zło, kwitnie ono jak maki w zbożu. Być może Jahmose przez całe życie tęsknił za przemocą i nie mógł się na nią zdobyć. Gardził swoją własną potulnością, uległością. Myślę, że zabicie Nofret dało mu wielkie poczucie siły. Uświadomił sobie to nagle najpierw na przykładzie

Satipy. Satipy, która zawsze onieśmiała go i obrażała, była teraz potulna i przestraszona. Wszystkie żale, które nagromadziły się w jego sercu, podniosły głowy — jak ten wąż kiedyś tu na ścieżce. Sobek i Ipy musieli odejść, gdyż jeden był przystojniejszy, a drugi bystrzejszy. On, Jahmose, powinien rządzić w tym domu, powinien być jedyną pociechą i oparciem dla ojca! Śmierć Satipy wzmogła samą przyjemność zabijania. Czuł się silniejszy. To po tym jego umysł zaczął się poddawać. Zło opanowało go całkowicie.

Ty, Renisenb, nie byłaś rywalką. Kochał cię tak, jak jeszcze potrafił. Ale myśl, że twój mąż będzie dzielił z nim majątek, była nie do zniesienia. Sądzę, że Esa przystała na przyjęcie Kameniego z dwóch powodów: po pierwsze, gdyby Jahmose uderzył znowu, prawdopodobnie byłby to zamach na Kameniego, nie na ciebie — a w każdym razie ufała, że ja będę cię ochraniał. Po drugie. Esa była odważną kobietą. Chciała doprowadzić sprawę do punktu kulminacyjnego. Jahmose, obserwowany przeze mnie (a nie wiedział, że go podejrzewam) miał być przyłapany na gorącym uczynku.

— Tak, jak się stało — powiedziała Renisenb. — Och, Hori, tak się bałam, kiedy obejrzałam się i zobaczyłam go.

— Wiem, Renisenb. Ale tak musiało być. Jak długo trzymałem się blisko Jahmosego, byłaś bezpieczna. Ale to nie mogło trwać wiecznie. Wiedziałem, że jeśli będzie miał okazję do zrzucenia cię ze ścieżki w tym samym miejscu, wykorzysta ją.

— Więc wiadomość, którą przyniosła mi Henet, nie była od ciebie?

Potrząsnął głową.

— Nie posyłałem żadnej wiadomości.

— Ale dlaczego Henet... Nie rozumiem roli Henet w tym wszystkim.

— Myślę, że Henet znała prawdę — powiedział Hori zamyślony. — Wyraźnie dała to Jahmosemu do zrozumienia dziś rano. Niebezpieczne posunięcie. Wykorzystał ją, aby cię tu zwabić — co zrobiła z przyjemnością, ponieważ cię nienawidzi.

— Wiem.

— Teraz... zastanawiam się. Henet z pewnością wierzyła, że wiedza da jej władzę. Ale nie wierzę, żeby Jahmose pozwolił jej długo żyć. Może nawet teraz...

Renisenb wzdrygnęła się.

— Jahmose był szalony — powiedziała. — Zawładnęły nim złe duchy, ale nie zawsze był taki.

— Nie, a jednak... pamiętasz, jak opowiedziałem ci historię o Jahmosem i Sobku, gdy byli dziećmi, i jak Sobek tłukł głową Jahmosego o ziemię, a twoja matka przybiegła biała i roztrzęsiona i powiedziała: „To niebezpieczne”. Myślę, Renisenb, że chciała powiedzieć, że robienie takich rzeczy Jahmosemu jest niebezpieczne. Pamiętasz, że następnego dnia Sobek był chory? Uważano to za zatrucie pokarmowe, ale sądzą, że twoja matka wiedziała coś o dziwnej, tłumionej furii mieszkającej w piersi jej łagodnego, uległego synka i bała się, że pewnego dnia może dać znać o sobie...

Renisenb zadygotała.

— Czy nikt nie jest taki, jakim zdaje się być?

Hori uśmiechnął się do niej.

— Tak, czasami. Kameni i ja, Renisenb. My obaj, jak sądzę, jesteśmy tacy, jakimi chcesz nas widzieć. Kameni i ja... — Powiedział te ostatnie słowa z naciskiem i nagle Renisenb zdała sobie sprawę, że stanęła właśnie przed koniecznością wyboru.

Hori mówił dalej: — Obaj cię kochamy, Renisenb. Musisz o tym wiedzieć.

— A jednak — powiedziała Renisenb powoli — pozwoliłeś na rozpoczęcie przygotowań do ślubu i nie powiedziałeś nic, ani słowa.

— To było dla twojej ochrony. Esa uważała tak samo. Musiałem pozostać obojętny i stać na uboczu, tak abym mógł stale obserwować Jahmosego i nie wzbudzić jego wrogości. — Hori dodał z pasją: — Musisz zrozumieć, Renisenb, że Jahmose był moim przyjacielem przez wiele lat. Kochałem go. Próbowałem wpłynąć na twego ojca, by dał mu pozycję i władzę, jakiej pragnął. Nie udało mi się. Wszystko to stało się za późno. Ale chociaż byłem w głębi serca przekonany, że Jahmose zabił Nofret, próbowałem w to nie wierzyć. Znajdowałem nawet wytłumaczenie dla jego czynu. Jahmose, mój nieszczęśliwy, udręczony przyjaciel, był mi bardzo drogi. Potem przyszła śmierć Sobka i Ipy, a w końcu Esy... Wiedziałem wtedy, że zło pokonało dobro w sercu mego przyjaciela. I tak Jahmose znalazł śmierć z moich rąk. Lekką, prawie bezbolesną śmierć.

— Śmierć, nic tylko śmierć.

— Nie, Renisenb. To nie śmierć spotykasz dzisiaj, ale życie. Z kim będziesz je dzielić? Z Kamenim czy ze mną?

Renisenb patrzyła prosto przed siebie, ponad doliną, na srebrną wstęgę Nilu.

Ujrzała bardzo wyraźnie uśmiechniętą twarz Kameniego, kiedy siedział naprzeciw niej tamtego dnia w łodzi. Przystojny, silny, wesoły... Znów poczuła przyspieszone tętnienie krwi. W tej chwili kochała Kameniego. Kochała go teraz. Kameni mógł zająć miejsce Khaya w jej życiu.

Pomyślała: „Będziemy razem szczęśliwi... tak. Będziemy szczęśliwi. Będziemy żyli razem i cieszyli się sobą i będziemy mieć silne, śliczne dzieci. Nastaną dni zajęte pracą... i dni pełne radości, kiedy będziemy żeglować po rzece. Życie znów będzie takie jak kiedyś z Khayem... Czy mogłabym chcieć czegoś więcej? Czy mogłabym o coś więcej prosić?”

I powoli, naprawdę bardzo powoli, odwróciła twarz w stronę Horigo. Milcząc zadała mu pytanie. A on, zrozumiawszy, odpowiedział:

— Kiedy byłaś dzieckiem, kochałem cię. Kochałem twoją poważną twarz i ufność, z jaką przychodziłaś do mnie prosząc o naprawienie zepsutych zabawek. A potem, po ośmiu latach nieobecności, przybyłaś tu znowu i przyniosłaś mi swoje myśli. Twój umysł, Renisenb, nie jest taki jak umysły innych członków twojej rodziny. Nie koncen-

truje się tylko na sobie, nie zamyka się. Twój umysł jest jak mój, patrzy na rzekę, dostrzega zmiany na świecie, nowe idee... dostrzega świat, w którym wszystko jest możliwe dla tych, którzy mają odwagę i wyobraźnię...

— Wiem, Hori, wiem. Wiele rzeczy odczuwałam tak jak ty. Ale nie wszystkie. Będą momenty, kiedy nie nadażę za tobą, kiedy będę sama... — Przerwała, niezdolna znaleźć słowa dla myśli, z którymi się borykała. Nie wiedziała, jakie będzie jej życie z Horim. Pomimo swojej łagodności, pomimo miłości do niej, pozostanie pod wieloma względami nieobliczalny i niezrozumiały. Dzieliliby chwile bardzo piękne i bogate — ale co z codziennym życiem?

Impulsywnie wyciągnęła do niego rękę.

— Och, Hori, zdecyduj za mnie. Powiedz, co mam zrobić!

Uśmiechnął się do niej, do dziecka Renisenb, może po raz ostatni. Ale nie wziął jej rąk.

— Ja nie mogę mówić ci, co masz zrobić ze swoim życiem, Renisenb, ponieważ to jest twoje życie i tylko ty możesz zdecydować.

Uświadomiła sobie, że nie otrzyma nikąd pomocy, że on nie odwoła się do jej zmysłów, tak jak Kameni. Gdyby chociaż ją dotknął... ale jej nie dotknął.

I nagle wybór wydał jej się zupełnie prosty. Czego pragnęła, czy trudnego życia? Kusiło ją, by odwrócić się i pobiec krętą ścieżką w dół do normalnego, szczęśliwego życia, jakie już знаła, jakiego doświadczyła u boku Khaya. Tam było bezpieczeństwo, dzielenie codziennych przyjemności i smutków bez strachu przed czymkolwiek oprócz starości i śmierci...

Śmierć... Od myśli o życiu powróciła znów do śmierci. Khay umarł. Kameni może umrzeć i jego twarz, jak twarz Khaya, powoli rozplynie się w jej pamięci...

Spojrzała na Horię, który stał spokojnie obok. To dziwne, pomyślała, że nigdy właściwie nie wiedziała, jak wygląda Hori... Nigdy tego nie potrzebowała...

— Dokonałam wyboru, Hori — powiedziała w końcu, a ton jej głosu był taki sam jak wtedy, gdy niedawno oświadczyła, że zejdzie sama tą ścieżką o zachodzie słońca. — Będę dzielić moje życie z tobą na dobre i złe, aż przyjdzie śmierć...

Otoczona jego ramionami, z twarzą tuż przy jego twarzy nagle przepełnionej słodyczą, poczuła triumfujące bogactwo życia.

Jeśliby Hori umarł — pomyślała — nie zapomniałabym! Hori jest pieśnią w moim sercu na zawsze... To znaczy, że nie ma już śmierci.

SPIS TREŚCI

Od Autorki	3
Rozdział pierwszy	4
<i>Drugi miesiąc wylewu — dzień dwudziesty</i>	
Rozdział drugi	12
<i>Trzeci miesiąc wylewu — dzień czwarty</i>	
Rozdział trzeci	19
<i>Trzeci miesiąc wylewu — dzień czternasty</i>	
Rozdział czwarty	25
<i>Trzeci miesiąc wylewu — dzień piętnasty</i>	
Rozdział piąty	30
<i>Czwarty miesiąc wylewu — dzień piąty</i>	
Rozdział szósty	36
<i>Pierwszy miesiąc zimy — dzień czwarty</i>	
Rozdział siódmy	43
<i>Pierwszy miesiąc zimy — dzień piąty</i>	
Rozdział ósmy	48
<i>Drugi miesiąc zimy — dzień dziewiąty</i>	
Rozdział dziewiąty	53
<i>Drugi miesiąc zimy — dzień dziesiąty</i>	
Rozdział dziesiąty	60
<i>Czwarty miesiąc zimy — dzień szósty</i>	
Rozdział jedenasty	68
<i>Pierwszy miesiąc lata — dzień jedenasty</i>	

Rozdział dwunasty	78
<i>Pierwszy miesiąc lata — dzień dwunasty</i>	
Rozdział trzynasty	82
<i>Pierwszy miesiąc lata dzień dwudziesty trzeci</i>	
Rozdział czternasty	86
<i>Pierwszy miesiąc lata — dzień dwudziesty piąty</i>	
Rozdział piętnasty	94
<i>Pierwszy miesiąc lata — dzień trzydziesty</i>	
Rozdział szesnasty	100
<i>Drugi miesiąc lata — dzień pierwszy</i>	
Rozdział siedemnasty	109
<i>Drugi miesiąc lata dzień pierwszy (c.d.)</i>	
Rozdział osiemnasty	119
<i>Drugi miesiąc lata — dzień dziesiąty</i>	
Rozdział dziewiętnasty	125
<i>Drugi miesiąc lata — dzień piętnasty</i>	
Rozdział dwudziesty	133
<i>Drugi miesiąc lata — dzień piętnasty (c.d.)</i>	
Rozdział dwudziesty pierwszy	137
<i>Drugi miesiąc lata — dzień szesnasty</i>	
Rozdział dwudziesty drugi	144
<i>Drugi miesiąc lata — dzień siedemnasty</i>	
Rozdział dwudziesty trzeci	150
<i>Drugi miesiąc lata dzień siedemnasty (c.d.)</i>	